



LILIANA HERMETZ

COSTELLO

PRZEBUDZENIE

. . . a r c h i p e l a g i . . .

Liliana Hermetz

COSTELLO. PRZEBUDZENIE



Copyright © by Liliana Hermetz, MMXVII
Wydanie I
Warszawa MMXVII

Spis treści

[Costello. Przebudzenie](#)

[Epilog](#)

Costello. Przebudzenie

Proszę państwa! Za chwilę udowodnię państwu, że literatura i sztuka dają nieprawdziwy obraz seksu. Seks jest przereklamowany. Siła napędowa? Prokreacja? Zwykła zmysłowość? Chwile przyjemne, ulotne i krótkie? Czy to jest coś, co nosimy na wierzchu, czy w środku? Widzialne czy niewidzialne?

Elizabeth Costello tak zaczęła swój wykład w auli uniwersyteckiej, zapewne jak zawsze wypełnionej słuchaczami. Przyleciała tu wczoraj wieczorem. Wygłosi wykład o seksie, odbędzie kilka spotkań z czytelnikami, spotka się z wydawcą, odwiedzi starych przyjaciół.

Odkąd postanowiła zacząć żyć samodzielnie i wymknęła się spod władzy swego Kreatora, sama wybiera tematy wykładów, ona je proponuje i ona decyduje, które miejsca na kuli ziemskiej zaszczyca swoją obecnością i przemyśleniami. W nowym życiu jej status zawodowy i społeczny nie zmienił się. Mimo wszystko odpowiada jej bycie znaną pisarką, która odniosła sukces, choć dzisiaj nie pamięta już, jak to się stało. Nie rozpamiętuje. Może z obawy, że gdyby się dobrze zastanowić, jej pisarska kariera mogłaby się różnie potoczyć. Ten jej debiut o Molly Bloom.

Costello wie już dzisiaj, że nie była żadną odnowicielką form literackich i że konstrukcja jej pierwotnego dzieła, mimo pewnej oryginalności, nie była doskonała. A gdyby jej powieść dostała się w ręce jakiegoś młodego krytyka z ambicjami literackimi, zupełnie dalekiego Costello, jeśli chodzi o pojmowanie roli literatury, dajmy na to, piszącego manifesty pełne sarkastycznych uwag o większości współczesnych pisarzy... Dzisiaj Costello nie boi się takich młodzieniaszków, oczywista. Ale wtedy. Cokolwiek by napisała, jakkolwiek wiedzę i mądrość posiadała, to on byłby panem życia i śmierci jej debiutu.

Costello naciągnęła mocniej swój letni kapelusz, aż poczuła lekkie podrażnienie za lewym uchem, które zresztą zawsze było wyraźnie słabsze od prawego – i to pod każdym względem. Siedziała na tarasie hotelowej kawiarni i sączyła lekki drink o nazwie tak skomplikowanej, że nawet nie próbowała jej wymówić, choć lubi różne łamańce językowe. Czuła dziwne i niezrozumiałe rozedrganie. Dawno jej się to nie zdarzyło.

W rozmaitych literackich wydarzeniach bierze udział kilka razy w roku i przywykła do przebywania w nowych miejscach. Pewna ciekawość i zwyczajowe przyglądanie się ludziom, stały się jej drugą naturą. Ale to wszystko. Poza ten schemat na ogół nie wychodzi. Tyle że teraz wyraźnie czuje dziwny rodzaj podniecenia. Jakby czekała na coś czy też na kogoś. Jakby coś szczególnego miało się wydarzyć. Co jej to przypomina? Kiedy się tak zachowywała? Ach, to to. Już prawie zapomniała. Minęło tyle lat... Pracowała wtedy w Instytucie Książki i Czytelnictwa Światowego. Wtedy każdy jego telefon wywoływał w niej podobne uczucie. Każda z nim rozmowa. No, prawie każda.

Costello zastosowała kilka technik intelektualno-kinetycznych, które świetnie opanowała, a które dawały niemal stuprocentową skuteczność zmiany nie tylko

kierunku przepływu, ale też treści własnych myśli. Naprawdę nie chciała wracać do tamtych czasów. Chce żyć tu i teraz.

O, teraz na przykład obsługuje ją przystojny kelner. Kiedyś kelnerzy nie mogli znajdować się w polu zainteresowań kobiety pokroju Costello i to nie tylko dlatego, że tak zdecydował ten, który ją stworzył. Także teraz, gdy porzuciła swego Kreatora, ceni sobie tak zwane intelektualne porozumienie, którego jednak – teoretycznie – z kelnerem nie mogłaby osiągnąć. Wciąż stanowić ma ono bowiem podstawę jej relacji uczuciowej, erotycznej i seksualnej. Choć właśnie... tej ostatniej nie było dane Costello doświadczać często.

To, co teraz odczuwała, miało jakiś związek ze snem, który nawiedził ją ostatniej nocy.

Sen Costello

Costello nie wie, ile ma lat w tym śnie. Nie jest dzieckiem ani nastolatką. Pojawia się Chris, jej pierwsza, nigdy niezrealizowana miłość. Rozmawiają. Nic sobie nie muszą tłumaczyć. Oboje wiedzą, że od dawna jest żonaty. Nie mówią nic o jego trzech dorosłych synach. Wiadomo tylko tyle, że Chris przyjechał z wizytą z odległego zakątka, gdzie teraz mieszka. Ich spotkanie jest powolne, nie dzieje się wiele. Rozmowa nie dotyczy właściwie konkretnych tematów. Costello jest radosna. Nie mówi o tym, nie okazuje, ale ta radość jest wszędzie. Wypełnia ją dyskretnie, acz intensywnie. Costello czuje ją każdą tkanką, choć nawet nie wie, jak się to robi. Jak się to dzieje. Żadne słowa właściwie nie są potrzebne. Nie mogą oddać takiej radości. Jakoś wie jednak, że Chris czuje to samo. Lub podobnie. Przemyka jej przez głowę, że musi to koniecznie zapisać. I zaraz potem, że i tak nie da się tego zapisać. I że to lepiej. Zostanie tylko dla niej. Ludzie myślą, że pisarka oddaje im wszystko.

Każdy ruch Chrisa, każde jego zbliżenie, zawirowanie powietrza wokół mężczyzny upajają Costello, a jednocześnie jest całkowicie przytomna. Umysł ma jasny, spokojny. Siedzą i o czymś rozmawiają. Ale wiedzą, że to, co mówią, nie ma znaczenia. To tylko ruch cząstek powietrza, by radość między nimi mogła być niesiona, wymieniana. Nie ma między nimi wielu gestów. Nie dzieje się wiele. Oboje wiedzą (chyba, bo nikt przecież o tym nie mówi), że nie wolno im. Oboje nie są wolni. Chociaż Costello nie zna właściwie swojego cywilnego i uczuciowego statusu poza tą sytuacją. Wie na pewno, że oboje powinni pozostać w konwencji spotkania starych znajomych. Nie ma żalu. On też. Tak myśli. Spotkanie się kończy. Ciągłe bez żalu, bo radość jest większa. I sen trwa dalej. Teraz Costello znajduje się w domu, w którym Chris kiedyś mieszkał. Gdy byli dziećmi, nastolatkami i znali się. Chodzili razem do szkoły. Chris zbiera rzeczy, pakuje drobiazgi. Szykuje się do wyjścia. Podaje Costello rękę. I jego dotyk jest czymś najprzyjemniejszym ze wszystkich znanych jej doznań dotykowych. A to zwyczajne podanie dłoni na pożegnanie. Costello rejestruje w swojej głowie myśl, że to tylko dotknięcie jego dłoni. Co by się stało, gdyby to było coś więcej. I właśnie wtedy zauważa, że ich usta zbliżyły się do siebie i lekko dotknęły w pocałunku. Trwa to kilka sekund. Zwyczajne zetknięcie się ust. Nic więcej. Co za przyjemność i słodycz. Słodycz, myśli szybko Elizabeth. Kto wymyślił takie głupie określenie. Czym jest smak słodyczy

wobec tego, co ona czuje! A w tym pocałunku (nawet to słowo wydaje jej się głupie) jakby sumowały się lata, wieki oczekiwania. Jakby się wszystko zrozumiało. Wyjaśniło. Otworzyło, a jednocześnie dopełniło. Jak to cudownie, myśli Costello, nie trzeba nic mówić. Wszystko jest jasne. I jedna tylko rzecz dziwi ją, że to się dzieje. Że oni sobie na to pozwolili. Że po tylu latach odkryli się. Zawsze myślała, że to odkrycie musiałyby ją (ich) dużo kosztować. Nieprawda. Zdumiewa ją to tym bardziej, że o mały włos, to jest o mały sen, mogłaby tego nie odkryć. Chris wychodzi. Patrzy na nią. Tak jakby mówił: przecież rozstajemy się na chwilę. Wrócę. Bo jestem twój, a ty jesteś moja i tego nic nie może zmienić. Costello myśli przez chwilę o jego żonie i wie, że Chris myśli o niej także, lecz to nie boli. Nie czuje się oszukana. Nie ma już Chrisa. Ale wciąż czuje smak tego pocałunku. Jest poruszona. Nie pamiętała, że coś takiego jak smak pocałunku istnieje. Nigdy nie używała takich określeń, były dla niej puste. No ale ona wciąż go po prostu czuje.

Obudziła się w dobrym nastroju. Pełna jeszcze snu. Pełna tego pocałunku. Choć nie lubi tego słowa, brzmi sztucznie, staroświecko i niepoetycko.

Elizabeth Costello miewała sny erotyczne. Właśnie zdała sobie sprawę, że nie śniła ich w czasach, gdy była młoda. To oczywiście łatwo dałoby się wyjaśnić. Costello wiedziałyby, jakich narzędzi użyć. W ostateczności mogłaby je pożyczyć od interpretatorów jej książek. Ale wiedziona niejasnym instynktem (ma jednocześnie wrażenie, że staje się właśnie postacią z czyichś powieści, bohaterką uwielbianą przez rzeszę kobiet i niektórych mężczyzn), postanawia niczego nie analizować. Dać się wieść odczuciom i pozwolić toczyć się akcji tej cudzej powieści. Czyżby miała dokonać jakiegoś odkrycia na swój temat? Wie przecież wszystko. Nawet to, jak będzie tam, kiedy przekroczy granicę. No, zna przynajmniej jakiś wariant literacki. Swoją drogą trochę się z tym pospieszono. Elizabeth nie jest wprawdzie młoda, ale gdzie jej tam wybierać się na drugą stronę. Skoro tu takie sny. Raptem ogarnia Costello nieprzeparata chęć, że chciałaby tego spróbować. Tak. Chce tego. Chce. Niczego innego w tej chwili nie pragnie bardziej niż zaznania jeszcze raz takich doznań. Miałaby odejść z tego świata, nie spróbowałaś?! To wprawdzie tylko sen. Ale czy pierwszy raz okazałoby się, że jeśli mózg wyprodukował coś we śnie, jest w stanie zrobić to i na jawie?

Costello wstaje. Lekko i zwiewnie. Jak sarenka, myśli. (Czuje zgrzyt tych wyświechtanych powieściowych porównań, ale macha ręką i powoli przestaje jej to przeszkadzać. Tym zresztą zajmie się później). Wkłada czarny jedwabny szlafrok, zdobiony kolorowym haftem. Przez chwilę przygląda się wzorom. Nigdy nie umiała rozszyfrować, co właściwie przedstawiają. Nazwała je tęskniącymi cieniami. Zawiązała pasek. Dotknęła prawą ręką swoich włosów. Poczła coś miłego. Zrobiła to jeszcze raz. Zaczęła rozpoznawać czułość dla samej siebie. Otworzyła drzwi na mały taras przy sypialni. Poczła rzeźkość poranka. I pomyślała, że chyba rzeczywiście nie ma sposobu, by wyjść z powieściowej konwencji. Ostatecznie wszystko zależy od tego, co miałyby dostać w zamian. Jeśli jeszcze inne takie pocałunki... (Musi jednak wymyślić jakieś odpowiednie słowo).

Wróciła do sypialni, omiotła ją spojrzeniem (!) i udała się do łazienki. W lustrze spojrzała na nią kobieta o pięknych niebieskich oczach, niebrzydkim nosie, ładnych, pełnych ustach, którym brak regularnej linii. Spojrzała na swój podwójny podbródek z ...czułością. Dziwne rzeczy się dzieją, zdążyła pomyśleć i usłyszała dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę. Dzwoniła Lucy, jej dorosła córka. Rozmawiały kilka minut, ale Narrator nie dosłyszał, czego dotyczyła rozmowa, ponieważ Elizabeth jakby specjalnie przysłoniła usta ręką.

Costello piła kawę i próbowała uporządkować sytuację. Czuje się inaczej. To pewne. Ten stan ciągle trwa. Zaraz. Zastanówmy się. W końcu Elizabeth Costello specjalizuje się w nazywaniu rzeczy, opisywaniu stanów, *et caetera*.

Więc czuję siebie inaczej, pomyślała. I to jest przyjemne.

Siedzi oto i pije kawę, jak zwykle. Ale zauważa, że jej dłonie są ciągle piękne. Pokryte brązowymi plamkami, lecz piękne! Trzyma w dłoni ulubioną filiżankę. Że ta stara porcelanowa filiżanka, zwieńczona paskiem w kolorze starego złota, ma unikatowy kształt i kolor i jest wyjątkowa, wie od lat. Od tego dnia, kiedy wypatrzyła

ją na targu staroci i poczuła, że to jej właśnie szukała tyle czasu. Elizabeth miała bowiem trudność w znajdowaniu w świecie realnym przedmiotów, ubrań, butów, mebli – właściwie prawie wszystkiego – takich, jakie istniały w jej wyobraźni. Kiedy, dajmy na to, potrzebowała nowych butów i szła do sklepu – żadne jej nie zachwycaly. Niektóre były prawie *takie*, większość zupełnie nie, pojedyncze tylko pary albo nieco mniej banalne, albo zbyt wyszukane, albo nie w jej stylu. Słowem, zawsze czegoś brakowało. Chociaż rzadko kiedy potrafiła powiedzieć, czego szuka.

Costello nie potrafiła wytłumaczyć przyjaciółom, na czym polega jej „nieznajdowanie”. Mawiała, że kiedy to w końcu zobaczy, będzie wiedziała, że to to. Nie była to jednak nieuzasadniona i nieokreślona tęsknota za abstrakcyjnymi przedmiotami, ponieważ zdarzało się Costello dostrzec (na przykład) buty, jakich szukała. Niestety często na stopach innej kobiety. Czasem w obcym kraju. Zwykle jednak nie znalazłszy tego, czego szukała, kupowała coś pośredniego, oznaczającego kompromis estetyki, wygody (na ogół niewygody) i rozmiaru. Tak było z wieloma rzeczami.

Costello zawsze miała poczucie, że nosi nie to, co by chciała. A oczywiście chciałyby czegoś, czego nie noszą inni. Nawet gdyby było ją stać, nie ubierałaby się u znanych projektantów. Wydawanie kroci na stroje nie pasowało do jej świadomości własnej (aż nadto uprzywilejowanej) pozycji w świecie. Nie cierpiała głodu, dane jej było uczyć się i rozwijać. W dodatku znajdowała odbiorców tego, co tworzyła. Istnieli ludzie, którzy czytali jej książki.

W ogóle nie warto byłoby poświęcać zagadnieniu więcej czasu, gdyby nie męczące poczucie wiecznego zamiast. Zamiast – dajmy na to – wymarzonej komody, wytwornej i eleganckiej, a zarazem prostej i niespotykanej, miała tę, którą w końcu kupiła, zmuszona upchnąć to, co miało zostać upchnięte. I daleko było komodzie do tej wymarzonej, nieokreślonej.

Dziś nie tylko filizanka nie była zamiast, lecz także dłonie Costello były na swoim miejscu i w dziwny sposób wzruszały ją. Patrząc na własne stopy, po raz pierwszy nie myślała, że powinna była dostać inne, zgrabniejsze i solidniejsze, które rzadziej bołą i lepiej znoszą trudy noszenia jej ciała. Te, które miała, rozczulały ją. Rozczulały ją właściwie wszystkie części jej niemłodego ciała. Pogłaskała delikatnie swoje łydki i przyglądała im się dłuższą chwilę. Fala czułości dla samej siebie ogarnęła ją.

Normalnie Costello uznałaby taki stan za dziwactwo i stratę czasu. Nawet dla bohaterów swoich powieści nie zawsze starczało jej cierpliwości – a przecież miewali różne dziwactwa i niekiedy nietypowe zachowania. I na nie im pozwalała. Nie jest także tajemnicą, że niektórym używała własnych cech. Zwłaszcza uważanych na ogół za negatywne czy wręcz wstydlive. Skądinąd wszystko dałoby się o jej postaciach powiedzieć, lecz nie to, że były dla siebie czułe. Mogłyby być takie dla innych. Wieloma z jej bohaterów targały silne emocje. Przeżywali rozmaite namiętności. Zbawiali świat, kiedy Costello była młodsza. Przeżywali rozczarowania. Zgłębiali istotę zła, szukali jego przyczyn. Rozkładali na czynniki pierwsze i ostatnie najróżniejsze aspekty kwestii politycznych i socjologicznych. Wciąż mierzyli się z Innym. W świecie i w sobie samych. Ale czuli dla siebie raczej nie byli. Niektórzy miewali zdumiewająco dużo wyrozumiałości dla swoich słabości. Nieobca im była pobłażliwość, bardzo często

władał nimi marazm, a lenistwo zdawało się stanowić ich drugą naturę. Costello stawiała swoich bohaterów przed dylematami etycznymi, wikłała ich w niejednoznaczne sytuacje, wielokrotnie każąc im określać się wobec oczekiwania innych. Przenikliwe spojrzenie i cierpki humor kazały jej pisać o przerażających rzeczach, o których zwykle nie chcemy myśleć. Krytycy twierdzili wprawdzie, że z wiekiem odnalazła w sobie pokłady ciepła i humoru, a nawet zrobiła się wyrozumiała dla swoich bohaterów, ale czułość, którą miała w sobie teraz, była inna.

Cóż za głupstwa mi się zdarzają, pomyślała jednak.

Zaczęła planować swój dzień. Więc po śniadaniu przyjedzie po nią tłumacz jej książek, który pokaże jej miasto. Program jak zawsze jest przeładowany i Elizabeth będzie marzyć, żeby usiąść na tarasie kafejki w jakimś miejscu pełnym przemierzających się ludzi, których będzie mogła obserwować, pijąc słodką kawę z odrobiną likieru i paląc papierosa. Tłumacz będzie jednak delikatnie nalegał na wycieczkę i Costello, zmuszona uciec się do kłamstwa, wymówi się bólem głowy. Zakłopotany tłumacz ulegnie, za to poczuje się w obowiązku, by brak zwiedzania zrekompensować mówieniem bez przerwy.

Potem obiad. Costello zje go z rektorem tutejszego uniwersytetu i kilkoma innymi osobami. Potem tak zwany czas wolny, bo na szczęście udało jej się wyperswadować wydawcy krótkie spotkanie z czytelnikami przed wykładem. Zawsze trudno jej wytłumaczyć organizatorom, że chciałaby mieć więcej wolnego czasu. Móc powłóczyć się trochę po mieście, pozaglądać do antykwariatów i sklepów z butami...

Chciałaby zostać sama ze swoją samotnością, nieokreśloną tęsknotą, czekaniem.

Wróciła jednak do pokoju, żeby się przebrać. To, co znalazła w swojej walizce, znów dalekie było od ideału. I dziś przeszkadzało jej to znacznie bardziej niż zwykle. Spojrzała na siebie w lustrze, poczuła falę ciepła, która otulała ją od głowy do stóp. Znów to przyjemne uczucie. Trochę jakby miała się bezboleśnie rozplątać w czymś bardzo przyjemnym. Co to jest? O co chodzi? Ale było jej przyjemnie. Jakby się znalazła w środku jakiejś energii. Jakiejś erotycznej podniety. I odczucia te lekko ją obezwładniały, pozwalając jednak zachować jasność i przytomność umysłu. Costello nie miała słów na opisanie tego, co się z nią dzieje. Naturalnie nie zapomniała doznań seksualnych, które kiedyś miewała. Choć trzeba przyznać, że nigdy seks nie był w jej życiu szczególnie ważny. W życiu jej bohaterów – owszem. Elizabeth Costello wiedziała przecież niemal wszystko o ludzkiej naturze. Dostrzegała i opisywała najróżniejsze stany, skrawki stanów, emocji. Znała się na uczuciach. A mistrzostwo jej pisarstwa polegało właśnie na dostrzeganiu mikrostanów, mikrozachowań. Albo i nie mikro, lecz nieopisanych przez innych, tych niezauważanych, a z całą oczywistością przyjętych, kiedy już je nam pokazała. Dlatego była teraz w kłopotcie. Zarumieniła się nagle jak podlotek.

Jest najwyraźniej podniecona! W dodatku samo patrzenie na siebie w lustrze stan ten napędza. Ba, samo nawet myślenie o sobie.

Mój Boże! A cóż to za autoerotyzm?! Czy ja zwariowałam? Stara Costello patrzy na siebie i niemal faluje z podniecenia.

Coraz wyraźniej czuje, że ma ochotę na seks. Że „staje się wilgotna tam w środku”.

O ironio! O statusie przedziwny. Na cóż mi przyszło!

Musi używać słów z poczytnych powieści, bo nie ma własnych. To znaczy ma frazy, ale dla swoich bohaterów. Jej życie przecież nigdy nie miało tu nic do rzeczy. Ona pozostawała za szczelnym parawanem. Kogóż mogło obchodzić jej własne życie, cóż w nim jest ciekawego! A już na pewno nie w sferze seksu. Uczucia, owszem, zdarzały się. Mężczyźni. Costello nie analizowała zanadto swojego życia. Wystarczająco często i głęboko robiła to ze swoimi bohaterami. To miało wystarczyć. Mogła być panią ich życia i śmierci.

Costello czuła, że rośnie w niej napięcie czysto seksualne. Że... trzeba będzie je rozładować. Jak za dawnych szkolnych lat. Parsknęła nerwowym śmiechem. Ale fala przyjemnego podniecenia nie odpływała. I nagle Costello poczuła, że... ma ochotę kochać się z sobą.

Kiedy zeszła na śniadanie, przez chwilę miała wrażenie, że inni patrzą na nią, jakby odkryli jej tajemnicę. Jakby zredukowani do miniaturowych rozmiarów i schowani za ciężkimi zasłonami lub lustrami, obserwowali ją w ciszy, stając się świadkami jej krótkiej, lecz intensywnej rozkoszy. Rozkosz. Costello powtarzała w myślach to słowo. Potem głośno. Wiadomo, że słowo powtarzane wielokrotnie, zwłaszcza na głos, przestaje znaczyć to samo. Jego dawne znaczenie odrywa się, przekształca i staje się czymś innym. Właśnie coś takiego stało się teraz. Costello, przeżuając razowy tost, pomyślała, że należałoby jednak zrewidować słowo „rozkosz”. Stare jak świat. „Akt seksualny”! Kolejne określenie do rewizji. Czyżbym zamierzała napisać słownik wyrazów i zwrotów seksualno-erotycznych? Jeszcze niedawno był to dla mnie słownik wyrazów obcych, pomyślała. Nie chciała się na siebie złościć od samego rana, ale ta cielesna ciągota, ta niesubordynacja własnego umysłu, zaczęły ją irytować. Przypomniła sobie też, że zawsze irytowały ją artykuły w rozmaitych pismach dotyczące uprawiania seksu, wszelkie seksualne porady, choćby i mądre. Właśnie słownictwo denerwowało ją najbardziej. Costello nie myślała o sobie, że jest pruderyjna. Po prostu całe to słownictwo było dla niej zbyt wulgarne i odarte z tajemnicy. Pozbawione sacrum czy czegoś w tym rodzaju, które – Costello podejrzewała – musi chyba jednak być w całej tej sferze. Przyjechała tu wprawdzie po to, żeby się zajmować seksem, ale nie w taki sposób! Wagina. Przemknęło jej przez myśl. Moja wagina.

Pojawienie się tłumacza przerwało te wyliczanki.

Przywitali się. Costello odpowiedziała na konwencjonalne pytania o podróż, sen i samopoczucie. I udała się do pokoju. Na chwilę.

Całkiem niezła jeszcze ta Costello, pomyślał Robert Marini. Czy w jej wieku bywa się jeszcze ponętą? Czy myśli się jeszcze dużo o seksie? Jako tłumacz jej książek wiedział dobrze, czym seks jest dla bohaterów Costello. Ale jaka jest ona sama? Właściwie nie wiedział o niej prawie nic. Owszem, to, co było ogólnie dostępne o niej, jako pisarce. Informacji o jej prywatnym życiu nie było wiele. Myślał, że zna ją bardziej nawet niż krytycy i badacze. Ale teraz zwątpił.

A w ogóle, co to za myśl? Dlaczego przyszła mu do głowy? Dlaczego pomyślało mu się „całkiem niezła jeszcze”? Dobrze, że poszła na chwilę do siebie. Jeszcze domyśliłaby

się tej jego myśli. Zaczął przerzucać hotelowe broszury.

Jeszcze zanim dojrzał postać Costello, wiedział, że się zbliża. Nie było to jednak z powodu perfum. Ani specyficznego, jej tylko właściwego zapachu. Właściwie to, co poczuł, było w... nim. A ściślej: w jego ciele. Znów był zaskoczony. Ale Costello właśnie podeszła i przestał się nad tym zastanawiać.

Jechali przez zakorkowane centrum, Marini objaśniał wszystko, co było do objaśniania, a nawet dużo więcej. Tak przynajmniej zdawało się Elizabeth. Usta Roberta nie zamykały się. Dotarli do starej części miasta, a więc celu ich pierwszej wycieczki. Zwykle takie gadulstwo męczyło Costello bardzo szybko i zaraz znajdowała powód, by skrócić swoje męki. Ale dzisiaj było jej to na rękę. Wykazywała żywe zainteresowanie, zadawała dużo pytań, choć fakt, czy kamieniczki po lewej były odrestaurowane, czy odbudowane, nie miał dla niej żadnego znaczenia. Mało co, poza nią samą, mogło ją absorbować. Ciągle czuła swoje ciało. Nie, nie była to kolejna podnieta. Po prostu czuła je. I było jej dziwnie dobrze i lekko, choć nie pozwalało jej to skoncentrować się dłużej na czymś innym.

Przyglądała się ludziom. Były wśród nich grupki wycieczkowe, byli ludzie pojedynczo, parami. Jedni spieszyli się, inni snuli, zadzierając głowę i mrużąc oczy w słońcu.

Jaka to ciekawa pora roku! Wczesna jesień, koniec lata. Podoba się Costello. I nagle widzi obraz, który nosi w sobie od lat. Ciepłe kolory, koralowa czerwień, brąz, zamsz w rudym kolorze, biel koszulowej bluzki, dziewczyna stojąca przed domem czy chatą. Niby sielski obrazek, a jednak nie. Nie wiadomo, kim jest dziewczyna. Jej twarz jest w jakiejś gotowości. Usta na w pół otwarte, jakby przerwała w pół zdania, ale wiadomo, że zaraz będzie kontynuować. Twarz pogodna i w lekkim uśmiechu, jakby dobrze wiedziała, że temu, co chce powiedzieć, nic nie jest w stanie przeszkodzić, i jest pewna swego, a ten chwilowy przeszkadzacz to może tylko wiatr albo słońce. A może widz. Cały ten obrazek niesie obietnicę. Niemal pachnie świeżo wymłóconym zbożem. Dymem z ogniska. Wiatrem.

I tak od lat. Obraz wraca w połowie lata. Nigdy nie ewoluuje. Obietnica dziewczyny z obrazu nie spełnia się. Zawsze jest tylko jej przecucie. I to jest właśnie ciekawe. Costello próbowała sobie przypomnieć, gdzie to wszystko widziała. Czym się zainspirowała. Lub kto ją zainspirował. Chodziła do muzeów, szukając podobieństw. Kiedy zobaczyła w Wiedniu obrazy Arcimbolda, pomyślała, że na niektórych są podobne kolory. Ale skąd mogła o tym wiedzieć, tworząc w sobie kiedyś ten obraz? A poza tym to absolutnie nie było to. W końcu przestała szukać podobieństw i wyjaśnień.

Sama była jego autorką, zarazem wcale nią nie będąc.

– Pani Costello, czy pani mnie słucha?

– Co? Tak.

– Dobrze się pani czuje?

– Nie. Tak. Oczywiście, tak.

– Pozwoli pani zatem, że udamy się na lunch.

– Nie.

– Ależ pani Costello, pan rektor z małżonką... Czy pani źle się czuje?

– Nie. Doskonale. Oczywiście. Chodźmy.

Restauracja znajdowała się w secesyjnym pałacyku w środku zadbanego parku. Elizabeth woli parki zaniedbane, a nawet dzikie. Ale wczesnojesienna żółtość, przyćmiona zieleń i pierwsze spadające kasztany wynagrodziły brak dzikości, a wejście do pałacyku nastroiło ją pozytywnie. Przypomnił jej się pewien zapach, który także nosiła w sobie. Zapach staroci, pachli targów, zasuszonych kwiatów, bibelotów u pewnej starej ciotki, którą pamięta z dzieciństwa. Tutaj stary, wyfroterowany parkiet pachniał pastą do podłogi, prawie taką, jakiej używano w jej domu rodzinnym na farmie.

– Jak pięknie pachnie – powiedziała i wciągnęła nosem powietrze.

– Tak. Róże są jednak niezastąpione – odpowiedziała małżonka rektora, która chwilę wcześniej razem z mężem powitała Costello przed wejściem do pałacyku.

Elizabeth dopiero teraz zauważyła piękną starą konsolę i wielki bladuróżowy bukiet. Zaczynała się przyzwyczajać do odmienności swoich doznań zmysłowych i w ogóle dziwnego stanu. Jej ciało było nadal w stanie przyjemnego pobudzenia, jakby spowijał je jedwab albo muślin. Albo jakby kołysała ją fala. Taaaak, pomyślała. Zaiste, nie jest łatwo opisać stan ciała. Łatwiej zajmować się duchem. W najbliższej przyszłości musi to przemyśleć. Nawet napisała w tej kwestii do Michela H. Czytała niedawno u niego długi opis ssania członka...

– Pani Costello... – Rektor wskazał na tacę z kryształowymi kieliszkami, w których mienił się szampan.

Sięgnęła po kieliszek, wzniesiono toast za spotkanie.

– I za zapachy – dodała, starając się ukryć sekretny uśmiech, który zagościł na jej twarzy.

Rektorowa przypomniała sobie zapach swoich perfum i pomyślała, że dobrze, że użyła właśnie tych piżmowo-różanych.

– No i jak się ma nasza droga pani Costello? – zapytał rektor protekcyjnie.

– Ach, wszystko znakomicie. Wycieczka bardzo ciekawa. Stare miasto urocze, doprawdy.

Rektor, nieco zbity z tropu, zmienił temat.

– Spójrzmy zatem, co tu mamy dobrego – powiedział, kiedy zasiedli za stołem, i podał Costello menu, gotów wyjaśnić *specialité de la maison*, choć menu było w kilku językach.

Powszechnie wiadomo, że Costello mięsa nie jada i jest zagorzałą przeciwniczką masowego mordowania zwierząt w rzeźniach, ubojniach i tym podobnych. Jej wykład, w którym porównała to, co robi się obecnie ze zwierzętami, do obozów śmierci, odbił się szerokim echem nie tylko w świecie znawców literatury.

Lecz w tej właśnie chwili miała ochotę na świeżą wątróbkę wieprzową. Po chwili wahania powiedziała o tym. Zapytała kokieteryjnie, czy można, czy podają tutaj, nie zajrzawszy nawet do menu.

Zmieszana małżonka rektora, spojrzała pytająco, lecz rektor, lekko odchrząknawszy, zapewnił, że na pewno, że to możliwe. Przywołał kelnera, zamienił z nim kilka słów i skinął znacząco głową w kierunku Elizabeth. Tym gestem zaskoczył przede wszystkim

siebie.

Gotów do kolejnej zmiany tematu, miał podzielić się refleksją, że ostatnia książka Costello... Wtedy usłyszał:

– Państwo wiecie, że wychowałam się na wsi? Prawdziwej wsi, z gnojem, świniami, krowami, baranami?

– O tak! – z dziwnym entuzjazmem wykrzyknęła rektorowa.

Rektor milczał, nie mając pojęcia, dokąd zmierza Costello.

– Chciałabym państwu opowiedzieć... o świniobiciu – powiedziała Costello.

Rektorowa starała się ukryć zniesmaczenie, a rektor gotował się na wysłuchanie krwawej, pełnej szczegółów opowieści o męczeństwie świń. Zdążył tylko pomyśleć, że powinien był przewidzieć i przygotować się na taką ewentualność, kiedy Elizabeth zaczęła.

Opowieść Costello

Świniobicie robiliśmy raz, czasem dwa razy w roku. Specjalista od zabijania świń to Jules. Proszę sobie nie wyobrażać okrutnego mordercy. O nie! Jules jest niezwykle sympatyczny. Niewysoki, z włosami „przetykanymi siwizną”, w jasnorudych sztruksowych spodniach i koszuli w wypłowiałym kolorze (piaskowym). Uśmiechnięty. Nawet kiedy zadaje pierwszy cios siekierą. Drugi wydaje się logiczną konsekwencją. Pod swinia stoi biała emaliowana miednica do łapania krwi. Jules jest bardzo skupiony.

Kto będzie łąpać?, tak zawsze pyta. *Pro forma*, bo i tak wiadomo, że zrobi to Mathilda. Babka i gospodyni farmy. Dalsze czynności pominię jako mniej interesujące i przejdę od razu do sedna. Świni.

Jules wyjmuję więc wnętrzności. Przychodzi moment płukania kiszek, czyli świńskich jelit, które będą potrzebne do robienia kaszanki i kielbas. Zwykle nikt się do tej czynności nie pali, bo śmierdzą obrzydliwie na początku. Ale kiedy podrosłam – miałam siedem albo osiem lat – zgłosiłam się na ochotnika. Z początku nikt nie wierzył, że to zrobię. A więc dzielnie trzymam jeszcze nieopróżnione z resztek jedzenia i nieczystości jelita. Jules wlewa w nie dużo wody. Dopinguje mnie. Resztki wypływają coraz prędzej. Wszyscy zatykają nos. A ja trzymam swoimi paluszkami te dziwne flaki. I jeśli czasem upuszczam, to tylko dlatego, że strumień wody jest zbyt mocny i moje rączki są za słabe. Ale nie szkodzi. Jelita i tak wpadają do balii. W tej balii płuczę je wielokrotnie, aż Jules obwącha je i uzna, że są czyste. Więc klęczę i płuczę, i kąpię te jelita, grube, pofałdowane, jak na rysunku w podręczniku do biologii mojego brata Joego. Są też i cienkie, które coraz trudniej dostrzec, bo robią się czyste i przezroczyste.

– Rany, jak ty możesz? Nie brzydzisz się?! Ohyda! – Joe zbliża się do balii.

– Mogę. I nawet bardzo lubię. A ty lubisz świeżą kiszkę i kielbasy, prawda?

– Każdy lubi. Ale ta robota jest okropna. A ty niby taka wrażliwa... Nie rozumiem.

– Nie wszystko musisz rozumieć.

Ale Joe nie ustępuje.

– Wy tłumacz.

Wie przecież, że jego siostra żyje w świecie nieco bardziej skomplikowanym niż jego własny. Odnosi się do tego pobłaźliwie, ale też z podziwem. Stoi i patrzy jak

zauroczony, gdy ja pracuję w skupieniu. Ręce mam czerwone od zimnej wody, którą co jakiś czas wymienia mistrz Jules. Wpatruję się w te jelita.

- Co ty w nich widzisz? – pyta Joe.
- Hm, różne rzeczy.
- Tak myślałam.
- Cha, cha, cha. Głupi jesteś. Nic nie widzę. Uwielbiam je dotykać. Po prostu.
- Że co?
- No. Dotykać. Takie śliskie. Ciepłutkie.
- Co ty bredzisz, Elizabeth?! Przecież woda jest lodowata.
- Ale były ciepłutkie. Tam w brzuchu.
- E, głupia jesteś.
- Zaraz powiem ojcu, że znów tak na mnie mówisz, i zamknie cię w komórce.
- Okej, zmieniam głupia na dziwna. Lepiej?
- Mhm, może być. Ale oddajesz mi dzisiaj swój pudding.
- Niech ci będzie.
- Taaak. No i odszedł. Zmył się.

Costello zakończyła nagle, nie patrząc na pełne talerze na stole. Snując swoją dziwną opowieść, patrzyła na biesiadników, ale nie wiadomo, czy ich widziała.

Potem delektowała się pieczonym jabłkiem, wypijała swoją ulubioną kawę z amaretto, nie pogardziła też nalewką gruszkową.

Opuściła restaurację lekka, jakby unosiła się kilka stóp nad ziemią. Rektor i rektorowa też mieli powód do radości. Ten okropny obiad wreszcie się skończył.

Żadne z nich na razie nie powiedziało tego głośno, choć pozostali już sami. Rektorowa, która od czasu do czasu musiała grać rolę rektorowej, poza tym była dość mądrą kobietą. Miała swój świat, który nie był światem rektora. Jej mąż na szczęście nic o tym świecie nie wiedział.

Rektor milczał. Co mógł myśleć? Że Costello odbiło na stare lata? Że stara pisarka robi się coraz bardziej ekscentryczna? Że było to po prostu niesmaczne?

Niby własna żona była idealną adresatką tego czy czegokolwiek innego, co teraz myślał. Ale z jakichś powodów właśnie teraz było mu trudniej z nią rozmawiać niż w wielu innych konwencjonalnych sytuacjach.

Rektorowa też milczała. Dla niej zachowanie Costello chyba nie było prowokacją. Może nawet na pewno. Kłopot rektorowej polegał raczej na tym, że w jej towarzystwie czuła się... jakoś dziwnie pobudzona. Spojrzała na męża. Minę miał tajemniczą. Koncentrował się na prowadzeniu samochodu, jakby była to w tej chwili najważniejsza rzecz na świecie. Rektorowa poczuła chłodny powiew na szyi. Nie lubiła klimatyzacji.

- O której zaczyna się jej wieczorne spotkanie? – zapytała.
- Ale nie musisz mi towarzyszyć. Zresztą...
- Nie będę. Pójdę tam sama. – Nie pozwoliła mu dokończyć zdania.

Odkąd Robert Marini pozostawił Costello przed restauracją, próbował zrozumieć, co się z nim właściwie dzieje. Po spotkaniu z Costello pozostało mu wspomnienie zapachów, których nie znał. Skąd one się brały? Był podekscytowany i zirytowany. Starał się

maksymalnie koncentrować na swojej roli przewodnika, zasypywał pisarkę szczegółowymi informacjami, żeby ukryć swój stan. Miał wrażenie, że jej pożąda. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło, to jest nigdy w sytuacjach zawodowych oczywiście. A już na pewno nie w stosunku do kobiety sporo od niego starszej. Wciąż czuł bardzo silne pożądanie, ale też nieokreślony niepokój i może nawet lęk. Jak to się mogło zdarzyć?! Mówił do Costello rzeczowo i obojętnie, a jednak...

Elizabeth wróciła do apartamentu. Zdjęła buty i rozmasowała obolałe stopy. Tak. Stopy były jej najsłabszym punktem. Szybko się męczyły, często bolały. Nie słuchała rad lekarzy i nie nosiła wygodnego obuwia. Wzgląd estetyczny zawsze brał górę nad praktycznym. Nie żeby Costello chodziła na niebotycznych obcasach, ale butów z szerokimi czubkami nie lubiła, bo urągały jej poczuciu estetyki.

Uwielbiała, kiedy masowano jej obolałe stopy. Jeśli robiono to dobrze, ulga, jaką odczuwała przy masażu, graniczyła z rozkoszą. Dzięki swoim postaciom doskonale wiedziała, że ból i rozkosz to bliskie doznania.

Dlaczego właściwie nigdy nie prosiłam swoich kochanków, by zaczęli od masowania moich stóp? Przecież mogłabym powiedzieć, że w ramach gry wstępnej niech zaczynają od tego, pomyślało jej się.

Ach, westchnęła. Dlaczego w ogóle nie prosiłam o tyle innych rzeczy! Zaczęła sobie przypominać. Lubiała, kiedy delikatnie całowano jej szyję, dyskretnie, z tyłu. W lustrzanym suficie pewnej sypialni widziała, jak jej głowa przechyla się i opada, a oczy same zamykają i nie dlatego, by nie patrzeć na kochanka. Co musi przyznać, również jej się zdarzało. Costello zaczęła sobie uświadamiać, że może jest więcej takich miejsc, których dotykanie, pieszczenie, całowanie sprawiałoby jej radość, przynosiło dreszcz emocji.

Machnęła ręką. A tam! I wtedy zobaczyła w lustrze toaletki, jak strasznie ją ten gest postarza. Spróbowała jeszcze raz. Przeraziła się. Bo z tym gestem zmieniała się twarz Elizabeth. Zobaczyła twarz babki Mathildy, która taki gest często powtarzała.

Aa, ja już nic nie chcę (w domyśle od życia), mawiała Mathilda, kiedy ją o coś pytano lub coś jej proponowano.

Zaraz, zaraz, kiedy babka przestała mieć jakieś życie erotyczne? Właściwie odkąd Elizabeth ją znała, była sama. Wdowa od wielu lat. Pracowała ciężko na farmie. Chyba nikt już nie proponował jej zamążpójścia, co podobno jeszcze kilka lat po śmierci męża się zdarzało. Czy mogła się z kimś spotykać? Nie. Raczej nie. Elizabeth była bystrym dzieckiem, zawsze lubiła obserwować ludzi. Coś by zauważyła. Może jednak babka miała kogoś? Niczego takiego mała Elizabeth nie podejrzewała. Chyba że Mathilda była bardzo dyskretna.

Wyprostowała się, wypięła pierś, lekko zsunęła szlafrok, tak by ukazał jej ramiona. Opalone ramiona wyglądały ładnie nad czarnym jedwabiem w kolorowe hafty. Costello pomyślała, czy gdyby zaczęła oto opisywać siebie, swoje ciało, swój nastrój, swoje podniecenie... Czy podołałaby? Czy nie byłby to opis z romansu Danielle Steel? Czy to możliwe, żeby nie mieć...

Dzwonek telefonu poderwał Costello, a jej ręce starannie owinęły ramiona szlafrokiem. Podeszła i podniosła słuchawkę.

- Halo-oo... Elizabeth Costello?
- Tak.
- Elizabeth... Wiedziałem...Wiedziałem, że kiedyś wrócisz.
- ???
- Elizabeth! Odezwij się.
- To ty?!
- Tak. Czy jesteś wolna dziś wieczorem?
- Co-oo?!
- Zapraszam panią na kolację. Czy tak brzmi lepiej?

Aula uniwersytecka była wypełniona po brzegi (!). Costello pomyślała, pewna jak nigdy dotąd, że nie lubi spotkań tak właśnie zorganizowanych. Tego przemawiania *ex cathedra*. Wpatrzonych w siebie oczu. Oczekiwania, że powie coś mądrego. Że postawi trafną diagnozę współczesnemu światu. Dotknie sedna spraw, problemów. Może jeszcze poda gotowe rozwiązanie. Jednakże czasem miała poczucie (raczej wątle), że namieszała być może trochę w głowach audytorium. Godziła się na te wszystkie spotkania i wykłady w końcu nie tylko dlatego, że stanowiły część roli, jaką jej wyznaczono (bycia znaną pisarką). W pewnym sensie była osobowością performatywną. Jeśli grała – to w jasnym celu. A na ile – właśnie miało się okazać.

Proszę państwa!

Dawno mam za sobą młodzieńczą niezgodę na tę niesprawiedliwość, iż rządy nad państwami, nad kontynentami, ziemią i ludźmi (teatralnie zatoczyła ręką) wcale nie należą do ludzi najmądrzejszych, a jedynie skutecznych w walce o wpływy. Bez wątplenia inteligentniejszych od innych, bo tę walkę wygrywających. Ale jak wszyscy wiemy, nie ma to często nic wspólnego z mądrością. Ani z wykształceniem. Politycy nie dysponują żadną gruntowną wiedzą o człowieku. Nie zdają żadnych egzaminów z dziedziny etyki, psychologii, sztuki, kultury. Kiedyś buntowałam się, że pole walki zabrali już dawno. Teraz wiem, że niczego nie zmienię. Ani moimi książkami, ani wykładami. Wszyscy pisarze muszą to wiedzieć. Niektórzy nawet z pasją to opisują i z tego uczynili koronny temat swej literatury.

Profesorowie, socjologowie, analitycy kultury próbują dojść do jakichś wniosków, czasem ze skutkiem, choć powszechnie wiadomo, że ta złożona rzeczywistość nie daje się uchwycić w całości, że jedynie dotknięcie fragmentu jest możliwe. Sama nie jestem w tym dobra i niespecjalnie nadaję się zresztą, by stawiać społeczeństwu diagnozy. Jakiemś jego przedstawicielowi, pojedynczej postaci z moich książek: owszem. Interesuje mnie raczej człowiek pojedynczy. Choćby i moja własna babka na farmie. Mawiała ona na przykład: popatrz, Elizabeth, co to jest, że człowiek, jak się wysra, to musi zawsze spojrzeć na swoje gówno? Nigdy o tym nie zapomina. Co go tak w tej kupie ciekawi? Bardziej interesuje mnie opisywanie, co ewentualnie myśli człowiek patrzący w toalecie na swoje gówno, niż opis społeczeństwa, grupy czy nie daj Boże, narodu.

Costello zaśmiała się sarkastycznie.

I właśnie teraz, pozwolę sobie zapytać: kim jesteście, kiedy robicie siku, gdy robicie kupę, kiedy wasze twarze są czerwone z wysiłku? Co wtedy myślicie? Co czujecie, dotykając własnych członków, cipek, będąc w tak zwanej toalecie? Bo przecież nie wyłączacie chyba wtedy myślenia ani czucia? Powiecie mi, że wara od tego pisarzom, że te najintymniejsze, wstydlive czynności są jedynymi, których się nie opisuje. Nie będę was podglądać. (Podniosła prawą dłoń jak do przysięgi). Ale wiecie sami, kim wtedy jesteście? Umiecie na to odpowiedzieć? Umiecie coś poczuć? Może to ostatnie miejsca, gdzie jesteście sobą...

Któregoś dnia, całkiem niedawno, zdarzyło mi się być w pewnym modnym miejscu, gdzie bywa elita artystyczna, i zachciało mi się kupę. Kiedy już dotarłam do toalety, co wcale nie było takie proste, bo budynek zaprojektował młody artysta, i udało mi się

wejść do środka, choć znalezienie tego, co nazywamy klamką, stanowiło test na inteligencję, to, co tam ujrzałam, tak mnie zafrapowało, że nawet nie spojrzałam na kupe, którą zrobiłam. Ktoś, artysta, zajął się tym, bym nie mogła pomyśleć o niczym innym niż to, co stworzyła jego wyobraźnia. Z sufitu, jeśli w ogóle coś takiego tam istniało, zwisały jakieś, hm, niezidentyfikowane obiekty. Próba rozpoznania ich zajęła mi dłuższą chwilę, ale w końcu musiałam dać prym własnej... pupie. Zaczęłam się koncentrować z pochyloną głową i zaatakowało mnie coś, co znajdowało się pod podłogą, jeśli tak możemy nazwać tafłę z czerwonego, półprzezroczystego szkła, spod której wyzierały jakieś smutne twarze o wielkich oczach. Jakieś malunki. Zamknęłam oczy, zrobiłam w końcu, co musiałam, i z ulgą opuściłam ten przybytek, który na całym świecie nazywa się WC. Minę musiałam mieć nietęgą, bo Michel Houellebecq, który siedział z nami przy stoliku, zawołał, zacinając się bardziej niż zwykle:

– *Mon Dieu*, Eliiisabeth?! Coho się stało? Diaabła zobaczyłaś czy co-ooo?

– Żebyś wiedział! To jest: żebyś widział.

Czy tak wygląda piekło?, pomyślałam. Czy tak je sobie wyobraża młody artysta? Ale dlaczego nie uczyni swojej toalety obiektem na wystawie sztuki współczesnej! Dziś, w dobie wystaw i antywystaw, wszystko jest możliwe. Niech tam każe zwiedzającym wejść do takiej toalety i posiedzieć.

Tak, proszę państwa. Nasze zmysły atakowane są zewsząd, na wszelkie sposoby. Ktoś nie pozwala nam po prostu spokojnie zrobić kupy.

Zamilkła i zamyśliła się. Po sali przeszedł szmer, drobne gesty niesmaku. Zadawano sobie zapewne pytanie, ile jeszcze będzie o tej nieszczęsnej kupie.

Państwo zadają sobie pewnie pytanie, ile czasu Costello poświęci tej nieszczęsnej kupie. Myślę, że dużo niestety. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj mam jeszcze do omówienia kilka spraw. Czy państwo myślicie czasem o swoich, hm, narządach płciowych, że użyję tego medycznego terminu. Innymi słowy, czy pani z pierwszego rzędu, obok kolumny, myśli czasem o swojej cipce.

Wszyscy odruchowo spojrzeli w jej kierunku, kobieta zaczerwieniła się, a Costello uśmiechnęła się z tryumfem, jakby dobrze wiedziała, że audytorium tam spojrzy.

Czy pan, młody człowieku, tu Costello spojrzała na długowłosego mężczyznę w obszarpanym tiszercie, myśli o swoim ciele inaczej niż w związku z pana, dajmy na to, wyglądem?

Teraz słuchacze nie odwracali już głów, ale młody człowiek i tak poczuł zbliżającą się panikę.

Kim pan jest, kiedy wyjmuje pan swój członek, żeby sobie ulżyć, kiedy pęcherz jest przepełniony? A kiedy wydała pan to, co zjadł pan na obiad, czy ma pan na przykład odruch spojrzenia na własne ekskrementy?

Słuchacze zaczęli się nerwowo wiercić.

Proponuję zastanowić się, czy chcecie państwo zostać w tej sali, zanim przejdę do dalszych pytań i zagłębię się w te niewygodne rozważania. Poczekam chwilę, a państwo sami zdecydujcie.

Założyła nogę na nogę i czekała. Słyszała szepty, szmery i inne odgłosy. Nikt jednak nie wyszedł.

Zatem, kontynuowała, chcecie zostać i posłuchać starej wariatki. Tak, tak, pisarze to

wariaci. Przynajmniej niektórzy. Pozwolą państwo, że będę się zwracać bezpośrednio i by tak rzec: personalnie, do niektórych z was. Jakże inaczej bowiem mówić o sprawach fundamentalnych i intymnych, zepchniętych z niewiadomych powodów na margines dyskursu publicznego. Och, nie będę jednak mówić o odwiecznej dychotomii ciała i ducha, bo ktoś jeszcze w nią wierzy. Są wśród państwa zapewne tak zwane osoby wierzące, są wątpiacy i poszukujący. Są pewnie ateści, rozmaici agnostycy i praktykujący buddyzm. Także szczęściarze, których umysł wolny jest od takich poszukiwań. Są i umysły zniewolone przez różne rzeczy, idee, poglądy. Właściwie można by przyjąć też kolejne założenie, że skoro tu jesteście, wasze życie intelektualne jest bogate i przynajmniej pretendujecie do bycia intelektualistami. Cokolwiek robicie, czymkolwiek się zajmujecie, kimkolwiek jesteście, wszyscy macie ciało.

Costello usłyszała szmery, jakieś westchnienia, wyrazy rozczarowania?

Tak, wiecie o tym! Naturalnie. Ale zaryzykowałabym twierdzenie, że żadna z obecnych tu kobiet nie wie, jak doświadczać swojej cipki, kiedy nie można jej dotknąć, bo są panie na przykład na wykładzie pisarki albo w biurze, metrze czy choćby na ulicy. No, która z pań ma jakieś w tej mierze doświadczenie? Dodam, że nie mówię tu o czuciu seksualnego podniecenia, co przecież wszystkim nam się zdarza, bywa, że w najmniej oczekiwanych i odpowiednich momentach. Choć przypuszczam, że coraz rzadziej.

Costello odczekała chwilę.

Nie wiecie. O, pewnie niektóre z pań miałyby coś do powiedzenia, lecz wpojono nam wszystkim poczucie wstydu, przyzwoitości, poprawność polityczną i tak dalej. Otóż ja, kiedy chcę poczuć swoją cipkę, przybliżyć się do niej niejako, dotykam językiem... wewnętrznej strony obu policzków. Przemieszczam swój język także wokół zębów, starając się jak najmniej ich dotykać. Tak mniej więcej wygląda wewnątrz ta nasza cipka.

Costello odczekała kilka sekund, po czym bezceremonialnie zaczęła majstrować językiem, wypychając policzki.

Mogą panie spróbować. Śmiało.

Znów odczekała kilka sekund. Patrzyła zachęcająco, a jednocześnie prowokacyjnie. Po chwili jedna z kobiet zaczęła ją naśladować. Costello rozpoznała w niej żonę rektora. Uśmiechnęła się do niej. Kilka młodych dziewczyn poruszało językami. Costello gestem zachęcała do eksperymentowania. Także mężczyzn.

Panowie, a teraz wy. Spróbujcie. Czy wasze odczucia są podobne, kiedy liżecie cipki waszych kochanek, żon, koleżanek? Roześmiała się i dodała: wami zajmiemy się później.

Zerkała na rektora, którego twarz była jednym wielkim pomieszaniem i wahaniem. Zastanawiał się pewno, do czego ona zmierza, czym to się skończy i czy nie powinien interweniować. Przerwać ten żenujący spektakl, który dopiero się rozkręca? Co ona jeszcze zrobi? Może za chwilę się rozbierze i zechce pokazać... Costello przerwała jego rozmyślenia:

Niech nikt z państwa się nie obawia. Nie zamierzam się rozbierać. Nie będę nic pokazywać. Państwo się zastanawiają, do czego zmierzam. Państwo myślą (myśleli), że będę tu państwu opowiadać o filozofii, o ciemnej stronie egzystencji, o uciśnionych

i poniżanych, o wykluczonych. Właściwie nie mylicie się. Zawsze o tym mówię. Od lat. Czy będzie coś o antropofagii, o antropoemii, zastanawiacie się może.

Costello spojrziała chytrze na słuchaczy. Widziała zakłopotanie, zmieszanie i ciekawość.

No, przynajmniej jako o pewnej metaforze w stosunkach międzyludzkich. Tylko, proszę państwa, co z tego, że będę mówić o wykluczeniu, o Innym, czy to będzie dyżurny Czarny, Homoseksualista, Uchodźca, czy inna tak zwana wielka figura wykluczenia. To są ważne kwestie, nie przeczę, i jakże atrakcyjne intelektualnie. Ale są to rozważania, by tak rzec, jałowe. Nie tylko niczego nie potrafią zmienić, ale nie nazywają przyczyny. Te bez wątplenia istotne kwestie pozostawię filozofom, teoretykom, których nazwiska znacie i którzy w atrakcyjny i estetyczny sposób przedstawiają wiele zjawisk oraz sytuacji społecznych czy (już coraz rzadziej) egzystencjalnych. Ale dlaczego? Dlaczego tak się dzieje?!, zapytała dramatycznie. Nie podejrzewam was o to, że przypisujecie mi jakąś mądrość, która pozwoliłaby mi udzielić odpowiedzi. Bo kimże jestem? Tylko pisarką wariatką, jak to ustaliliśmy na początku. I jako taka właśnie pozwolę sobie powiedzieć państwu, że to, czym mogę się zająć i do czego czuję się w pewien sposób uprawniona, to mówić o sobie. O swoim doświadczeniu. Z nadzieją, że chcecie słuchać i że to państwa zaciekawi. A to, co ostatnio mnie ciekawi najbardziej, to moje wierne, nieme ciało. Dzisiaj rano moje stare dłonie wydały mi się piękne. (Uniosła dłonie, by je pokazać, przyjrzała im się krótko). Tak, wiem, są pokryte brązowymi plamami, skóra jest wysuszona, a o doskonałości kształtu moich dłoni można by dyskutować. A jednak są piękne. I nie ma to nic wspólnego z estetyką. To tylko nasza biedna kultura kojarzy piękno z estetyką. Są piękne, bo są moje. Są częścią mnie. Kiedy byłam młoda, patrząc na swoje dłonie, często myślałam o szerokiej gamie możliwości, jaką mają. Mogą kroić chleb, pisać wiersze, wykonywać całe mnóstwo codziennych, użytecznych czynności. Mogą czynić rzeczy pięknymi. Ale patrząc na nie, myślałam, że mogą także zabić. Mogą na przykład udusić. Czy wiecie państwo, że był taki czas, kiedy się ich bałam. Co by było, myślałam, gdybym kiedyś nad nimi nie zapanowała. Gdyby wymknęły się spod mojej kontroli...

Słuchacze znów poczuli się nieswojo, niektórzy odruchowo oglądali swoje dłonie.

Niektórzy z państwa patrzą na swoje ręce. Słusznie. Niektórym z państwa przychodziły zapewne do głowy podobne myśli. Ale wielu z was udało się ich uniknąć. Czy też, powiedziałabym inaczej, wielu z was niestety nie udało się ich mieć. Nie daliście sobie szansy. Nie daliście sobie prawa. Nie mieliście czasu na takie błahostki. Piszecie być może doktoraty, pracujecie, zgłębiacie teorie, może coś tworzycie. Zgłębiacie naturę ludzką. Zastanawiacie się, dlaczego ludzie się nie tolerują, nienawidzą, zabijają. *Unde malum*. Wciąż można o to pytać. Ja też tego nie wiem, proszę państwa. Ja nawet nie chcę tego wiedzieć. Bo przypuśćmy, że posiadałabym ją, tę wiedzę. Przypuśćmy, że ona istnieje. Że doznałabym olśnienia, że ktoś lub coś zdecydowałoby mnie do niej dopuścić. Że znalazłabym ją na miedzy, jak mawiała moja babka. Albo w pudełku od szpilek. (Zachichotała). Albo w grubych księgach. Nieskończenie wiele możliwości teoretycznie. (Znów zachichotała). I cóż bym z nią zrobiła?! Przygniotłaby mnie pewnie, jak wielki kamień. Może by mnie poraziła.

A może byłaby całkiem banalna. I musiałabym popełnić samobójstwo z rozpaczy i rozczarowania. Taaak! Taka uniwersalna wiedza, która wytłumaczyłaby wszystko! Państwo wiedzą pewnie lepiej niż ja, ja tylko piszę książki i czasem mówię do państwa, bo tego życzą sobie wydawcy, że od dawna nie jest możliwe opisanie ponowoczesnego świata. Możemy podejmować jakieś próby, opisywać jakieś fragmenty, zbliżać się. Ale nic tak naprawdę nie możemy.

Costello zrobiła pauzę. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Po chwili dodała:

Możemy jednak doświadczać swojej cipki. Możemy przyglądać się swoim dłoniom. Możemy czule dotykać siebie lub innych.

Spojrzała z uśmiechem na słuchaczy. Taaak. Możemy być czuli. Dla innych lub dla siebie samych.

Przekrzywiła zalotnie głowę.

Czułość, proszę państwa, odkryłam słowo „czułość”, powiedziała raptem Costello, jakby nie swoim głosem. Zaraz jednak powróciła do poprzedniego tonu.

Państwo są być może w tej uprzywilejowanej pozycji, że wasza praca wymaga godzin spędzanych nad książkami, przy komputerze, na tak zwanym rozmyślaniu. Na studiowaniu. W przeciwieństwie do tych, którzy działają, biegają, pracują w sławetnych korporacjach i są, jak zwykle się mówi, trybikami wielkiej maszyny. Oddają swój czas i energię, otrzymują zapłatę. Osiągają cele. Wyznaczają sobie nowe. Oni lub ktoś inny za nich. Zbyt proste byłoby powiedzieć, że wypełniają swój czas. Że uciekają. Zbyt proste byłoby powiedzieć, że nie mają czasu. Ale i zbyt proste, że przecież każdy ma go tyle samo. Zaś państwa uprzywilejowana pozycja polegać by miała na pewnej wolności. Sami lub prawie sami możecie decydować, czym się zajmujecie, co przeczytacie, nad czym pomyślicie. Ale to tylko wolność pozorna. I pozorny przywilej. Wasze umysły angażują się bowiem, być może jeszcze bardziej niż innych, w nie swoje dociekania, w nie swoje myśli i nie swoje odczucia. Nie zgłębiacie piękna swoich dłoni? Nie czujecie swoich cipek, nie dotykacie swoich penisów? Jakże wam się to udaje? Nie dajecie sobie czułości? Ejże! Nie liżecie cipek? Nie pieścicie innych lub siebie? W ogóle nie macie popędu? Cóż za bzdury wygaduje ta Costello, myślicie w tej chwili. Wszyscy to mamy, wszyscy to robimy, tylko po co o tym mówić. To nieelegancko. To są sprawy intymne, prywatne. Zgoda. Zgoda absolutna. (Znów uniosła dłoń, jak do przysięgi). Tylko jak to się stało, że wy sami wypchnęliście to poza obszar waszego dyskursu wewnętrznego? Wiecie, co myślicie, ale nie wiecie, co czujecie. Znacicie wasze dłonie? Wasze stopy? Wasze szyje? Znacicie w końcu wasze uczucia? Czy na pewno znacicie wasze myśli? Co robicie, kiedy przychodzą te niepożądane? Jakby zupełnie niekontrolowane. Złe. Straszne. Pełne lęku. Nie macie ich? Jak to się wam udaje? Proszę, powiedzcie. Niech i ja skorzystam.

Costello zrobiła pauzę, napiła się wody. Audytorium odniosło chyba wrażenie, że pisarka nie wie, co dalej mówić. Niektórzy wyciągali szyje, usiłując podejrzeć, czy ma jakieś notatki.

Zastanawiacie się pewnie, czy wiem, co mam dalej mówić. Tak, mam notatki. Są tu, w mojej głowie. (Wskazała palcem, jakby przystawiała pistolet). Mówi się, że żyjemy w czasach kultu ciała. Ciało, ma się rozumieć, równa się młodość. Już nie tylko popkultura zepchnęła starość na margines. Wszyscy chcemy młodo wyglądać. Chcemy

być *sexy*. Spędzamy godziny w siłowniach, klubach fitness, na rowerze. Czyżbyśmy chcieli być jak starożytni Grecy albo Rzymianie? Wydaje nam się, że byli piękni. Taaak.

Znów zrobiła pauzę. Napiała się wody. Trudno zgadnąć, co myśleli słuchacze. Wydawali się trochę zbici z tropu, ale już znudzeni.

Ja sobie myślę, proszę państwa, że my swoich ciał nie znamy. Nie doświadczamy ich zbyt często. A skoro nie znamy swojego ciała, to jakże możemy je akceptować? Jak możemy się z nim zaprzyjaźnić? A jak w takim razie zaprzyjaźnić się z obcym ciałem? Ha! To mi dopiero wyzwanie. Leżeć w łóżku z jakimś obcym ciałem. Bez żadnej metafory. Bez najmniejszej przesady. Pozwolić komuś zbliżyć swoje ciało. W imię czego? Być z cudzym oddechem, nie zawsze przyjemnym. Z ciałem wypuszczającym gazy, pryszczatym, plamiastym, owłosionym. Pocącym się. Państwa zde gustowane miny zapewne mówią, że jeśli to robimy, robimy w imię miłości. Że przecież kochamy, a jak kochamy, to ciała wydają nam się piękne. Pożądamy ich. Że popęd, że seks, że przyjemność. Że orgazm. Czasem. Ja w to wszystko, proszę państwa, nie wierzę. To znaczy nie wierzę w pewnym sensie. To są tylko formy naszej kultury. To są wymysły wszystkich kultur. To są, krótko mówiąc, pojęcia. Tak, takie puste naczynia, w które coś wkładamy. Przepraszam państwa za banalność tej definicji. Nie będę tu, rzecz jasna, analizować, co w poszczególnych kulturach, poszczególnych epokach i co w naszych postczasach pojęcia te oznaczają. Nie jestem kulturoznawczynią. A filozofią zajmują się przecież mężczyźni. (Costello zrobiła jakiś dziwny grymas).

Kto z was często doświadcza czysto zwierzęcego popędu seksualnego? Takiego, że jak się zdarza, że jak przychodzi czy nas nachodzi, to trzeba się nim zająć natychmiast. A czy to w ogóle jest możliwe? A jak to zrobić? W czasie rozmowy z klientem. W czasie konferencji. I w wielu innych sytuacjach, niemożliwych i nierealnych. Co wtedy państwo robią? Jeśli już to się zdarzy. Przekierowujecie zapewne swoje myśli na jakieś inne obiekty, tłumaczycie sobie, że to przecież w tej chwili niemożliwe. Ale przede wszystkim w ogóle nie dopuszczacie popędu do głosu. Macie świadomość, jesteście istotami, które na szczęście mogą kontrolować własny umysł i ciało. W kontrolowaniu można się bardzo wytrenować i wszyscy to robimy, nawet o tym nie wiedząc. Bez ustanku pilnujemy naszego umysłu. Mamy setki sposobów, by nie dopuścić myśli, które nam nie pasują, które są niewygodne, które nas martwią albo smućą. A przynajmniej żeby ich nie rozwijać, lecz zablokować, skoro tylko się pojawią. Czasem w desperacji miałabym ochotę postulować, żeby wprowadzić obowiązkowy trening, nie wiem, przedmiot w szkole: dopuszczanie do głosu własnych myśli. Czemuż od nich uciekać! Może się czegoś od nich nauczymy. Może są ciekawe. Może to oznacza, że nasz mózg jest w stanie pomyśleć wszystko. Przecież nie wszystko musimy zaraz zrobić. W końcu moje dłonie nikogo dotąd nie zabiły. Kiedy byłam młodą dziewczyną i pasłam krowy, widziałam byka, który skacze na krowę. Najpierw jego narząd płciowy strasznie się powiększył. Potem jego przednie nogi naskoczyły na grzbiet krowy, która musiała się zatrzymać. Pomyślałam, że musi być dla niej bardzo ciężki. Byk bez pomagania sobie rękoma, bo przecież ich nie ma, wsadził w zad krowy swój wielki narząd. Nie wykonywał właściwie żadnych gwałtownych ruchów. Jakby wszystko się zatrzymało. Świat stanął. Ale wszystko w tym zwierzęciu drżało. Dreszcz ogarnął całe jego cielsko. Trwało to kilkanaście sekund. Patrzyłam jak zauroczona. Były w tym moc, magia

i czyste zmysły. Było to piękne i wstrętne zarazem. Do głębi poruszające. Czysty akt kopulacji. Nie chciałam się sobie do tego przyznać, ale też byłam dziwnie podniecona. Instynktownie czułam, że nie ma nic bardziej biologicznego, ohydneho i cudownego. Nie ma drugiej takiej mocy. Czy dla krowy było to też przyjemne, zastanawiałam się. Stała grzecznie. Poddała się temu aktowi. Nie ma wyboru, myślałam. Wielkie ciało byka zniewoliło ją. A jednak nie pomyślałam o gwałcie. O przemocy. Choć ta krowa naprawdę nie miała wyboru. Zwierzęce akty seksualne w miniaturowym wydaniu mogą państwo zaobserwować u waszych chomików, świnek morskich, psów, itd. Ostatnio widziałam to na wystawie w sklepie zoologicznym. Jakiś gatunek polnych myszy. Znów stanęłam zafascynowana, choć gryzonie nie należą do moich ulubieńców. Po co ja to państwu opowiadam? Nie mam mocy zamienienia was w myszy. Ani krowy. Choć czasem chciałabym. Nawet jako pisarka mogę to uczynić tylko teoretycznie. I tylko w bajce dla dzieci. Bo państwo przecież nie uwierzycie w takich bohaterów.

Ktoś powie: stara zwariowała. Chce nas zredukować do zwierzęcego instynktu. Tak. Nawet nie wiecie, jak bardzo bym chciała. Właściwie mogłabym przebrać swoje postaci. Nałożyć im na przykład zwierzęce maski. Użyć władzy Prospera. Zaczarować. Umieścić w jakimś Lesie Ardeńskim. Odebrać rozum, zostawić żądze. Jakąż orgię moglibyśmy pokazać. I jakie to by było sceniczne. Ludziom się wydaje, że w teatrze można bezkarnie zrobić różne rzeczy. Tylko czego dowodziłaby taka zamiana, taka metafora? No i trzeba by się kiedyś obudzić z tego snu nocy letniej. Wrócić do swojej skóry, swego rozumu, rozmaitych norm społecznych. Zasad i reguł.

Umilkła na chwilę. Westchnęła. Cóż nam zatem pozostaje, jeśli swojego statusu zmienić nie możemy? Zawieszeni między bykiem z mojego dzieciństwa a Bogiem lub nicością. Czy możemy się oderwać? Przeciąć tę niewidzialną linię? Spaść w niebyt? W Houellebecqowską pustkę? Próbować ratować się seksem, jako jedyną dostępną formą miłości? To, co możemy zrobić dla siebie i innych, drodzy państwo, to próbować poznać siebie. Zrozumieć. Zapoznając się po kolei z naszymi członkami, to jest, chciałam powiedzieć, częściami ciała. Polubić je takimi, jakie są. I żeby nie narazić się całemu kosmetycznemu przemysłowi lub medycynie estetycznej i nie wydać się nienowoczesnym, także jeśli je sobie zreperujemy, zmienimy, udoskonalimy. To w gruncie rzeczy bez znaczenia. Możemy poznać nasze żądze. Wydobyć je z mroku. Cieszyć się nimi i korzystać z nich. A cóż innego robi współczesny świat?!, oburzycie się państwo. Nie, nie. My czasem używamy naszych żądz, zaraz potem wstydzając się ich. Albo fetyszyzując je. Zaryzykowałabym twierdzenie, że są one powierzchowne. Nie chciałabym tu odwoływać się do wyeksploatowanych teorii odgrywania ról. Ale w istocie gramy, tyle że przed sobą przede wszystkim. Realizujemy jakieś koncepcje, które mamy w głowie, i mniejsza o to, skąd się one tam wzięły. Czy to będą archetypy, czy inne ciała obce, w trakcie naszego życia, wychowania, edukacji i kultury nabyte. Zresztą czasem są to po prostu automatyzmy. I nasze obce nam ciała próbują te różne pojęcia realizować. Jestem młoda, więc powinnam mieć popęd. Mam go, mam. A masz, bo to biologia. Tylko co z nim robisz? Realizujesz go z jakimś młodym, *excusez-moi*, dupkiem, który ci nie dorasta do pięt. Który z kolei musi ci udowodnić, że jest *sexy*, że jest mężczyzną. Nie odwiązał się jeszcze od mamy albo nigdy się do niej nie przywiązał, bo mu nie pozwoliła. Kreujecie jakiś nastrój, używacie gadżetów.

Gdybyście znali swoje ciała i słuchali ich, możliwe, że to nie byłoby wam potrzebne. Rano wstaniesz przed nim, żeby zrobić makijaż, zanim cię zobaczy. On będzie prężył mięśnie, oboje udajecie, że było wspaniale. Zaiste lepiej by było dla ciebie, kobieto, mężczyzno, oddać twe zmysły w czyjeś posiadanie w ciemnym pokoju. Bez hamulców, udawania, zagadywania. Bo tylko w takich warunkach można poczuć swoją piękną zwierzęcość. Chyba że uda ci się stworzyć bliskość tak bliską, że nie wymaga słów, nie ma żadnych barier, a... (spojrzała wymownie na dwoje młodych ludzi przytulonych do siebie) ...wspólne kredyty przestaną istnieć. Patrzyła z z troskaniem jeszcze przez chwilę na tę parę, jakby właśnie im chciała coś więcej powiedzieć, ostrzec ich przed czymś. W jej oczach pojawiły się łzy. Potem zamknęła oczy na kilka sekund. A za chwilę spokojnie podjęła przerwany wątek. Ale tak naprawdę (spojrzała z wyrozumiałością na zebranych) te wszystkie małżeńsko-kredytowo-bytowe uwikłania, choć nie są bez znaczenia, nie stanowią istoty problemu. W końcu tak było zawsze. Czy mężczyzna polował, czy chodził do pracy w korporacji. Wszelkie cywilizacyjne uwarunkowania są oczywistością. Ale nasza natura nie zmieniła się. Nasze najgłębsze potrzeby są wciąż takie same. Poczucie bezpieczeństwa, sytości, bliskości, miłości. Wciąż jesteśmy tak samo samotni w obliczu ostateczności. A nasze ręce są tak samo zdolne do złego, jak i dobrego. Podobnie nasze umysły, których możliwości zdają się nieograniczenie wspaniałe, wciąż każą nam mordować. Tak. Umysł ludzki. (Zrobiła krótką pauzę). Cóż to jest? Jest umysł pojedynczy. Mój. Twój. Swoj tylko mogę poznać. Nie tylko mogę. Powinam. Takie w gruncie rzeczy jest moje zadanie. Poznać siebie. Przede wszystkim! Poznać znaczy zrozumieć. Zaakceptować siebie w swojej zwierzęcości, swojej boskości. I z tym wszystkim, co pomiędzy na tej skali. Nie robić sobie krzywdy. Nie uciekajcie zatem od swoich ciał. Nie stawajcie się samym oddechem, a jeśli już musicie medytować, zejście potem na ziemię. I pochodźcie po niej, niekoniecznie boso. Na wysokich obcasach człowiek naprawdę czuje swoje nogi.

Costello spojrzała na wąskie noski swoich szpilek z uśmiechem i westchnieniem. Napiła się wody. Spojrzała na zegarek. Potem na słuchaczy.

Proponuję państwu krótką przerwę. Tych, którzy mają dla mnie jeszcze trochę cierpliwości, zapraszam za kwadrans. Dziękuję tym, którzy kończą swoją tu obecność.

Costello odruchowo spojrzała w kierunku żony rektora, która siedziała bez najmniejszego ruchu. Spojrzała na rektora i jego kamienną twarz.

Po przerwie, którą spędziła, ukrywając się przed słuchaczami (w toalecie, co wcale nie było proste, bo ile można tam siedzieć), wróciła z poczuciem, że przez to ukrywanie się wcale nie odpoczęła. Osiągnęła jednak cel, nie spędziła tego czasu, dyskutując ze studentami, słuchaczami i krytykami. Choć trochę ją ciekawiło, czy podchodziliby tak chętnie jak zwykle, żeby zamienić z nią słówko, przewinać się niedaleko, złapać jakiś uśmiech. To zabawne, pomyślała, że dopóki pozostajemy w sferze abstrakcji, czujemy bliskość i bezpieczeństwo. A kiedy się mówi o tym, co nas naprawdę obchodzi, co nas właśnie dotyczy, wycofujemy się. Oddalamy, chcemy dystansu. Gdybym im rzeczywiście streszczała najnowsze dzieło o antropofagii, byłiby prawdopodobnie zachwyceni. Moje poglądy wydawałyby się ciekawe, nawet jeśli niezupełnie są moje. Kiedy mówię coś, co naprawdę czuję, nie zmyślam, co (do diabła) musi im się także

zdarzać, przytrafić, co w końcu...

– Pani Costello, przepraszam, zaczynamy...? – Z zamyślenia wyrwał ją szept dziewczyny, która przez cały wykład siedziała obok sprzętu, gotowa w każdej chwili obsłużyć Costello multimedialnie, gdyby zaszła taka potrzeba. Costello właściwie nie była pewna, czy to dziewczyna, czy chłopak. Ostatnio coraz częściej na spotkaniach widywała ludzi nieokreślonej płci. Była ich bardzo ciekawa. Podobała jej się ich nieoczywistość. Intrygowała ją. Kim jesteś? Nie mogę tego wiedzieć od razu. To jakby zaproszenie: poznaj mnie bliżej. Chodź! Chodź!

Chrząkanie, szuranie krzesłami, odstawianie toreb i kubków po piwie (takie czasy, że słuchacze przychodzą na wykład, dzierżąc w ręku piwo albo kawę. A niemal wszyscy mają pod ręką butelkę wody).

Witam państwa ponownie! – Costello rzuciła okiem po sali (!). Z szybkiej lustracji wynikało, że jest mniej więcej tyle samo osób. Spojrzała w kierunku kolumny, gdzie nadal zajmowała miejsce żona rektora. Jakże ona ma na imię? Costello nie mogła sobie przypomnieć, a przecież przedstawiono je sobie. Czyżby usłyszała tylko „moja małżonka”? Żona musi mieć jakieś imię. Zapyta ją o to po wykładzie.

Gdybym zapytała panie, panów, kto próbował mój mały eksperyment przeprowadzić w czasie przerwy...

Cisza. Ale Costello zobaczyła uśmiechy, świadczące o tym, że próbowali. Też się uśmiechnęła. Przyjaźnie. Tak, to właśnie lubiła. Ten rodzaj wspólnoty. Wcale nie lubiła słuchaczy zadających mądre pytania. Ani głupie, których zawsze jednak było więcej. Lubiła widzieć w twarzach zebranych oznaki pewnej empatii. Czy po prostu gotowości na otwarcie się na przyjęcie tego, co ona proponuje. Ceniła sobie wyznanie pewnej młodej kobiety, która kiedyś po wykładzie odezwała się tak:

– Nie wiem jak inni, ja chcę powiedzieć, że moje milczenie jest wyrazem zachwytu i poruszenia z powodu tego, co tutaj usłyszałam. Jestem onieśmielona i poruszona.

I dla takiego wyznania Costello gotowa jest polecieć na inny kontynent. Bo zdaje jej się, że było szczere. Że udało jej się dotrzeć do kogoś, tak jak chciała.

Gdy kiedyś próbowała to wyjaśnić Lucy, ta zdziwiła się.

– A nie wystarczy ci, że ktoś poczuje to, o czym mówisz, czytając twoje słowa w czasopiśmie, w internecie? Zobacz, jaka oszczędność czasu.

– Nie, to zupełnie nie to samo.

Sztuka współczesna, jeśli wolno mi użyć takiego pojemnego pojęcia – kontynuowała Costello – upomina się o ciało. W różnym sensie. Manifestując, że je mamy, ukazując jego odczucia, reakcje, percepcję, pokazując, że wojna to także cierpienie ciała. Ale ja nie zajmuję się teorią sztuki. Teoria już mnie nie obchodzi – powiedziała, wydymając wargi. – Nie obchodzi mnie już nawet eseistyka. Czyż zresztą moje eseje dotyczące pewnych zjawisk w sztuce współczesnej, tak cenione i inspirujące swego czasu dla akademików, których skądinąd podziwiam, nie były dla nich w istocie tylko grą intelektualną? Czy byli w stanie dostrzec w nich moją intuicję?

Costello zamilkła, uniosła dłonie i przyglądała się im dłuższą chwilę. Potem przez kilka sekund przyglądała się słuchaczom.

Mam, proszę państwa, poczucie, że ciało znów nam się oderwało od reszty, wyrwało i ucieka gdzieś teraz samotnie po polach, a wokół pachnie dymem z ogniska. A ja chcę, żeby ono wróciło. Zamieszkało sobie we mnie. I żebym się mogła z nim zaprzyjaźnić. Rozmawiać z nim, pieścić, dopieszczać. Tak. Dbać o nie, oczywiście, w takim sensie, w jakim duża część z nas to robi. Sport, zdrowe odżywianie, masaże, *et caetera*. Ale przede wszystkim należy akceptować je, w każdej jego postaci, każdej formie i każdym wieku. Tak, drodzy państwo. Jak to zrobić, kiedy odmawia posłuszeństwa, kiedy się starzeje albo choruje? Nie wiem. Ale pozbyć się go nie możemy. Jeśli dokonamy na nie zamachu, nie będzie nas. Gdybym była pisarką fantasy, gatunku czytanego przez tak wiele osób, pewnie wynalazłabym jakiś cudowny pierścień, eliksir czy *potion magique* na przedłużenie, odmłodzenie, a może nawet zachowanie życia. Siłą tej literatury jest przecież złudzenie mocy. Dobrych czy złych, ale mocy. Wszystkie te nadprzyrodzone zjawiska, stwory, potwory walczą przecież często o dobro. Lub chociaż walczą ze złem. No, w każdym razie dochodzą do głosu, w przeciwieństwie do milczącego Boga. No i można te moce, przynajmniej teoretycznie, przeciągnąć na swoją stronę. Lub przekierować ich energię na coś innego, a najlepiej przeciwko nim samym. A nawet jeśli nic nie można, zwłaszcza jeśli nic nie można, wolno powiedzieć: to przecież tylko fantasy. To fikcja. I schronić się wtedy w rzeczywistości. Lub na odwrót. Niestety. Nie mam takich talentów. Niestety, nawet nie ja o tym decydowałam. Nie mogłam niczego wybrać. Nie mogłam nawet skutecznie uciekać przed tym talentem, który może mam. Ale staram się zrozumieć tych, którzy wołają herosów i władców pierścieni od siebie takich, jakimi są. Wołają literaturę ucieczki niż literaturę przymusu. Sądzę, że wszyscy dobrze rozumiecie to rozróżnienie. Ja preferuję powrót do siebie, konfrontację z sobą. Poprzez moje ciało, mój umysł. Poprzez dopuszczenie do głosu. Bo dla mnie, proszę państwa, tym wykluczonym innym, marginalizowanym, jesteśmy często my sami. Dramatycznie rozpięci między sobą nieznanym, dla którego robię to wszystko, a innym, równie nieznanym, którego niby znam lepiej, choć poznać się boję. Wkładającym ogrom wysiłku, żeby w istocie uciec od siebie. Jakże podmiot poznający, by bezradnie uciec się do filozofii, może cokolwiek poznać? On przecież nieustająco próbuje rozpoznać siebie. Po co godzinami analizuje cudze teksty, ogląda dzieła sztuki, chodzi do teatru. Czy wy wiecie, kim jesteście tam wtedy, z ręką w majtkach? Czy się siebie boicie, kiedy się boicie? Czy może przyglądacie się własnej dłoni, stopie albo kolanu? Z nieufnością? Z ufnością? Powiem państwu na koniec, że męczące jest takie spotkanie się z sobą. Naprawdę by się czasem chciało uciec od siebie gdzie pieprz rośnie. Nic człowieka tak bowiem nie męczy, jak on sam. Nic nie jest takie straszne dla niego, jak on sam. Ani czasem takie nudne, czasem fascynujące. Oczywiście, i nie będzie to myśl oryginalna, za to skuteczna, niezłą ucieczką jest praca. Praca. Nic tak nas nie usprawiedliwia, nie uzasadnia naszego lenistwa jak praca właśnie. Cóż byśmy bez niej zrobili. Tylko że tak się jakoś przyjęło, że jeśli ktoś pracuje w korporacji do wieczora, jest pracoholikiem. Ale już na przykład profesor, który całe wieczory i noce spędza na lekturze i poszukiwaniach, pracuje. Nikt nie powie o nim, że jest pracoholikiem. A cóż on by robił w czasie tak zwanym wolnym? A czymże by się zajął? A jakież zajęcie godne jest jego cennego umysłu? I jak w końcu miałby się przestawić na tory myślowe zabawy? (Widzicie, on mówi: tory myślowe. On nie mówi: oddać się

zabawie).

Costello zamilkła na chwilę. Patrzyła w stronę okna auli, ale nie wiadomo, czy je widziała. Trwało to dłuższą chwilę. Zebrani czekali. Spojrzała wreszcie w stronę słuchaczy. Jakby nie całkiem obecna. Jakby straciła impet.

Nagle uśmiechnęła się smutno. I powiedziała:

Dziękuję państwu za uwagę. Słuchajcie swoich ciał. To o wiele ciekawsze niż literatura.

Schowała okulary do torby i zaczęła zbierać się do wyjścia,

W ciszy i konsternacji pojawiły się jednak oklaski. Ale czy były gromkie, Elizabeth nie wiedziała, bo natychmiast wyszła.

Wróciła do hotelu trochę zmęczona, lecz zadowolona. Robert Marini, który zgodnie z planem miał jej towarzyszyć w drodze powrotnej, został z tej funkcji wspaniałomyślnie zwolniony.

– Czy na pewno, na pewno da pani sobie radę? – zapytał Marini, uśmiechając się przy tym. Nie odpowiedziała nic.

Podeszła do niej żona rektora i zapytała, czy może ją odwiedzić. Costello zgodziła się. Tamta tak naturalnie jej to zaproponowała. Poczekała, aż Costello będzie gotowa, i poszły razem w kierunku małego zielonego samochodu zaparkowanego w bocznej uliczce. Żona rektora otworzyła i przytrzymała drzwi, by Elizabeth mogła wygodnie usiąść. Podczas jazdy żadna z nich się nie odzywała. Cisza żadnej z nich nie męczyła. Costello oddychała swobodnie. Dyskretnie zerkała na kobietę obok, wiedząc, że tamta robi to samo, chociaż prowadzi. Jakie to dziwne, pomyślała, nie znam jej, a czuję się lekko. Nic o niej nie wiem. Grała cicha muzyka, słychać było silnik samochodu. Żona rektora miała lekko rozchylone usta, jakby przerwano jej w pół zdania. Milczały obie. Nigdy jeszcze Elizabeth nie czuła się tak przyjemnie w towarzystwie kogoś, kogo prawie nie zna, a kto jest tak blisko. Miała przeczucie, że obok siedzi ktoś jej przyjazny. Costello czuła, że ta kobieta jest interesująca. Skrywa może jakąś tajemnicę. Ale nie rozmyślała o tym długo. Kiedy dojechały do hotelu, żona rektora uśmiechnęła się.

– *Et voilà* – szepnęła.

Costello otworzyła drzwi samochodu, powiedziała *merci* i wysiadła. Po chwili wahania zapukała w szybę, która opuściła się, i wtedy Elizabeth zapytała:

– Nawet nie wiem, jak pani na imię.

– Elwira.

– Do widzenia.

Elwira uśmiechnęła się.

W recepcji czekał na Costello bukiet herbacianych róż.

– Właśnie przyniesiono go dla pani – oznajmił recepcjonista.

Costello spojrzała na bukiet w poszukiwaniu nadawcy.

– Tu, tu jest wiadomość – wskazał młody mężczyzna.

Przez kilka sekund nie wiedziała, co ma z tym zrobić, jakby pierwszy raz w życiu dostała kwiaty. Wybawił ją recepcjonista. Podał jej złocistą kopertę.

– Pozwoli pani, że kwiaty wstawimy do wody i przyniesiemy do pokoju.

Skinęła głową i poszła do windy.

Siedząc w miękkim fotelu, z nogami wyciągniętymi na niskim stoliku, spojrzała z czułością na swoje stopy, znów lekko obolałe. Wyjęła z małej koperty kartonik.

„Droga Elizabeth. Pewnie jesteś zmęczona. Potrzebujesz relaksu... Mam nadzieję, że jesteś zadowolona ze swojego wykładu. Ponawiam zaproszenie na kolację. Pewnie potrzebujesz czasu i wciąż się zastanawiasz. Więc czekam”.

Zadzwoił telefon. Costello niechętnie sięgnęła po słuchawkę.

– Halo, pani Costello? Tu Robert Marini. Czy wszystko w porządku?

– A, to pan. Tak, tak, dziękuję.

– Zatem do jutra. Przyjadę po panią o dziesiątej.

Pyta czy oznajmia, pomyślała i pożegnała się krótkim „dobranoc”. Wiedziała, że powinna zadzwonić do kilku osób. Zawsze tak robiła. Ale dziś postanowiła tego nie robić. Napuściła wody do wanny. Pozapalała świeczki zapachowe i kadzidła misternie poustawiane w łazience. Nigdy tego nie robiła.

Wszystkie te olejki różane, pachnidła i inne akcesoria zawsze wydawały jej się śmieszną namiastką. Może dlatego, że miała w sobie silną pamięć innych zapachów. Kadzidła na przykład, które pamiętała z kościołów z dzieciństwa. Żadne kadzidła nie mogły się z nim, tym kościelnym, równać. Choć może jego czar brał się nie tyle z intensywności tłących się w zawieszonych czarkach składników, ile ze scenerii. Kamienna posadzka z sześciokątnych płytek w kolorze wyblakłego indygo, stare ławki, w których korniki dziurkami znaczyły swoją obecność, wielkie czarne, czerwone i fioletowe chorągwie z biblijnymi scenami, które dawno już straciły barwy, okadzanie trumny...

Zdecydowanie muszę rozwinąć ten wątek w moich wykładach, pomyślała Costello. „Ludzie powinni wrócić do okadzania trumien i urn!”, zanotowała w swoim notesiku.

Rozebrała się, przez chwilę oglądała się w lustrze. Patrzyła na nią niemłoda kobieta, ale Elizabeth czuła się młodo... To, co czuła, właściwie trudne było do nazwania. Pożądanie, czułość, oczekiwanie, obietnica spełnienia? Wygląd ciała nie miał tu nic do rzeczy. Leżąc w wannie, przypomniała sobie zapach starych motocykli, zapamiętany z dzieciństwa. Uwielbiała go, wstydząc się do tego przyznać. Wrócił tak mocno, że w ogóle nie czuła zapalonych świeczek i kadzidełek.

W ostatnim czasie zapachy prześladowały ją najbardziej. Za nimi najbardziej tęskniła. Starzeję się, pomyślała. Ale chyba chodzi o coś innego. Te wszystkie obrazy, zapachy, kształty... Z tego jestem zbudowana. Im starsza jestem, tym lepiej to wiem.

Po chwili siedziała w szlafroku na łóżku z laptopem na kolanach i pisała.

Cher Michel. Znowu sporo o Tobie rozmyślałam. To, co mi pisałeś ostatnio, jak zwykle nie tchnie optymizmem. Ale do tego już mnie przyzwyczaiłeś.

...

Elizabeth! *Salut*, Stara Wiedźmo.

...

Chciałam Cię zapytać, czy miałeś w dzieciństwie jakieś kształty, które podziwiałeś?

...

Co do kształtów, chwilowo z braku lepszych, zadowalałam się kształtem butelki. Cabernet, rocznik... Żartuję, zwykle pinot noir. Czy to moja dawna kochanka *la Pologne*

tak Cię melancholijnie nastraja? Zapach wódki? Kiełbasy?

...

Ależ nie! Tam byłam wiosną. Wszystko ci się pokręciło, specjalisto od map.

...

Ups. Tak czy owak, jesteś na terytorium, ek, ek, ek, mam czkawkę, Europy, ek.

...

Michel, czy zapamiętałeś szczególnie jakieś zapachy, obrazy? To mnie ostatnio nurtuje. Albo... czy dotykałeś kiedyś czarnej koronki wystającej z trumny nieboszczyka?

...

Nie. Brrrr.

...

A kadzidło? Jego zapach.

...

A fuj! Coś tam było, ek, ek, ek.

...

A zapach skoszonej koniczyny? Albo takiej zerwanej, wiesz, dla królików na przykład.

...

Niczego takiego nie pamiętam.

...

Biedaczysko. A czereśnie? Zapach czereśni? Ano tak, macie tylko wiśnie.

...

Ty Stara Wiedźmo! Ty za to znasz zapach palonej sierści psa...

...

No i co? Stwórca, mój drogi, wszystkim dał zmysł powonienia.

...

Ek, ek, ek... Mam czkawkę, *excuse*.

...

Wiem, wiem, że nie wierzysz. Ale powonienie, *merde*, masz, mój drogi? Miałeś jakiś dom, to i zapachy musiały w nim być. Czy wychowywała cię mama, czy babcia, czy ulica, wszystko jedno. Nawet gdybyś był chłopcem bitym codziennie, to też musiałyby mieć jakiś zapach. Choćby i krwi sikającej z dupy, jak mawiało się w moich stronach.

...

Zaraz się popłaczę, ek, ek, ek... *Toujours le hoquet*.

...

To wspaniale by było. Czy wyjątkowo zgrywasz się?!

...

Wracasz przez Paryż, jak pisałaś?

...

Tak. Przynajmniej taki mam plan.

...

To jak?

...

Oczywiście, że wpadnę. Całuję Cię.

...

Oui?

...

Oui, oui, môme. Bisous.

Rano Costello obudziła się pełna żalu i dziwnej przyjemności ze snu, który ją nawiedził. Śniło jej się, że była uwodzona przez kobietę. Uwodzenie nie polegało na niczym szczególnym. Ta kobieta po prostu była w pobliżu, zajmowała się jakimiś swoimi sprawami – w nowocześnie urządzonej biurze. Costello też miała tam jakieś obowiązki, ale cały czas czuła obecność tamtej. Czuła na sobie jej spojrzenie, nawet kiedy tamta nie patrzyła. Trochę to Costello krępowało, a trochę podniecało. Elizabeth wydawało się, że tamta czeka na jakiś znak. Ale kiedy spojrzała w jej kierunku, niczego takiego nie dostrzegła. Tamta patrzyła w papiery czy segregatory jak gdyby nigdy nic, wydawała się bardzo skoncentrowana i Costello za każdym razem odczuwała coś jakby rozczerowanie. Kiedy jednak wracała do swoich papierów, była pewna, że tamta znów na nią patrzy. W końcu kobieta wstała, podeszła do Costello, żeby się pożegnać, podała jej dłoń. Dłoń Costello odpowiedziała na pożegnanie, skóra tamtej była niezwykle przyjemna w dotyku. Costello nie zrobiła jednak nic więcej i kobieta odeszła. Elizabeth była pewna, że powinna była dać jakiś znak. Ale jaki? A jeśli jej się tylko zdawało? Kiedy drzwi się zatrzasnęły, Costello poczuła żal i pustkę. Czuła, że straciła wielką szansę. Nie wiedziała na co, ale była pewna, że na coś ważnego. Miała też poczucie, że drugiej takiej nie dostanie.

Usiadła na łóżku, choć nigdy tego nie robi rano, bo niechęć do wstawania manifestuje na leżąc. Wreszcie poczuła się wybudzona, odprężona i podekscytowana. Jakby miało się wydarzyć coś bardzo przyjemnego. Odkąd tu przyjechała, nastroj oczekiwania (?) i obietnicy (?) wciąż jej nie opuszcza.

Wzięła szybki prysznic, otuliła się miękkim ręcznikiem zamiast się wytrzeć. Postanowiła być dla ciała dobra i wmasowała w nie balsam o świeżym zapachu. Przyjrzała się sobie w lustrze. Zdumiewające, ale podoba się sobie jeszcze bardziej niż wczoraj. Poczuła, że jej ciało pragnie dotyku i pieszczot. Spojrzała na złotą kopertę, zamyśliła się i poszła się ubrać. Włożyła szaroperłowy kostium z nabłyszczanego miękkiego lnu. Profesjonalnie wszyte pod tkaninę usztywnienia ładnie układały kostium na jej figurze. Costello zobaczyła, że ma jeszcze na skórze trochę letniej opalenizny i że jej dekolt pięknie się prezentuje na tle perłowej szarości. Nie pomyślała o swoich zmarszczkach. Włożyła kolczyki ze srebrną perełką.

Długo szcztokowała włosy przed lustrem, a potem upięła je fantazyjnie w luźny kok. Umalowała rzęsy, choć nie robiła tego bardzo dawno. Perłową szminką o delikatnym, lecz dobrze widocznym kolorze pociągnęła kilkakrotnie wargi, spryskała się perfumami o zapachu tuberozy, świetnie uzupełniającym całość. Założyła szeroką bransoletę ze starego srebra. I jeszcze lniane buty ze skórzanymi wykończeniami i wysokim obcasem. Spojrzała jeszcze raz w lustro, uśmiechnęła się. Widząc w lustrze taką siebie, przez chwilę pożałowała, że nie uciekła Kreatorowi wcześniej. Nie żeby żałowała tamtych czasów, ale o stroje można było na przykład bardziej zadbać. W ogóle o wygląd. Czy waga jej wywodów i w ogóle jej pisanie byłaby naprawdę mniejsza, gdyby – dajmy na to – ubierała się w kostiumy o modnym kroju zamiast w płaszcze w wypłowiałych kolorach i w fasonach, których się już dziś nie nosi? Zaraz zarzuciłby jej próżność, niczego nie rozumiejąc. Swoją drogą o nienaganność własnego wyglądu potrafił zadbać doskonale. Wielu zapewne współczuło jej z powodu jej nieumytnych włosów (zresztą nawet kiedy były umyte, wyglądały szaro i nieciekawie) i rozklapanych butów. Ach,

w ogóle wyglądała jak siódme nieszczęście.

Idąc od windy, czuła na sobie spojrzenia. W restauracji siedziało już kilku mężczyzn, kątem oka zauważyła, że są w różnym wieku. Czuła, że na nią patrzą. Postanowiła sprawdzić i wybrała sobie jedną z postaci przy stoliku po lewej stronie. Przy oknie. Spojrzała tam. Zanim naprawdę spojrzała na to, co za oknem, zatrzymała przez chwilę wzrok na młodym mężczyźnie. Co zobaczyła w jego spojrzeniu? Skrywany dyskretnie zachwyty, podziw? Może myślał o własnej matce? Costello zaczęła jeść śniadanie. Nie jestem w końcu krową na sprzedaż ani tym bardziej jałówką. W ogóle nie jestem do wzięcia! Zachichotała w duchu. Nie obchodziły mnie nigdy te wasze reguły i damsko-męskie zasady rynkowe, nie obchodzą i teraz. Nie po to uciekłam z tamtego życia. Stan przyjemnego pobudzenia utrzymywał się, Costello zamyślona skończyła śniadanie.

W holu czekał na nią Robert Marini. Podeszła się przywitać, podała mu rękę, uśmiechnęła się oficjalnie i bez słowa wróciła do pokoju. Dlaczego on przychodzi zawsze za wcześnie? Nie ma jeszcze dziesiątej.

Kiedy znów spotkali się na dole, poczuła zapach perfum Roberta. Miały w sobie coś uwodzicielskiego. Przypomniała sobie, że bardzo lubiła kiedyś u mężczyzn ten typ zapachu. Siedzieli w samochodzie, chwilę rozmawiali o pogodzie. Marini przypomniawszy plan dnia i spokojnie pokonywał kolejne uliczki śródmieścia. Costello zastanawiała się, czy nawiąże do wczorajszego wykładu. Z próżności lub zwykłej ciekawości – nie wiadomo. Ale nie poruszył tego tematu. Kątem oka widziała jego wypielegnowaną dłoń na gałce, którą zmieniał biegi.

Roberta zaś niepokoiła natrętna myśl, co by było, gdyby zamiast na gałce, umieścił swoją dłoń na kolanie Costello. Nie mógł się od tej pokusy opędzić. Nie mógł rozmawiać, zaprzętnięty tą myślą oraz ukrywaniem jej przed Costello. Był na siebie zły. Ale też na Costello. Co ta kobieta sobie w ogóle myśli?! Dlaczego wywołuje w nim podobne reakcje! A może robi to specjalnie, może chce go skompromitować. Przecież do cholery nie zdarza mu się to w obecności każdej kobiety, nawet młodej i bardzo atrakcyjnej. W ogóle publicznie mu się to nie zdarza. I byłby może posądzony Costello o jakieś czary, gdyby właśnie w tym momencie nie wróciła do niedokończony rozmowy na temat jej nowej książki.

Uff, pomyślał.

– Właściwie o czym jest ten tekst, pani Costello?

– Hm. Trudno powiedzieć jednym słowem. Nawet całym zdaniem. Ale będzie tam dużo erotyki.

Robert omal nie wpadł na pojazd przed nim.

– To tutaj – powiedział. – Wjadę w ten zaułek, tam jest parking.

Kiedy Robert otwierał Costello drzwi, uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie miał z nią takich problemów jak teraz i właściwie nigdy nie myślał, że jest kobietą. Zresztą o swojej płci też nie myślał. Dlaczego ta kobieta tak na niego działa? Jeśli tak dalej pójdzie, to przed końcem wizyty rzuci się na nią jak młody byk na jałówkę. Robert nie mógł uwierzyć, że w ogóle tak pomyślał. To oburzające, skomentował w myślach.

Weszli do księgarni, prowadzeni przez młodą dziewczynę, pewnie wolontariuszkę pomagającą w organizacji spotkania Costello z czytelnikami. To znaczy Elizabeth będzie podpisywać swoje książki.

Po przywitaniach, ogólnych powitaniach i oklaskach Costello miała przemówić do zebranych. Nie lubiła tego typu wystąpień. O czym ma mówić? Ogólnie. Co to znaczy ogólnie?! Powiedziała:

– Jesień jest zachwycająca w tym mieście. Pewnie w tym kraju w ogóle... Lubię bardzo tę porę roku.

Zamilkła. Po chwili dodała:

– Zapraszam państwa. Do... tego podpisywania. I do rozmowy. Proponuję wykorzystać nasz czas na wasze uwagi, pytania.

Wyjęła swoje ulubione pióro do podpisywania książek i czekała. Ludzie stali w kolejce. Była całkiem spora. Costello pomyślała, że to głupie. Po co stać, po co tworzyć kolejkę, przecież jest tutaj i jeszcze jakiś czas będzie. Dlaczego nie mogą po prostu usiąść i podchodzić pojedynczo. Machnęła w duchu ręką. Po chwili zobaczyła przed sobą młodą dziewczynę, która trzymała kilkanaście egzemplarzy tej samej książki. Uśmiechając się, poprosiła o podpisanie i spłonęła rumieńcem. Potem byli inni, chrząkali, podawali swoje i nie swoje imiona.

Podpisywała machinalnie podsuwane jej strony, nie patrząc, co i komu podpisuje. Gdzieś na końcu sali dostrzegła Roberta, który siedział samotnie, nie rozmawiał z nikim, choć znał zapewne cały zespół księgarń. Nie wydawał się jakoś szczególnie skupiony. Siedział, opierając podbródek na prawej dłoni, i patrzył na Costello, na ludzi wokół niej, na to małe zamieszanie. Elizabeth poczuła się nieswojo. Patrzył na nią tak samo jak kiedyś pewien adept sztuki pisarskiej, który zachowywał się dziwnie i nieprzyjemnie, aż potem zorientowała się, że się w niej zadurzył.

– Zadurzył?! Zwariowała pani?! Zakochałem się do szaleństwa! Wpadłem po uszy! Czy pani to rozumie?! – krzyczał, zanim usiadł podobnie jak teraz Marini, i podobnie się przyglądał. Costello zostawiła go wtedy razem z jego zakochaniem czy miłością, cokolwiek to było.

Wyjechał wraz z innymi młodymi przyszłymi pisarzami i pisarkami, kiedy skończył się kurs pisania kreatywnego. Przyszedł się pożegnać, trząśnięty cały i czekał.

– Uwiodłam pana? Uwodzenie to wymysł dziewiętnastowiecznych pisarzy francuskich. Niech pan to zapamięta. Może się przydać.

Zrobiło jej się głupio, że w ogóle osadziła Roberta w podobnym kontekście.

Podeszła do niego, pożegnali się jeszcze raz z organizatorami i wyszli z kluboksięgarni.

W samochodzie zapytała go, czy mogliby nieco zmienić ustalony plan dnia? Marini zadrżał.

– Czy moglibyśmy znaleźć jakieś ustronne miejsce? – Zanim Costello dokończyła wolno wypowiedziane zdanie, zawieszając je w tym właśnie miejscu, Robert był bliski paniki. – Jakąś małą, przytulną kawiarnię z tarasem.

Odetchnął z ulgą.

– Chciałabym usiąść na chwilę, muszę się nad czymś zastanowić. Zanotować. Nie pogniewa się pan, jeśli poproszę, by zostawił mnie na chwilę samą?

– Tak. Jasne. Gdzieś tu w pobliżu jest coś. – Starał się sobie przypomnieć.

Ależ idiota ze mnie, pomyślał. Jak mogłem w ogóle przypuszczać! Skręcił w jakąś uliczkę opadającą w dół, zaraz potem wjechał do parku i stanął przed starym

budynkiem z dobudowaną nowoczesną szklaną częścią i tarasem.

– Czy tu będzie dobrze?

– Doskonale. Dziękuję bardzo. Czy możemy się umówić za pół godziny?

– Jasne.

Zaskoczyło Roberta jego własne, drugi raz wypowiedziane słowo, którego nigdy nie używał. Przynajmniej w funkcji twierdzenia.

Costello nie zapytała, co będzie robił w tym czasie. Robert nagle zdał sobie sprawę, że jednak odpowiada mu funkcja szofera Costello. Pierwszą jego myślą było, żeby odjechać dalej i wyjąć z teczki coś, nad czym mógłby w tym czasie popracować. Albo poczytać. To zawsze się sprawdzało, kiedy nie chciał myśleć, o tym, o czym nie chciał, ale myśli i tak przychodziły. Zdecydował jednak, że tym razem nie będzie od nich uciekał. Zresztą myśli to nie było odpowiednie słowo. To, co przepełniało Roberta, to był rodzaj podekscytowania. Przyjemnej niecierpliwości. Oczekiwania. Jakby zapowiedź czegoś, co ma się wydarzyć. Czegoś ulotnego, przyjemnego i obiecującego. Co to jest? Postanowił zastanowić się nad tym, siedząc w samochodzie i wystawiając twarz w stronę słońca, które ogrzewało ją przyjemnie przez otwarte okno.

To wiąże się z Costello, odkrywco skonstatował. Coś roznosi się wokół niej. Jakaś aura... erotyzmu. Odkąd przyjechała, dzieją się ze mną dziwne rzeczy.

I byłby się dalej na siebie złościł, ale pomyślał, że to całkiem przyjemne samopoczucie. Nie miał zresztą pomysłu, jak to analizować. Słowa „erotyzm”, „aura”, „podniecenie”, „oczekiwanie” – czymże są? Nie używa ich na co dzień. Nie istniały w zbiorze, którym operował Robert. No chyba że jako tłumacz.

Nie przeżywał zbyt często uniesień erotycznych (o ile Narratorowi wiadomo). Seks był dziedziną zupełnie przez niego marginalizowaną, nie licząc młodzieńczych doświadczeń. Jego związek z żoną, adiunktem na Wydziale Literatury, od lat opierał się przede wszystkim na przyjaźni i rozmowach, niezliczonych dyskusjach o ich pracy, której przedmiotem była literatura. Byli dobrym małżeństwem. Podstawą ich relacji były partnerstwo i wolność. Tego, co odczuwał przez ostatnie kilkadziesiąt godzin, nie doświadczył od bardzo dawna. W każdym razie nie pamiętał niczego podobnego. Z żoną rozumieli się od zawsze. Byli na tym samym roku. Dość szybko stało się oczywiste, że będą ze sobą. Że będą robić to, co robią, i wieść życie, jakie wiodą. W mieszkaniu pełnym książek. Nigdy nie zastanawiał się, czy jego żona jest pociągająca. Podobała mu się kiedyś i od tej pory nie zaprzętał sobie tym głowy. Była zgrabna, miała niezłą figurę, którą zachowała. Nie dbała przesadnie o linię. Zresztą on też nie. Pewien umiar, by nie powiedzieć rodzaj ascezy, jeśli chodzi o jedzenie czy inne przyjemności, był dla nich naturalny. Dla obojga ważniejsza była lektura, czyli praca, niż godziny spędzane na gotowaniu wyszukanych potraw. Nie mieli dzieci, brakowało im na to czasu, przestrzeni i ochoty. Ale tak się szczęśliwie złożyło, że to los podjął ostateczną decyzję, Eva bowiem nie mogła mieć dzieci. Chorowała na endometriozę. Lekarze zgodnie stwierdzili, że najlepszym lekarstwem na tę chorobę jest ciąża. Tylko że ona nie może się zdarzyć z powodu choroby. Swoje bardzo bolesne miesiączki Eva starała się ukryć przed światem i sobą samą, leżąc pod kocem po zażyciu mocnych środków przeciwbólowych. Czytając, kiedy trochę jej przeszło. Jeśli Robert był w domu, podawał jej ciepłe napoje, poprawiał koc. Ale nigdy niepotrzebnie nie

roztrząsali tego tematu.

Zdał sobie sprawę, że seks uprawiają właściwie bardzo rzadko. Kiedyś częściej. Nie byli szczególnie pruderyjni. Po prostu ich potrzeby były nieduże. Zwłaszcza Evy. Ale Robert też nie odznaczał się wybujałym libido. To znaczy, w sumie nie wiedział. Rzadko o tym rozmyślał.

Poczuł się raptem nieswojo. Jak to możliwe? Nagle zdało mu się, że jest jak kaleka. Ma przecież tylko trzydzieści osiem lat. Zaraz, gdzie się podziały te wszystkie lata? Doznał poczucia straty. (Choć to Narrator, nie on, tak to określił). Teraz był na siebie naprawdę zły. Zniknął gdzieś jego przyjemny nastrój. Robert pożałował, że nie zajął się jednak czymś pożytecznym. Nie. Nie będzie sobie przyzwalał na takie myśli. To nie ma sensu. Spojrzał na zegarek i odpalił silnik. Podjeżdżając do kawiarni, w której zostawił Costello, zobaczył ją przy stoliku w towarzystwie mężczyzny w mniej więcej jego wieku. Uśmiechała się i paliła papierosa. Poczuł ukłucie zazdrości, jak bohater kiepskiej powieści. Costello zauważyła samochód, dała znak, że go widzi, i Robert zjechał na bok, żeby poczekać, nie wyłączając silnika (zaparkować nie było gdzie). Stał tak, że nie mógł widzieć Costello. Costello zjawiła się po chwili i w pierwszym odruchu Robert chciał wysiąść, żeby otworzyć jej drzwi, ale kiwnęła, żeby został na miejscu. Wsiadła i Robert zupełnie nie wiedział, co ma powiedzieć. A tym bardziej, co chciałby powiedzieć. Pierwsza odezwała się Costello.

– Ach, jakże się wygrzałam – powiedziała przeciągle. – W słońcu. Piękna doprawdy ta jesień u was. Czy zawsze jest tak?

– Tylko w tym roku – odpowiedział Robert, ale zabrzmiało, jakby odburknął. – Chciałem powiedzieć, że w tym roku wyjątkowo. Zazwyczaj jesień nie trwa długo. Często bywa zimno i pada.

– Ach tak – odparła tajemniczo.

W ogóle Costello wydała mu się tajemnicza. Ale nie patrzył na nią, więc mógł się mylić. Poczuł, że zachowuje się nienaturalnie. Że ona zaraz to dostrzeże. Ale cóż mógł, biedak, zrobić, skoro naprawdę nie mógł na nią spojrzeć. Poczuł się uwięziony we własnym samochodzie. Uwięziony przez tę kobietę. Jedyne, co może robić, to prowadzić to cholerne auto. Jego własne milczenie musiało mu strasznie ciążyć, bo Costello dostrzegła jego zakłopotanie. Co ona sobie o mnie myśli? Powinienem zabawiać ją rozmową. A nawet jeśli nie, i tak czuł się jak uczeń, którego postępek za chwilę zostanie zdemaskowany. Costello milczała i w końcu dotarli na miejsce. Robert wysiadł, żeby otworzyć jej drzwi, ale i tak cokolwiek robił lub nie robił, wydawało mu się, że jest jak sztubak. Czuł, że wpadł w pułapkę i odtąd będzie obnosił swoją przyprawioną gębę, i oboje będą o tym wiedzieli. Spocił się. Niech ona mi jakoś pomoże, pomyślał. I na Boga, niech nas nie usadzą obok siebie przy obiedzie.

Otwierając jej drzwi, nie patrzył na nią. Dlaczego ona nic nie mówi? Robert przecież nawet nie wie, jaki ma wyraz twarzy, bo nie może na nią spojrzeć. Jeszcze chwila, a uduszę się, pomyślał. Było mu gorąco. Był też zdumiony, jaką wiecznością mogą się wydawać sekundy, ułamki sekund. Kiedy wysiadała, poczuł zapach jej perfum. A może jej zapach. Zdążył pomyśleć, że gra w kiepskiej sztuce i że to nie może być prawda.

– Elizabeth! Wiiiitam panią – usłyszał.

Była to pani Schneider, wydawczyni książek Costello.

Robert uniósł wreszcie głowę i zaczął normalnie oddychać. Panie uścisnęły się wylewnie, Robert odpowiedział na uścisk dłoni pani Schneider. I powlókł się za nimi. Jak ja przeżyję ten obiad?, przemknęło mu przez głowę. Odczuwał wprawdzie ulgę, ale miał wrażenie, że ktokolwiek na niego spojrzy, odkryje jego tajemnicę. Paradne, pomyślał.

W restauracji było kilka osób. Robert siedział obok pisarza, przedstawiciela tak zwanego pokolenia przed czterdziestką. Schneider wydała trzy jego książki. Pełno było go w prasie i w kolorowych czasopismach. Uważany za jednego z najzdolniejszych. Jego książki nie były złe. Ale Robert nigdy nie uważał ich za wybitne. Pisarz zabawiał go rozmową. Opowiedział dowcip, chyba niezły. Ale Robert był obok. Odpowiadał na pytania, czasem rzucił jakąś uwagę. Ale zaprzętało go tylko to, że coś zagadkowego się z nim dzieje. Że nie zna tego i czuje się, jakby był kimś innym. I właściwie nie może zrozumieć, jak ktoś, kto przeczytał setki mądrych książek, analizował je, pisał eseje, tłumaczył w końcu to, co autorzy mieli czytelnikowi do przekazania, nie umie rozpoznać własnego stanu umysłu.

Zadzwoniła Eva. Przeprosił i odszedł od stołu.

– Masz dziwny głos – powiedziała.

– Nie. Chyba nie. Zdaje ci się.

Zaczął mówić szeptem. Eva powiedziała, że wróci późno, bo studenci zaprosili ją na piwo.

Robert natychmiast pomyślał o niedoskonałości języka. Czy są wśród nich także studentki? I wbrew samemu sobie pomyślał o młodych mężczyznach uwodzących jego żonę. Zaniepokoił się. Wrócił do stołu i choć nie patrzył na Costello, wydawało mu się, że Elizabeth przesyła mu ciepły, może nawet serdeczny uśmiech.

Zaczął jeść zupełnie tak szybko, jakby głodował przez ostatnie trzy dni. Skończywszy, zauważył, że talerz kolegi pisarza jest jeszcze do połowy pełny.

– Byłem strasznie głodny – powiedział.

– Ma pan szczęście. Ja nie jestem szczególnie głodny. Widział pan menu? Jest jeszcze sarnina w... Pisarz zawahał się i szeptem dodał: – Myślałem, że pani Costello nie jada mięsa...

Roberta zdziwiła ta uwaga.

– Pani Costello zaskakuje nas nie tylko tym.

Rozmowa przy stole nie była szczególnie ożywiona. A może tak się zdawało Robertowi, który był cokolwiek nieobecny.

Myślał o kolejnych znajomych, redukując ich tylko do wymiaru... seksualnego. Jakie życie seksualne ma jego znajoma, od zawsze niezwiązana z nikim. Aseksualna. Ukrywająca swoją kobiecość, choć w sposób tak naturalny, jakby od zawsze taka właśnie była. Kiedyś myślał, że jest lesbijką. Nawet z nadzieją, bo lubił ją bardzo i było mu przykro, kiedy myślał, że może czuje się samotna. Nigdy nie rozmawiali o tym, choć był z nią dosyć blisko. W ogóle jej nie znam, pomyślał. A Roland, przyjaciel. Przynajmniej tak go dotąd definiował. Wykłada literaturę. Jego żona także. Jak wygląda ich seks? Czy przeżywają uniesienia? Czy Jana, atrakcyjna żona Rolanda, jest usatysfakcjonowana? Zdziwił się. Cóż to w ogóle za kategoria? Dlaczego używa takich słów? Raczej to te słowa go używają. Zrobiło mu się gorąco. Przeprosił i wstał od stołu.

W toalecie spojrzął na siebie w ogromnym lustrze. Zobaczył całkiem przystojnego bruneta. Brązowe zamszowe buty, szare wełniane spodnie, oliwkowa koszula i zgniłozielona marynarka. Wszystko starannie dobrane, stonowane, jak przystało na człowieka zajmującego się literaturą. Bujne ciemne loki, niedawno przystrzyżone, choć ciągle półdługie, niedbale opadały na szyję. Dotknął swego zarostu wypielegnowaną dłonią. Jestem interesujący, usłyszał w swojej głowie. Nie panuję nad językiem, usłyszał też. Poczuł przypływ gorąca. Przypomniał sobie. Cztery szybkie wdechy i cztery długie, wolne wydechy. Pomogło. Oddając mocz do pisuaru, czuł, że jego kutas pali go. Nabrzmiwa. Pomyślałem: „kutas?”. Natychmiast przypomniał mu się Henry Chinaski. Zawsze zdumiewało go, z jaką łatwością Chinaski opisywał w swoich powieściach stosunki z kobietami. Ten język był dla Roberta czystą teorią. Abstrakcją. Pozostał jeszcze chwilę w toalecie i zrobił to, co musiał, bo inaczej nie mógłby z niej wyjść. A czego, jak się wydaje, nie robił od wielu, wielu lat.

Nikt chyba nie zauważył jego nieobecności. Ale poczuł na sobie spojrzenie Costello. Zabrał się za sarninę, bardziej dziobiąc, niż jedząc.

– Nie smakuje panu? Mnie owszem – powiedział z entuzjazmem pisarz.

Zawsze podejrzewałem w nim intelektualnego parweniusza, pomyślało się Robertowi. I zaczął akceptować, że to język rządzi nim, a nie odwrotnie.

– Robercie! – usłyszał nagle głos Costello i omal się nie zakrztusił. – Robercie, uwalniam pana od siebie. Pani Schneider była tak miła. Zabierze mnie po obiedzie na babską przechadzkę. Nie pogniewa się pan, prawda?

Babska przechadzka. Też mi coś. Czyżby i Elizabeth język wziął w posiadanie?!

– Tak. Jasne – powiedziało mu się.

I nagle zrozumiał, że traci szansę. Traci okazję bycia z nią. Ale przecież jeszcze godzinę, dwie temu dałby wszystko, żeby się od Costello uwolnić! Był w potrzasku i posmutniał.

Obiad był wyśmienity, chwalono sarninę. I *crème brûlée*. Robert spojrzął na pusty pucharek po deserze. Nawet nie zauważył, kiedy go zjadł.

– Widzimy się o dziewiętnastej, prawda, Robercie? – usłyszał z oddali głos Costello.

– Tak. Jasne (!).

Powlóknął się ciężko w stronę samochodu. Nie miał pojęcia, dokąd się uda i co robi.

Elizabeth Costello i Maria Schneider były ożywione. Szampan, lampka wina do obiadu i jeszcze digestif zrobiły swoje. Taksówkarz przyglądał się w lusterku eleganckim, niemłodym już kobietom. Raz po raz chichotały. Pomyślał, że są pijane.

– Myśli, że jesteśmy pijane. – Maria Schneider zachichotała.

Wysiadły i poszły główną ulicą. Skręciły w jakieś podwórko. Tak, tak, do sklepów ze starociami. Costello chciała kupić jakiś drobiazg, przycisk do papieru. Kupiła obelisk, który mógł przypominać fallusa. Trochę się zawstydziła, wybierając go, ale Maria Schneider nie wyglądała na zszokowaną. Potem usiadły w rogu zacisznej kawiarni i zupełnie poważnie rozmawiały o planach promocyjnych nowej powieści Costello, której fragmenty Schneider znała już w oryginale. Marini wkrótce siądzie do tłumaczenia.

Elizabeth mogłaby śmiało powiedzieć, że lubi swoją wydawczynię. Ich zawodowe

relacje były zawsze bez zarzutu. Dzisiaj jednak obie wyszły ze swoich ról.

– Wygląda pani znakomicie, Elizabeth. Zresztą wie pani o tym. Gdybym nie była Marią Schneider, a pani Elizabeth Costello, mogłabym zapytać o przyczynę – powiedziała, śmiejąc się. – Może przemienię się na chwilę w dziennikarkę poczytnego pisma dla kobiet... Ale na poziomie! Obiecuję. – Podniosła w górę dwa palce.

– Lepiej nie. Bo wtedy musiałabym powiedzieć coś mniej więcej takiego: nie, nie jestem zakochana, chociaż ktoś daje mi dowody zainteresowania. Wtedy pani musiałaby drążyć dalej, by nie pozostawić czytelniczek z niedosytem. By nie rzec: w niespełnieniu oczekiwań.

Maria Schneider nie wiedziała, czy Costello żartuje, czy ironizuje.

– O! To bardzo ciekawe. Uchyli pani rąbka tajemnicy, jak to mówią? A może pisze pani...

– Droga Mario, akurat pani, mojej wydawczyni, chyba nie powinnam tego mówić. Ale niechaj mi pani wierzy, że o tym właśnie mówić najtrudniej. Nie staje języka, że się tak wyrażę.

Schneider nie roześmiała się. Wyglądała na zainteresowaną i może nawet zatroskaną.

– Prawdę mówiąc, to mnie przygnębia. Choć stanowi także wyzwanie – zwierzyła się Elizabeth Costello. – Wie pani, kiedy byłam bardzo młoda i myślałam, że można bezkarnie pisać wiersze do szuflady, napisałam: „Pewien Zorba powiedział, jakże nisko upadł rodzaj ludzki, że porozumiewa się już tylko językiem...”. Akurat w tym, co mnie teraz nurtuje, język, owszem, może i odgrywa ważną rolę, ale to jest *obscenum*, droga Mario. I jestem bezradna w opisie.

– Jeśli dobrze rozumiem... Może to ma pozostać ukryte właśnie. Może tylko to pozostało.

– Ach, nie wiem, droga Mario. Chyba zaniedbaliśmy tę sferę. My, pisarze, potrafimy opisywać najrozmaitsze stany duszy. Najdziwniejsze wydarzenia i przygody. Przypadki. Mamy rozliczne możliwości. A kiedy przychodzi opisać seks, erotykę, popadamy w grafomanię, w obscena. W najlepszym wypadku może uda się oddać jakieś zmysłowe wrażenie, jak w tak zwanej liryce. A wtedy pozostaje nie tylko niedosyt, ale właśnie poczucie, że to jest chwila, że to ulotne. Tak jakby to trwało przez chwilę, tyle, ile orgazm. A to przecież kłamstwo. Może to my to zakryliśmy? Przez stulecia i dziesięciolecia. Ciągłe odkrywając, zakryli. Czymże jest akt seksualny? Czy któremuś ze słynnych fotografów udało się to uchwycić?

Schneider nie mówiła nic, myślała pewnie, że wszystko to jest dziwne i niejasne.

– Im starsza jestem, tym bardziej bezużyteczne wydaje mi się tworzenie skomplikowanych światów, wyjaśnianie praw, którymi się rządzą, skoro nie umiem opisać prostego i pierwotnego doświadczenia. Dałabym wiele, by poznać myśli, dajmy na to, Roberta Mariniego, kiedy w toalecie jest sam na sam ze swoim, *excusez-moi*, fiutem. Pomysł z rejestrowaniem wielogodzinnych ciągów myślowych pozostawiam pisarzom science fiction. Niech wymyślają stosowne maszyny i oprogramowanie. Mnie wystarczyłaby ta jedna chwila.

– Jednakże znajduję panią doskonale, Elizabeth. I przebywanie z panią jakoś tak nastraja... Sama nie wiem.

W hotelu znów czekał na Costello bukiet kwiatów. Była też wiadomość od córki z prośbą o kontakt. Lucy niepokoiła się, nie mogąc dodzwonić się na komórkę, o której włączaniu matka zwykle pamiętała.

Kwiaty przyniesiono po chwili w wazonie. Złota koperta na cieniutkiej złotej nici. Costello przeczytała: „Elizabeth, Elizabeth, Elizabeth... Czekam”.

Kopertę włożyła do szuflady nocnej szafki. Zdjęła swoje piękne perłowe buty i masowała przez chwilę stopy. Podniosła słuchawkę, ale po chwili wahania odłożyła ją. Żyje. To przecież wie od recepcjonisty. A reszta...

Zdjęła kostium, założyła jedwabny szlafrok, umyła zęby i wyciągnęła się wygodnie na łóżku. Nie zamierzała spać. Nie należała do tych, którzy ucinają sobie drzemkę w ciągu dnia. Przypominały jej się pewne słowa. Jest pani wróżką czy czarownicą. Wróżką czy czarownicą. Wróżką czy czarownicą. Pfff. No tak. Znowu to. Ta echolalia.

Czasem Costello myślała, że to zemsta języka za to, że go nadużywa. Wiedziała, że tym razem na niewiele zda się jej metoda, którą przyjaciele nazywali: „Zaraz. Zastanówmy się. Zrobmy porządek”. Owa metoda bywała skuteczna przy rozwiązywaniu rozmaitych problemów, zwłaszcza cudzych. Pozwalała uporządkować rzeczywistość. Czasem po prostu nazwać rzeczy po imieniu. Ale teraz jest inaczej. Elizabeth wciąż czuje przyjemne drżenie swego ciała. Wydaje się sobie miękka, lekka i pełna oczekiwania. Znalazła się w kręgu czaru. Roztacza go również wokół siebie. I mówi rzeczy, których nie chciała powiedzieć. Nie planowała. Ale one się mówią. Costello wcale nie ma poczucia, że zwariowała.

No i sny. Od dawna ich nie śniła. Teraz wróciły.

I pojawiła się postać w masce złotej i szacie czarnej. I zasiadła w dziwnej ławie. Ławie jak tron. A ją usadzono w podobnej ławie, tylko zamkniętej. Jak w konfesjonale. Miała na sobie błękitną sukienkę w białe żabki, z białym wykładanym kołnierzem. Na stopach sandały. Wygodne, ale nieładne. Jak dla dziewczynki. Nie założyłaby takich. W ogóle by się tak nie ubrała.

Było gorąco. Pociła się. I potrzebowała dezodorantu. Nie dano jej. Chciała wody.

– Najpierw sąd – usłyszała.

– Nie, najpierw wody – powiedziała.

Myślała, że temu w masce chyba nie jest gorąco. Usłyszała głos swojej córki, kiedy była mała i mówiła: „Straże. Wyprowadzić ją”. Tak się często bawiły. Dostała w końcu wody w rubinowej czarce złotej w środku. Nie lubiła pić z czarki, ale rozumiała, że nie może kapryścić. Napiła się. Woda była lodowata.

Spojrzała w dół, w poszukiwaniu czarno-białej posadzki w romby – pasowało jej to do scenerii. Ale nie było żadnej posadzki. Trochę się zaniepokoiła. Zobaczyła, że wisi w powietrzu. Próbowwała dosięgnąć jakiejś powierzchni, ale nie było nic. I to ją naprawdę przeraziło. Pamiętała, że zawsze chciała czuć grunt pod stopami. Dosłownie. I dlatego długo bała się pływać. Dopóki czuła pod stopami grunt...

– Czy wiesz, gdzie jesteś? – usłyszała patetyczny, teatralny głos.

– W niebie? – odezwała się głosem dziewczynki kretynki lub dziewczynki-nie-wiem-wiem.

– Żarty się skończyły. Będziesz tu wisieć, dopóki nie postanowię cię uwolnić. Musisz

prawidłowo odpowiedzieć na pytania.

– To gdzie jestem?

– Pierwsza reguła: ja tu zadaję pytania.

Wcale nie sądziłam, że będzie inaczej, pomyślała.

– Więc gdzie jesteś?

– Skąd mogę wiedzieć, sama tu nie przyszłam – mówiła wciąż głosem lekko oburzonej dziewczynki. – Ale gdzieś wiszę – oznajmiła (nie bez dumy).

– Spróbuj opisać, co widzisz.

– Widzę ciebie. Masz złotą maskę, pod nią pewnie twarz. Ta twarz zapewne...

– Dość. Opisz przedmiot, który jest najbliżej ciebie.

Pospiesznie spojrzała na czarkę. Wpatrywała się w jej dno i zobaczyła swoje odbicie. Zaczęła więc je opisywać.

– Dość. Jesteś przypadkiem beznadziejnym. Będziesz tu wisieć.

Przestraszona, myślała szybko i opisała ze szczegółami ławę tron, pilnując się, by wszystko, co jej przypominało to siedzisko, a przypominało jak na złość wiele rzeczy, które wydawały się jej bardzo interesujące, pominąć w opisie. Czuła, że takie są oczekiwania tego w masce. Czuła też, że bołą ją nogi, które nie mają oparcia.

– Na dziś wystarczy – orzekł dziwny sędzia. – Pilnuj się, bo jeszcze się spotkamy.

– Jak cię rozpoznam? Będiesz w tym przebraniu? – zapytała (znów jak mała dziewczynka).

Nie uzyskała odpowiedzi, bo się obudziła. Bolały ją kolana, ponieważ zasnęła z podkurczonymi nogami. Usiadła, oprzytomniała i pomasaowała nogi. Pokój, w którym była, wydał jej się brzydki. A wszystkie kolory blade w porównaniu z czerwono-złotą czarą. Wstała i pomyślała, że musi ten sen zapisać. Wyjęła notes i długopis. Pomyślała chwilę i postanowiła kupić farby, płótno i pędzle. Właściwie dawno już chciała nauczyć się malować. (Żeby tylko oddać tę czerwień. Taką jak z laki. I trochę popękaną). Zapisała: sen „Człowiek w masce”, Hotel pod Różą (wrzesień–październik 2013, Włochy).

Musiła się szykować. Znów na nią czekają. Co im powie tym razem? Zostałyby w tym pokoju. Ale co będzie robić, nawet jeszcze nie ma farb. Nie odpowiedziała na list w złotej kopertce. A snów na razie wystarczy. Wzięła prysznic i zaczęła się ubierać.

Szczotkowała włosy, aż zaczęły lśnić. Kiedyś ich nie lubiła. Marzyła o innych. Mogłaby właściwie o każdej części swego ciała stworzyć osobną historię. O trwającym długo zaprzyjaźnianiu się, jego kolejnych fazach i etapach... Ale kogo by to obchodziło.

Myślała, co oznacza ten sen, i jego wymowa wydała jej się prosta. Prostacka wręcz. No, jak na sen, to kiepsko, pomyślała.

Zadzwonił telefon, odebrała, pewna, że czeka na nią Marini, ale zaanonsowano jej córkę.

– Mamo, wszystko okej? Twoja komórka milczy. Jak wykład?

– Nie wiem...

– Czego nie wiesz? Hej, mam-o?

– Trochę narozrabiałam. Chyba...

– Ach, tylko to?

Cisza.

- Ale... kpisz czy...
 - Nie kpię. Jestem baaardzo serio.
 - Zaraz, a co ty masz taki inny głos?
 - Jaki?
 - No inny. Taki głęboki jakby i niższy.
 - Mam tak, odkąd cię urodziłam, moja droga.
 - Nie wygłupiaj się.
 - Ani mi to w głowie! Muszę lecieć, Lucy. Czeka na mnie.
 - Kto, mamgo?!
 - Taki przystojny brunet, włoski w typie.
 - Żartujesz?! Oj, Elizabeth, bo będę zazdrosna...
 - No dobra. Blondyn. Przynajmniej kiedyś nim był. Teraz mógł wyłysieć... Hm, to bardzo prawdopodobne. O tym nie pomyślałam... – powiedziała bardziej do siebie.
 - Zadzwoisz, jak wrócisz?
 - Mhm. To będzie raczej późno. Jeśli wrócę. I... Tak, zadzwonię, jeśli nie będę zbyt zmęczona i nie będzie za późno. Zadowolona?
 - Nawet nie zapytałaś, co u mnie.
 - Wyrobiłam już normę, Lucy. Teraz twoja kolej, maństwo.
 - Aha! To na razie, moja zwariowana staruszko! Ciao!
 - Ciao. Ciao – powtórzyła cicho Elizabeth.
- Odłożyła słuchawkę.

W holu czekał na nią Robert Marini. Wypachniony i ubrany inaczej niż poprzednio. Costello nie pamiętała szczegółów, ale na pewno zmienił kolorystykę. Nie miał też chyba dżinsów, kiedy się widzieli ostatnio. Wyglądał młodziej. Wyglądał, jakby wybierał się na randkę.

- Udało się panu odpocząć, Robercie? – zapytała.
- Mruknął coś niewyraźnie.
- Doprawdy, wykorzystują pana, co?
 - Co? Kto?
 - Każąc wozić w tę i z powrotem niemłodą kobietę. Pan pewnie ma własne plany. Pewnie się pan dzisiaj umówił z jakąś atrakcyjną studentką... – Klepnęła go lekko w ramię. Oskoczył jak dotknięty rozżarzoną żelazem.
 - Przepraszam – zgała samą siebie Costello.
 - Nie, nie. To nic. Przepraszam panią.
- Robert nie był rozmowny. W samochodzie milczał. Nagle zapytał:
- Spotkała się pani dzisiaj ze znajomym?
 - Ja? Nie. To znaczy, właściwie kogo ma pan na myśli?
 - Tam, na tarasie, w kawiarni.
 - Ach tam. Raczej z nieznajomym...
 - ?!
 - Tak, przysiadł się do mnie nieznajomy. To zabawne... To znaczy, jeśli pana to ciekawi.

– Bardzo – wypalił Robert.

Costello przyjrzała mu się przez chwilę, milczała kilkanaście sekund i zaczęła:

– Tak. To był nieznajomy. Siedział najpierw gdzieś w pobliżu. Nie wiem, nie zwróciłam na niego uwagi. Podszedł i zapytał, czy może się przysiąść na chwilę. Nie podnosząc głowy znad notesu, powiedziałam: nie. Nagle coś mnie tknęło, a może mucha usiadła mi na nosie, i podniosłam głowę. Zobaczyłam przystojnego mężczyznę. Zielone skośne oczy. Naprawdę. I zrozumiałam, że nie ma złych zamiarów. Chociaż wie pan, w moim wieku to byłby duży zaszczyt – dodała. Czekala na odzew Roberta, ale minę miał chyba zaciętą, o ile mogła to zauważyć, było już ciemno.

– I co? – bezceremonialnie zapytał Robert.

– Słucham?

– Przepraszam panią. Proszę mi wybaczyć.

– Robercie, czy mi się wydaje, czy pan jest rozdrażniony?

– Jeszcze raz przepraszam. Nie wiem, co się ze mną dzieje. To znaczy nic, proszę się nie martwić. Nie w tym sensie. Jest pani bezpieczna.

– Nie chcę być bezpieczna właśnie. To o to chodzi.

– Proszę?

– Mówiłam tylko, że czasem zbyt duże bezpieczeństwo jest niebezpieczne.

Przejeżdżający tramwaj ogłosił to przeraźliwym dzwonieniem. Zbliżając się do ucha Roberta, poczuła falę ciepła.

Costello uświadomiła sobie, że całe jego ciało może być tak samo rozgrzane. Poczuła, że i na nią spłynęła fala ciepła.

– Robercie – powiedziała to jakoś tak, że on nie mógł pewnie trzymać kierownicy. Ciało mrowiło go i paliło. – Proszę się zatrzymać. Niech pan zjedzie gdzieś bezpiecznie.

Skreślił, cofnął i samochód zatrzymał się. Robert wyłączył silnik. I kurczowo trzymał się kierownicy. Po dwóch, trzech sekundach puścił ją i położył ręce na udach, starając się opanować drżenie dłoni. Costello chciała ich dotknąć, lecz zastygła, słysząc słowa:

– Jeśli ich pani dotknie, nie wytrzymam!

Dotknęła.

– Auuuuuuu! – zawył Marini.

Wieczór przebiegł bez szczególnych wydarzeń. Gospodynią spotkania była Helena Rigida, znana i wpływowa krytyczka, której rola tego wieczoru sprowadzała się jednak tylko do powitania gościa i czuwania, by czas spotkania nie został zanedo przekroczony. Rola ta nie należała do jej ulubionych.

Costello starała się odpowiadać grzecznie na pytania. Postanowiła też nie odpowiadać na te, które wydawały jej się nieciekawe. Wszystkie pytania w stylu: co sądzi pani o sytuacji politycznej tu czy tam, zbywała: cóż, nie jestem politykiem. Ale ma pani jakiś pogląd w tej sprawie? Zazwyczaj. Podzielę się nim pewnie z czytelnikami w swoich kolejnych książkach. A może nie. Jeszcze nie wiem. Staram się jednak tego unikać. Moja pisarska tożsamość, hm, to skomplikowana sprawa. Nie zawsze zależy ode mnie.

Tym razem najbardziej odpowiadały jej pytania o natchnienie, o pomysły literackie, o pisanie. Choć takich pytań raczej nie lubiła.

– Dzisiaj zdrzemnęłam się trochę i miałam sen. Bardzo piękny, w kolorach. Chciałam go od razu zapisać i moje pióro pozostało bezradne. Piszę już wystarczająco długo, żeby zmierzyć się z takim opisem. Ale właściwie po co? Czyż nie prościej go namalować? Ponieważ nie jestem malarką, dotąd używałam słów. Ale może spróbuję? Może w ogóle zacznę malować...

– Pani Costello, niech pani tego nie robi – rzucił jakiś młody człowiek. Sala wybuchnęła śmiechem.

– Dziękuję za zaufanie – odparła, choć było to niepotrzebne.

– To znaczy niech pani nie przestaje pisać – dokończył w salwach śmiechu młody człowiek.

– A co pani myśli o naszym kraju?

– Piękną macie jesień. A poza tym niewiele myślałam o nim wcześniej, choć pewnie dobrze by było powiedzieć wam coś miłego o waszych przemianach, rozwoju i tak dalej. Ale nie myślę także o innych krajach. Już jakiś czas temu takie myślenie wydało mi się zbędne. Ja po prostu nie widzę różnicy. Moje doświadczenie pokazało mi, że można się czasem doskonale zrozumieć z kimś, kogo język jest całkowicie obcy, wtedy posługiwać się trzeba jakąś kaleką namiastką językową, którą znają obie strony. A przecież mam niekiedy poczucie niemożności porozumienia z człowiekiem z mojego kraju, z mojej ulicy. To nie jest zresztą sprawa języka. Ja właściwie naiwnie wierzę, że porozumiewam się z innymi na jakimś ogólniejszym poziomie. I te wszystkie podziały, na kraje, na poglądy, na ideologie, na religie, są mi obce jako pisarce. Chociaż wasz kraj zaskoczył mnie bardzo. Nawet nie wiecie jak. Nie wiem jednak, czy to jego zasługa... Być może to, czego tutaj doświadczam, mogłoby się zdarzyć wszędzie. A może nie. Więc jeśli przyjemnie wam myśleć, że jesteście wyjątkowi, nie mam nic przeciwko temu. A nawet mogę, by tak rzec, doświadczać tego na własnej skórze.

– Proszę państwa, wróćmy do poważnych pytań, jeśli ktoś jeszcze... Jeśli nie ma... Tak?... To podziękujemy naszemu gościowi i pozwolimy udać się na odpoczynek... to znaczy pozwolimy jej wrócić do siebie. Bardzo dziękujemy, pani Costello – dodała prowadząca spotkanie Helena.

Rozległy się oklaski. Niektórzy podeszli do Costello, aby coś powiedzieć lub o coś zapytać. Prowadząca spotkanie dbała jednak, by nie przedłużyło się to wszystko. Zrobiło się rzeczywiście późno. Costello miała wrażenie, że dzień trwał około tygodnia.

Wracały z Heleną samochodem, Helena starała się zabawić ją lekką rozmową, wciąż w duchu żałując straconej szansy na zadanie kilku złożonych pytań, być może niepozabawionych szczypty złośliwości. Costello podjęła ten lekki ton:

– Mój pokój obity jest tkaniną w dwóch kolorach, indygo i brudnej bieli, może szarości. Taki dziwny motyw roślinny z symetrycznie rozłożonymi kolorami... Także łóżko jest nią obite i narzuta jest taka sama.

– Ojej, czy to nie za dużo? Wie pani, Hotel pod Różą charakteryzuje się tym, że każdy pokój ma inny wystrój.

– Tak, moja córka czytała o tym w internecie. Wie pani, ona zawsze przygotowuje dla mnie całe dossier przed kolejną podróżą – powiedziała z jakimś rozczuleniem. – W każdym razie nie ma tam żadnej przesady ani monotonii. Chodzi o to, że wiele lat temu spędzałam z mężem, tak, miałam kiedyś męża, noc w pewnym pałacyku

przerobionym na hotel, w pokoiku, który był identycznie obity. Taka sama tkanina. Samej wydaje mi się to niemożliwe. Ale jestem pewna. Zresztą sprawdzę to. Mam gdzieś w domu fotografię i skonfrontuję.

– Jeśli pani chce, poproszę w recepcji, aby przygotowano dla pani odpowiednie materiały, które...

– Nie trzeba. Dziękuję bardzo. – Tamta noc trwała krótko, podobnie jak moje małżeństwo.

Pozegnały się.

Kiedy znalazła się w pokoju, marzyła o tym, by zasnąć jak najszybciej i nie śnić. A wcześniej nie rozmyślać. Nie rozpamiętywać. Przydałby się teraz ktoś, kto by się nią zajął. Kto by ją delikatnie pieścił i masował. I nie mówił niczego. W ciszy zupełnej. Bez wzbudzania napięcia. Które niechby rosło powoli. Mimochodem. I żadnych słów. Żadnych. I jak najmniej myśli. Delikatny dotyk. I naprawdę żadnej celowości. Oto, co gubi i zabija seks. Wmawianie nam, że do czegoś się dąży. Przymus szczytowania. Męskie narzucenie sobie sprawdzalności. Męskości. Nie brać na siebie żadnej odpowiedzialności. Gdyby to było możliwe – dwa czyste, niczego nieoczekujące od siebie byty, których czekanie niech będzie trwaniem, a ono samo zrodzi napięcie. Jakże się kochać z kimś, za kogo czujemy się odpowiedzialni? Czyje życie nam ciąży, bo nas obchodzi. Bo przejmujemy jego troski, jego istnienie na siebie. To ciężar. Ty jesteś ty. Ja jestem ja. Niech tak zostanie. Niczego od ciebie nie chcę. A ty nie chcesz niczego ode mnie. Nie myślę o sobie, a ty o sobie też. A jednak wiele sobie dajemy. Szukają się niespiesznie nasze ciała, jakby się nie widziały. Nie ma przeszłości i nie ma przyszłości. Jest czas. Płynie jak zawsze, a w nim nasze ciała nasycają się pieścizotami.

Takie myśli przepływały gdzieś między jawą a snem Costello. Tak w każdym razie nieudolnie uchwycił je Narrator, który rad nie rad powoli godził się z pewnymi ograniczeniami i swoją nietypową rolą w tej opowieści.

Obudziła się w nieokreślonym stanie ducha. Najpierw długo przyglądała się sobie w lustrze. Potem analizowała swoje ciało. Kawałek po kawałku. Stopy, palce, pięty. Gładziła swoje łydki, wodziła palcem po fioletowych nitkach żył. Od dawna były widoczne, wstydziła się ich i kiedy nie miała opalonych nóg, ukrywała je pod grubymi rajstopami lub spodniami. Zazdrościła kobietom, które w jej wieku jeszcze ich nie mają. Z niepokojem oczekiwała na pojawienie się żylaków. Zaczynała badać swoje uda, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała po krótkim wahaniu.

– Eliiiiizabeeeth, witaj. To znowu ja.

– ...

– Nie przywitasz się nawet?

– ...

– Co robisz, Elizabeth? Jesteś sama?

– ...

– Kiedy przyjdiesz, też będziesz mogła milczeć. Nie będziesz musiała nic robić.

– ...

– Czujesz się choć trochę zachęcona?

– ...

– Jak długo jeszcze tu będziesz? Twój czas powoli zbliża się do końca. Będziesz więc musiała niedługo podjąć decyzję...

– ...

– Do widzenia, Elizabeth. Czekam.

Odłożyła słuchawkę. Energicznym krokiem udała się do łazienki. Szorowała swoje ciało dużą szczotką o miękkim jasnym włosiu, kolistymi ruchami, aż wystąpiły na nim zaróżowione ślady. Otuliła się miękkim ręcznikiem, osuszyła i uspokoiła swoje ciało. Nałożyła krem nawilżająco-ujędrniający. Posiedziała chwilę z podkurczonymi pod brodę nogami, obejmując je dłońmi. W końcu założyła najlepszy komplet bielizny, jaki ze sobą zabrała. Malinowy, z pięknej koronki. Biustonosz z usztywnionymi miseczkami. Uśmiechnęła się do siebie w lustrze. Nikomu nie mówiła o swojej słabości do pięknej bielizny. Nikomu też nie przyszłoby prawdopodobnie do głowy, co stara Costello ma na sobie pod ubraniem, kiedy rozmawia z czytelnikami lub wygłasza mądre odczyty. Zimą nosi piękne body z czarnych, granatowych lub wrzosowych delikatnych tkanin. Można je dobrać idealnie do sylwetki, skóry i wieku.

Włożyła czarne, wąskie spodnie i czarną tunikę. Swoje nieśmiertelne srebrne perły. Lekko się umalowała, puściła luźno włosy i zarzuciła na ramiona miękki wełniany szal w fantazyjne wzory, w kolorach czarno-szaro-srebrnych. Psiknęła perfumami. Przewiesiła przez ramię wielką, szarą skórzaną torbę. Spojrzała w lustro i pomyślała, że prezentuje się całkiem nieźle. Kiedyś tak nie wyglądała. Och, jakże była zaniedbana. Poczowała się wolna. Uśmiechnęła się do lustra, ale zdało jej się nagle, że nie jest sama... Przypomniał jej się Kreator. A że nie chciała o nim myśleć, prędko wyszła.

Kiedy zjechała do holu i zmierzała do restauracji, poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Dopiero siedząc w restauracji, rozejrzała się dyskretnie. Zobaczyła mężczyznę niemłodego, ale dobrze się trzymającego. Typ biznesmena starej daty, jakich jeszcze czasem spotyka się w samolotach, hotelach, czasem na przyjęciach charytatywnych lub koncertach muzyki poważnej. Nawet z tej odległości dostrzegła złoty sygnet lub

pierścień na jego palcu. A może chciała go widzieć, bo pasował jej do całości. Zauważyła, że mężczyzna wstał z kanapy i podszedł do recepcji. Więcej go nie widziała.

W recepcji nie było Roberta. Poczła ulgę i rozczarowanie. Podszedł do niej inny mężczyzna, mniej więcej w wieku Roberta, ukłonił się sztywno, wyciągnął dłoń i powiedział:

– David Pokorny, witam panią. Jestem tu w zastępstwie. Robert nie czuje się dziś dobrze. Jestem pisarzem, poznaliśmy się na obiedzie...

– Ach tak – wybąkała.

– Mam więc zaszczyt towarzyszyć i służyć pani dzisiaj. – Ukłonił się znów nonszalancko.

Pomyślała, że cały ten cyrk z towarzyszeniem jej, szoferowaniem, jest dość staroświecki w tym plastikowym świecie, a jednocześnie to coś szalenie współczesnego. W gruncie rzeczy formy pozostają te same. Uśmiechnęła się wyrozumiale do swojej niezbyt głębokiej refleksji. Nieco skonfudowanemu pisarzowi odrzekła:

– *Très bien, monsieur*. Zatem zdaję się na pańską łaskę. Wrócę tylko do pokoju i za kilka minut tu będę.

Zupełnie nie zapamiętała tego człowieka. Nie miała pojęcia, co pisze. Zapewne to ktoś znany w tym kraju. Lokata w pierwszej dziesiątce pewnie. Pomyślała, że ma w sobie coś z katolickiego księdza. Broda, okulary, fryzura, niby wszystko jak trzeba, ale tak jej się właśnie kojarzył.

David był usłużny, a jednak wyczuwała w nim sztuczność. Nie wynikała ona z braku pewności siebie. Raczej z nadmiaru. Nie rozmawiali zbyt dużo, choć Elizabeth nie chciała, by pomyślał, że jest wielką, zarozumiałą pisarką, niezainteresowaną niczym i nikim innym poza samą sobą. Zaczęło jej wręcz zależeć, by nie pomyślał w ten sposób. Zapytała uprzejmie o jego ostatnią książkę.

– Ach, to zupełnie niesamowita sprawa – odparł z entuzjazmem David i natychmiast opowiedział całą historię jej powstania, która ani nie była interesująca, ani szczerólna.

Mam nadzieję, że piszesz lepiej, niż mówisz, pomyślała Costello.

– To bardzo interesujące. A dla kogo pan pisze?

– Wie pani, jest mi to całkiem obojętne. W zasadzie dla wszystkich. No a jeśli ktoś się w tym nie odnajdzie, to cóż, jego problem.

No, skromny to ty nie jesteś, pomyślała.

Ciekawe, jakie też on prowadzi życie erotyczne. Jeśli jest takim samym bufonem w łóżku, to jego partnerka, chyba nie partner (?), nie ma pewnie z niego pociechy. Nagle zapytała:

– Czy ma pan jakieś doświadczenia homoseksualne?

David był tak zaskoczony, że nawet nie potrafił tego ukryć. Chwila wielkiego ambarasu. Myślał pewnie, że mógłby się oburzyć, ale wtedy wypadnie głupio. Żadna dowcipna odpowiedź nie przyszła mu do głowy. Wariatka, tak o niej pomyślał, ale przecież nie mógł jej tego powiedzieć. Milczał i był na siebie wściekły za to milczenie.

– Dobrze, uznajmy, że nie było tego pytania – powiedziała spokojnie Costello.

Przez resztę podróży, dobre dziesięć minut, panowała cisza, która Elizabeth zupełnie nie przeszkadzała.

Kiedy wysiadł pierwszy i otwierał przed nią drzwi samochodu, usłyszał:

– Ależ Davidzie, jaki pan szarmancki. Jak wszyscy w tym kraju, jak wszyscy.
– Zaparkuję samochód, a potem dołączę do pani – rzekł dziwnym tonem David.
– Jeśli program to przewiduje. – Costello rozłożyła delikatnie ręce, ni to bezradnie ni to teatralnie.

Przed wejściem do budynku czekał na nią młody człowiek, znany podobno dziennikarz, którego króciutkie dossier przed przyjazdem dostała od organizatorów. Przywitali się.

- Iwo Kramer – powiedział i podał jej rękę.
- Czy mamy jeszcze chwilę? – zapytała.
- Tak. Możemy porozmawiać.
- Zapali pan? – Podsunęła paczkę cienkich, długich papierosów.
- W zasadzie nie... Zapalę z panią – dodał sympatycznie i wziął papierosa.

Costello wyjęła zapalniczkę. Miał odruch, żeby ją od niej przejąć i obsłużyć najpierw ją, ale dała znak wzrokiem, że nie trzeba, i przypaliła mu papierosa.

– Mężczyźni w tym kraju są bardzo szarmanccy, ale – wydmuchała dym po zaciągnięciu się – ale proszę się nie obrazić, zastanawiam się tylko, jak to się manifestuje w innych sferach.

Kramer czekał na doprecyzowanie, ale Costello powiedziała:

– Nic, nic. Nieważne. Muszę się, że tak powiem, skoncentrować. Bo jeszcze gotowam opowiadać jakieś bzdury – dodała z prowokacyjnym uśmiechem.

Kramer stał z niewyraźną miną, a Costello klepnęła go lekko po ramieniu dla dodania otuchy.

Weszli do przeszklonego budynku. Zgromadzeni tam ludzie stali lub przesuwali się wolno wzdłuż ekspozycji wielkoformatowych biało-czarnych fotografii. Niektórzy przyglądali jej się ukradkiem, niektórzy zwyczajnie i po prostu. Dominowali chyba młodzi, ale Costello dostrzegła także sporo kobiet dojrzałych i takich, których twarze były pomarszczone. A także mężczyzn w nieokreślonym wieku. W końcu usiadła na wskazanym jej fotelu, dość wygodnym, co zawsze ją nieco demobilizowało. Cóż, organizatorzy zawsze chcą jak najlepiej. Przywitały ją oklaski.

– Witacie mnie państwo, jakbym była aktorką dramatyczną czy też raczej celebrytką, a nie „sekretarką niewidzialnego”. Dzień dobry państwu. Że też chciało się państwu w tak piękną pogodę... Macie bardzo ładną jesień. I bardzo szarmanckich mężczyzn. Kobiety muszą w takim kraju czuć się wspaniale, co? – Szukała wzrokiem kobiet. Po sali przeszły szmery, dało się słyszeć wybuchy śmiechu.

Kramer czekał w napięciu, widząc, że zagajanie już nie ma sensu.

- Któraś z pań śmiała się najgłośniej. No, zgadza się pani z moją tezą?
- Pozory, pozory – rzuciła któraś z kobiet na sali.
- Tak? A nie chciałyby pani podzielić się refleksją? Rozwinąć?
- Yyy, nie. To jest, wolę posłuchać pani.
- O, doprawdy szkoda. To mnie żywo interesuje. Ja, cóż ja mogę wam powiedzieć? Staram się rozmawiać z wami poprzez moje pisarstwo.

Nastała chwila ciszy.

- Pięknie pani wygląda – powiedziała jakaś kobieta.
- Dziękuję, dziękuję. Nie ma to jak komplement od kobiety. – W końcu odwróciła się

w stronę Kramera. – Ale dajmy panu redaktorowi szansę, bo ma pewnie wiele do powiedzenia. Jeszcze gotowi mu nie zapłacić. Panie redaktorze...

– Cóż, pani Costello, nie wiem, czy do czegoś się przydam. Przygotowywałem się do rozmowy z pisarką zamkniętą w sobie, raczej niezbyt rozmowną. Odpowiadając na pytania oschle i krótko. A czasem nieodpowiadając wcale. To cytat. Widzę, że autorzy tych twierdzeń są w błędzie.

– I tak, i nie. Wie pan, bywa różnie – powiedziała, uśmiechając się. – Widzi pan, dzisiaj mam na przykład ogromną ochotę porozmawiać z panią, która głośno się śmiała. Z panią, która siedzi w pierwszym rzędzie i ma takie piękne rzęsy. W ogóle porozmawiać. Z kobietami. Może także z mężczyznami. Ogromnie mnie ciekawi, co mają do powiedzenia. Poznać chociaż maleńką cząstkę ich myśli. Wiem, że pan wie, redaktorze, że nie kokietuje. – Spojrzała na Kramera, który właśnie się zastanawiał, czy jest jeszcze szansa wskoczyć w rozmowę, którą przygotował, a która właśnie brała w łeb. – A więc, droga pani! Jak to jest być kobietą w tym kraju pięknej jesieni? Jak ma pani na imię? – spytała ciszej.

– Iwetta – odparła kobieta.

– Iwetta! Pięknie brzmi. Zatem jak się pani dziś czuje?

– Dość dobrze, dziękuję – odpowiedziała i zapytała zaczepnie: – A pani?

– Może przeniesiemy się do kawiarni obok? – rzuciła jakaś kobieta, nie wiadomo, czy poważnie, czy była w tym ironia.

– Czemu nie? – Costello spojrzała pytająco na Kramera, który miał minę sugerującą, że przewiduje wiele dziwnych zwrotów akcji.

– Nie wiem tylko, czy wszyscy państwo zmieście się... No i co na to ekipa techniczna? Zakładam, że właściciele kawiarni nie mieliby nic przeciwko – powiedział.

– Oj, chyba mieliby. Nie jestem celebrytką. Ale dziękuję panu, Kramer, za dobre chęci. – Posłała mu ciepły uśmiech i pomyślała, że dawno już nie miała do czynienia z dziennikarzem telewizyjnym, którego interesowałoby coś poza własnym sukcesem. – Odkąd tu przyjechałam, mam do czynienia wyłącznie z mężczyznami szarmanckimi, miłymi, rycerskimi wręcz. Czy i panie tak jesteście traktowane na co dzień?

– Różnie.

– Tak.

– Często.

– Zależy.

– Nie za bardzo

– My, feministki.

Wszystkie odpowiedzi były niemal równoczesne.

– Tak się zastanawiam, choć wcale nie chcę, jak taka szarmanckość wygląda w sytuacjach intymnych. W erotyce. W seksie. Czy panie, przepraszam, w ogóle mogą sobie pozwolić na jakąś aktywność? Czy panie są tylko adorowane, uwielbiane i ... obsługiwane?

Na sali dał się słyszeć szmer, jakieś chrząknięcia.

Costello zauważyła kilku wierzących się mężczyzn. Jeden z nich, w typie Davida Pokornego, wstał i ostentacyjnie wyszedł.

– Proszę państwa. Ja tu nie zamierzam urządzać żadnej psychodramy. Ale jeśli

komuś ten początek wydaje się, hm, w jakikolwiek sposób nieinteresujący czy też, hm, niewygodny, to proszę bez żadnego skrępowania po prostu wyjść. Kramer! Przepraszam, Kramer, nie było, broń Boże, jakiegoś, że tak powiem, biletowania?

– Nie, nie – potwierdził.

– Och, dziękuję. Tak myślałam, ale wolałam się upewnić – dodała trochę pajacowato.

– Kramer, my zresztą nie odchodzimy tak bardzo od głównego wątku tego spotkania, prawda? – Costello patrzyła wprost w kamerę.

Nie wiadomo, skąd Kramer wziął odpowiedź wręcz salomonową.

– Szanowna pani, jak pani zapewne wie, nasza redakcja niezwykle ceni sobie otwartą formułę tych spotkań. Nasz program „Spotkania” ma ambicję zderzania ludzi, postaw, poglądów, emocji, opinii. A jeśli chodzi o wątek przewodni, jaki przygotowaliśmy, czyli „moje wierne, milczące ciało”, jak najbardziej mieści w sobie rozmowę, którą tak ciekawie pani zaczęła. Czy czuje się pani uspokojona?

– Tak. Dziękuję, panie redaktorze. Chciałam się tylko upewnić.

Wygląda na bystrego, pomyślała Costello.

– Właśnie, czy panie zaprzatają sobie w ogóle głowę tym nieszczęsnym ciałem? Ja oczywiście nie pytam o wszelkie zabiegi kosmetyczne, natryskowe opalania, fitnessy i tym podobne. To przecież wszystkie w mniejszym lub większym stopniu robimy. Narzuca nam to kultura, nie mamy wyjścia. Musimy wyglądać młodo, szczupło i w ogóle świetnie. Ja pytam o inne jego potrzeby. Czy panie, państwo, dobrze się nim opiekujecie... erotycznie na przykład. Czy zaspakajacie swoje potrzeby, kiedy je macie? Czy nie uciekacie od nich? A co robicie, kiedy was dopadają? Jak je oszukujecie, kiedy zaspokoić ich, jak wam się wydaje, nie możecie?

– Będzie nas pani teraz wrywać do odpowiedzi? – zapytała dziewczyna z pierwszego rzędu.

– Nie. Proszę się nie obawiać, choć chciałabym. I rzeczywiście byłaby pani jedną z pierwszych... – Proszę się zastanowić, co tak naprawdę mamy na własność? Nawet nasze myśli są nam czasem tak obce, że wydają się przybywać z innej głowy, z odległej planety wręcz.

Nieme i wierne ciało. Ciało można wytrenować, jak czynimy to z umysłem. Uspokajamy go poprzez medytację, rozmaite ćwiczenia relaksacyjne i na inne sposoby. Ciało, jeśli jest zapomniane, zaniedbane, niesłuchane, staje się nieme. I czasem takie pozostaje aż do końca. Ale czasem budzi się przedtem i dopomina o to, co mu należy. Zdarzyć się to może w każdym momencie. – Pogroziła palcem. – Najmniej przewidywalnym. Niezależnie od miejsca, wieku i statusu. I oby się to stało.

– Czy pani ma na myśli, że przeważnie jesteśmy pruderyjni? – zapytał jakiś mężczyzna w średnim wieku.

– Nie, nie. Chociaż rzeczywiście bywamy tacy często. Przede wszystkim idzie mi o słuchanie własnego ciała. Nie wysyłanie go do kąta, za karę, za niesubordynację. Usłyszenie i niekarcenie. No i zadośćuczynienie, czyli zaspokojenie jego potrzeb.

– Pani Costello, zechce nam pani opowiedzieć, jak pani sobie z tym radzi? – zapytał prowokacyjnie pewien mężczyzna.

– Wie pan, zechcieć to może bym i zechciała, choć nie wiem, co na to organizatorzy – spojrzała wymownie na Kramera – lecz obawiam się, że pan by tego nie chciał.

– Yyy, ja tylko w kwestii formalnej – wtrącił Kramer. – Nie mam nic przeciwko zwiększeniu oglądalności naszego programu.

Sala roześmiała się.

– Poza tym – dodała Costello – ja zawsze mogę to opisać w moich książkach. Zresztą mogę panu zdradzić, że właśnie nad czymś takim pracuję...

– Oooo! Kiedy to się ukáže? Czy jest pani w tak zwanej fazie końcowej?

Jakieś ochy i achy. Szepty, pomrukiwania zdradzające podekscytowanie.

– Proszę państwa, żeby zobaczyć trochę pornografii, nie musicie państwo przedzierać się przez moje powieści. Możecie po prostu pójść do kina. Lub obejrzeć film w domu i w ogóle nie wychodzić. Ja nie chcę państwu sprzedawać pornografii. Już raczej chcę wam sprzedać nastrój poranka, do południa, kiedy słońce prześwieca przez firankę, odbija się w jej błyszczących pasach, w ciszy tylko dobiegają dalekie odgłosy miasta. Słysząc śpiew jakiegoś wdzięcznego ptaka, choć go nigdzie nie ma. Bo ten śpiew zapisany jest w naszym uchu, utrwalony być może po to, by w takich chwilach jak ta zabrzmieć niczym pozytywka. A więc w istocie słyszymy go. Słońce coraz mocniej świeci, mrużymy oczy i wtedy to nasze ciało jest wszędzie, opanowuje nas, oplata mackami. Nie możemy udawać, że go nie ma. Jednak próbujemy. Bo cóż zrobić z takim uniesieniem-podnieceniem? Poczucie. Proszę państwa, przede wszystkim poczuć je i nie odganiać. Nie oszukiwać. Siebie przecież oszukujemy. Kogóż by innego.

Costello zamyśliła się. W sali zrobiło się cicho.

– Zanim do was przyjechałam, moja córka czytała w internecie, że macie mało słońca. To wierutna nieprawda!

– Ten rok jest wyjątkowy. To znaczy ta jesień – wyjaśniła jakaś kobieta.

– I mnie się tak wydaje, choć z innych powodów.

Zamyśliła się znów.

– Czy państwo chcą mnie o coś zapytać? Ach, przepraszam, panie redaktorze, oddaję panu głos. Zapewne przygotował pan pytania.

– Tak – odrzekł Kramer po krótkiej pauzie. – Chyba że państwo chcą najpierw... – Spojrzał po zebranych.

– Ja mam pytanie. – Młoda kobieta wstała. – Tylko jestem trochę nieśmiała. Czy z tym ciałem, czy to, co pani mówi o ciele, to... prowokacja? Czy też pani zmieniała jakoś na... to jest, czemu raptem poświęca pani temu tematowi tyle uwagi?

– Chciała pani powiedzieć, czemu na stare lata zajmuję się tym tematem? Tak? Najprościej odpowiem: ponieważ nie robiłam tego, kiedy byłam młoda. Ale to nie wszystko. Kiedy się dobrze zastanowić, nasz odbiór świata jest głównie intelektualny. Nigdy wprawdzie nie mówiono o mnie i nie pisano, że jestem damą, ale w gruncie rzeczy oczekiwano tego ode mnie. Dama nie ma ciała. To jest, przepraszam, ma je i najlepiej, aby było piękne, lecz ma być ukryte. Żeby nikt go nie widział. Jako damie wolno mi występować ewentualnie w obronie małych, mogę się nawet jako dama otwarcie przyznawać do siostrzeństwa z nimi, to jednak ciągle mieści się w granicach intelektualnego rozumowania, nawet jak człowiek do własnej zwierzęcości się przyzna. Ale już mówienie o tym, że się odczuwa cielesne pożądanie, fizyczne jak najbardziej, i to w wielu momentach, sytuacjach, to nie jest *correct*. Ciało może być ewentualnie przedmiotem wielkiej poezji, kiedy cierpi. Bo zawodzi, bo się starzeje, bo nie ma już tej

ostrości zmysłów. Oczywiście jako narządów percepcji, broń Boże, nie czegoś więcej! Wiemy, że jesteśmy także istotami cielesnymi. Tak, droga pani. Wszyscy mamy ciało, że przypomnę. To niezupełnie to samo, że jesteśmy cielesni. Bo cielesni przede wszystkim kojarzy nam się ze „śmiertelni” lub „słabi i krusi”. I „niedoskonali”. Ale czy myślimy, że jesteśmy seksualni, erotyczni, pożądanicy? Oczywiście, rozmaite chucie opisywane były w literaturze od średniowiecza. Tak, nasze ciała były zgubą licznych bohaterów i bohaterek literackich. Ta nieszczęsna fałszywa opozycja dusza–ciało! Lecz ciało, jako źródło rozkoszy, już nie tak często. A już ciało jako podstawa naszej tożsamości, o wiele rzadziej. W efekcie nie znamy swoich ciał, czyli nie znamy siebie. Mówimy wprawdzie o znakach, które daje nam ciało, czytaj: organizm, na ogół wtedy, kiedy zachorujemy na ciężką chorobę. Organizm/ciało dawał nam znaki, ale nie chciałem/-am ich przyjmować. Otóż moje ciało daje mi ostatnio inne znaki. Staram się ich nie zagłuszać, nie przepędzać. Zapoznać się z nimi. I... odpowiedzieć na jego potrzeby.

Costello popadła w krótką zadumę.

– Czy moja odpowiedź panią satysfakcjonuje? – zapytała z uśmiechem.

– Tak. Chyba tak – usłyszała.

Po chwili milczenia Costello zapytała:

– Panie redaktorze, a pan, co by na to odpowiedział? Proszę, niech pan atakuje, ma pan pełne prawo, chyba nawet obowiązek.

Kramer spojrział na Costello jakimś innym wzrokiem i nieoczekiwanie odparł:

– Rezygnuję z tego prawa, jeśli nawet miałbym je. Myślę, to znaczy widzę... Nie mogę tego jednak powiedzieć.

Costello przyjrzała mu się chwilę, po czym zaczęła grzebać w swojej przepastnej torbie, wywołując sympatię, a nawet rozczulenie u kobiet. Znalazła w końcu to, czego szukała. Zapisaną kartkę, którą wyjęła z notesu.

– Posłuchajcie, państwo i pan, panie redaktorze: „Ludzie starzy w naszej kulturze prawa do rozkoszy nie są nikomu potrzebni. Ponieważ uważa się ich za bezwartościowych – sami siebie tak postrzegają. Nie czują się godni miłości. Zwłaszcza kobiety”. Czy to miał pan na myśli, redaktorze?

Kramer zrobił się czerwony.

– Nie. Absolutnie nie. W-w-wręcz przeciwnie! – wykrzyknął.

Costello zaśmiała się.

– Z kulturą prawa do rozkoszy także musiałabym polemizować. Nawet z samą „rozkoszą” musiałabym polemizować. Bo czy rozkosz opisywana przez Michela H., mojego kolegę po fachu, jest w istocie rozkoszą? Czy nie jest raczej rozpaczą? Erzacem? Wybaczcie, państwo, dosłowność, ale kiedy czytam u niego o penisie ssanym niewiarygodnie długo przez seksowną dwudziestolatkę, to żal mi tego członka. Czuję tam ból raczej, jeśli przyjąć, że moja empatia mogłaby sięgnąć tak daleko. Za daleko. Zresztą to wy, panowie, moglibyście się wypowiedzieć. – Costello potoczyła wzrokiem po sali. – Spróbujcie sobie wyobrazić tę sytuację.

Usłyszała tylko chrząknięcia i pomruki.

Po chwili dodała:

– Zresztą dajmy spokój panom i biednemu Michelowi, którym zajmę się w mojej kolejnej książce, jeśli będzie mi dane ją skończyć. Skądinąd spotkam się z nim niedługo

w Paryżu.

– Czy pani polemizuje z kultem młodości? Czy chce pani przekonać nas, że ludzie... że osoby starsze, to znaczy osoby stare, mają prawo do... do seksu, nie wiem, miłości...? – zapytał młody mężczyzna o wyglądzie pracownika agencji reklamowej. – A pan nie daje im tego prawa? – podchwyciła szybko Costello, a publiczność parsknęła śmiechem. – Teraz serio. Nie, nie polemizuję. Nie jestem naiwna. To, co wam opowiadam, jest właściwie dzieleniem się własnymi, hm, odczuciami czy też doświadczeniami, nie jakimś dyskursem akademickim. Gdybym państwu powiedziała, że jeszcze nigdy dotąd nie czułam się tak atrakcyjna... seksualnie, tak erotycznie rozbudzona, miałoby to w moim przekonaniu o wiele większą dla was wartość niż ewentualna stricte akademicka polemika ze współczesną kulturą, wykluczającą, jak się słusznie zauważa, ludzi starych. – Costello zamilkła, spojrzała na widownię. Pewnie nie wiedzą, czy żartuję, prowokuję, czy może oszalałam.

– Przepraszam bardzo – odezwała się dziewczyna, wyglądająca na studentkę – czy pani żartuje... czy może chce nas pani sprowokować, czy też...

– Oszalałam? – dorzuciła Costello. – A która odpowiedź wydaje się pani właściwa?

Dziewczyna milczała i nie wyglądało na to, że chce coś powiedzieć. Chwilę trwała cisza, którą przerwał Kramer:

– Pani Costello, niech pani kontynuuje, prosimy.

– Ale ja nie przygotowałam dla państwa wykładu. Nie mam przed sobą kartek jak porządny belfer. Nie wiem nawet, panie redaktorze, czy mam prawo zabierać państwu czas. Cenny czas. Gdybym chociaż wiedziała, że państwa interesują moje wynurzenia...

– Kokietuje – szepnął facet z brodą i w okularach. Intelktualista.

– Nie, nie kokietuję państwa. Ja lubię się z wami spotykać. Lubię patrzeć na was, rozmawiać. Właśnie, czemuż by nie zmienić tej sztywnej formuły. Pan pisarz, pani pisarka i czytelnicy. Audytorium, które przyszło słuchać, co jeszcze mądrego powie. Do diabła, czy zostając pisarką, mam być na zawsze pozbawiona zwykłego kontaktu z czytelnikami? Spotkania? Z kimże mam się spotykać, jeśli nie z wami, dla których godzinami ślęczę przy biurku, co jest bardzo szkodliwe dla kręgosłupa, jak wiadomo. Ja przecież ciągle chcę z wami rozmawiać. Spotykać was. To po to to wszystko. Niechże się w końcu do tego przyznam. A wy w rewanżu pomóżcie zlikwidować tak zwaną czwartą ścianę. Spróbujmy porozmawiać.

– Ale to przecież niemożliwe. Dobrze pani wie. To sztuczne – powiedziała jakaś kobieta.

– Właśnie trwa spotkanie z pisarką światowej sławy. Rejestrują je kamery. Pan redaktor ma określone ramy czasowe i formalne. Nie jesteśmy przecież w kawiarni, na niezobowiązującej rozmowie przy piwie czy herbacie.

– Zapomnijmy o tym. *Allez!* – Wykonała gest, jakby zamierzała tańczyć flamenco. – Powiedźcie coś od siebie. Na przykład o tym, jakie macie życie erotyczne.

– Pani Costello, na Boga! – brodacz intelektualista skarcił ją.

– A ja właściwie... to znaczy podoba mi się pani pomysł – wyznała jakaś kobieta. – Tylko dlaczego taki temat? Wie pani, w naszej kulturze seks, no chodzi o to, że...

– Nie zwykliśmy o tym mówić publicznie. To jest tabu. To chce pani po prostu powiedzieć. Proszę się nie wstydzić.

– No mniej więcej – powiedziała tamta.

– Właśnie. To jest problem. Opresyjna kultura zabrania nam mówić o czymś, co nas najbardziej w świecie określa. Co nas konstytuuje, by nie powiedzieć: determinuje. Nasza cielesność. Nasze pożądanie. Nasza prokreacja. Nasze emocje z tym związane. Nasza płeć i nie mam tu na myśli prostego rozróżnienia na kobietę i mężczyznę. Ani nie dbam o to, czy to płeć biologiczna, czy kulturowa. Idzie o to, że fakt bycia istotą cielesną, ale przede wszystkim seksualną, jest pierwotnym motorem naszych działań, naszego istnienia, naszego jestestwa.

– Dlaczego sądzi pani, że trzeba nam o tym przypominać? – zapytał mężczyzna w średnim wieku.

– No może nie państwu tu konkretnie, ale tak zwanej ludzkości. Pan pamięta o tym stale, prawda?

– Co to znaczy „stale”? No ogólnie pamiętam. Trudno o tym zapomnieć.

– E, wcale nie tak trudno. A jak się objawia to, że pan pamięta, jeśli wolno...

– No wie pani!

– Taaaak. Tego się spodziewałam. – Trzeba by ludzi upić, przebrać, pozamieniać im głowy, nałożyć maski, ziała czarownego zadać, jak u Szekspira, żeby im rozwiązać języki, pomyślała Costello. – Może jednak ktoś zechce się podzielić, w jaki sposób się ta jego pamięć objawia. Co to dla państwa znaczy być istotą seksualną? Uwierzcie mi, jeśli żądam odpowiedzi na pytania oczywiste, to mają one sens.

Zaległa cisza.

Costello nie przerywała jej i gestem dłoni powstrzymała chcącego zabrać głos Kramera.

Cisza trwała dość długo. Zrobiło się nieswojo nie dlatego, że nikt nie zabrał głosu. Stało się tak raczej z powodu przemiany, która jakby się właśnie dokonywała. Jakby ktoś rozpylił czarodziejską substancję, która w ciągu chwili przemienia wszystko i przeobraża. Choć nie przygasił światła, nie drapował nastroju, nie zdmuchnął ogarka.

I nagle operatorzy wyłączyli kamerę, zaczęli gasić reflektory, odłączać sprzęt. Okazało się, że oświetlenie w tym wnętrzu ma dość ciepłą barwę.

Kramer wstał ze swego krzesła, zabrał je ze sobą, zbliżył się do ludzi i usiadł obok ostatniej osoby w pierwszym rzędzie. Podobnie zrobili kamerzysta, oświetleniowiec i jeszcze jeden młody mężczyzna, który nie wiadomo czym dokładnie się zajmował, jednak było jasne, że należy do ekipy technicznej. Aha, na ostatku przyszedł fotograf, z długimi do ramion nieumytymi włosami. Zdjął przewieszony na szyi aparat, odkablował się i wszedł gdzieś w środek rzędu, by zająć wolne krzesło.

Iwo Kramer odchrząknął i rzekł:

– Śni mi się często, że kocham się z ...krową. Młodą krową. Jestem w tym śnie na tyle wysoki, mam tak długiego członka, że mogę swobodnie stać i go włożyć... To, co przeżywam w tym śnie, jest tak rozkoszne, że kiedy się budzę, jestem jeszcze podniecony. Na początku tych snów krowa miała dziwnie długą i elastyczną szyję, swobodnie ją wykręcała i patrzyła na mnie. Patrzyła na mnie takim mądrym, smutnym wzrokiem, że aż nie mogłem tego znieść. Nie mogłem jej powiedzieć, żeby tego nie robiła, ponieważ w moim śnie jestem pozbawiony głosu. Ale w następnych snach ona się zorientowała i już więcej tego nie robi. Moja krowa jest czarno-biała, najzwyczajniejsza

holenderka. Jest czysta. Nie czuję żadnego obrzydzenia. Za pierwszym razem byłem przerażony. Jestem nienormalny, myślałem. Był to czas bezsennych nocy, bo bałem się, że znów będę to śnił. Ale ponieważ nikomu o tym nie mówiłem, musiałem się jakoś z tym snem oswoić. To znaczy musiałem się przyzwyczaić, że on mi się co jakiś czas zdarza. Chciałem też udać się z tym do fachowca i dowiedzieć się przynajmniej, kim jest ta krowa, kim jestem ja. I co to wszystko oznacza. Ale nie zrobiłem tego. – Kramer zamilkł. – Dodam, że nie mam żadnych szczególnych wspomnień z dzieciństwa związanych z krowami. Nie bywałem na wsi. Krowy, które zdarzało mi się widzieć z okien samochodu podczas rodzinnych wycieczek, nie robiły na mnie żadnego wrażenia. Nie miałem żadnych emocji związanych z tym zwierzęciem. Od pewnego czasu rzadko śpiam z kobietami. Nie mam też stałej partnerki. Boję się, że kiedyś zamienię się w byka. Mam oczywiście jakieś interpretacje tego snu. Z nikim o tym nie rozmawiam. – Umilkł.

Po chwili odezwała się młoda kobieta.

– Dla mnie seks jest nieczysty. Nie mogę czuć przyjemności, bo kojarzy mi się ciągle z grzechem. Słowa z lekcji religii: „brzydko się bawić”, określające dziecięce zabawy erotyczne, i nakaz spowiadania się z tego pamiętam do dziś. Odczuwam potrzeby seksualne i zaspokajam je z kimś lub sama, przez co zawsze czuję się grzeszna. Od dawna nie jestem religijna. Nie jestem chyba nawet wierząca. Nie muszę się z niczego spowiadać. A jednak seks postrzegam w kategoriach grzechu, bycia nieczystą. Więc krótkie przyjemności, jakie odczuwam, natychmiast powodują poczucie winy.

– To trochę podobnie jak u mnie – zaczęła inna kobieta, starsza od swojej poprzedniczki. – Tylko że mnie seks wydaje się czymś niskim. Niepięknym. Nie potrafię dostrzec w nim żadnej wzniosłości. Jest czymś jedynie fizycznym, raczej brudnym. Uważam go za ułomność ludzką, która zgoda, przynależy nam, ale gdybym mogła wybierać, wybrałabym siebie bez niego. Załatwiam te sprawy szybko, żeby mieć to z głowy. – Kobieta zwiesiła głowę.

– Ja właściwie nie wiem, jaki mam do tego stosunek – wyznał mężczyzna o bujnej czuprynie, z kilkudniowym zarostem i w okularach. – Zresztą chciałem coś powiedzieć, ale nie. Czuję jakiś opór. To niepotrzebne. Niestosowne. Pachnie jakąś psychodramą. Nie. Nie mogę. To znaczy: nie chcę. Zresztą ja rzadko z moją żoną... Ona mówi, że ją te ruchy śmieszają. – Zamilkł.

– Właśnie, ja znałam kobietę, która mówiła to samo – powiedziała inna kobieta. – Była śpiewaczką w chórze operowym. Ale ona była lesbijką. Naprawdę tak powiedziała pewnemu mężczyźnie, któremu się bardzo podobała i który próbował ją zdobyć. Pamiętam, że długo o tym myślałam. Chyba żal mi było faceta. Usłyszeć coś takiego! Najpierw długo myślałam, że jej przekonanie wytrąca z ręki praktycznie wszystkie argumenty. Ale później... – Zamilkła nieco speszona, a potem dodała.: – Znaczący ja tak tylko, przypomniało mi się. Ja sama... no nie wiem. Ja chyba czuję, że to jest coś bardzo mocnego, ale mnie to przerasta. I chcę, i boję się. Wydaje mi się, że to wszystko jest dość skomplikowane. Bo żeby się tak chcieć otworzyć całkowicie na drugiego? No a znów bez tego to chyba niemożliwe, żeby coś naprawdę czuć i przeżywać. Sama nie wiem. Jakaś bezbronność. Oddanie się? A czy na pewno warto? No i oczywiście zranienie. Nie wiem. Waham się ciągle. Poza tym chyba nie można mówić o samym

seksie. Z tym się łączą i emocje, i uczucia, pewnie rozmaite. Ale w każdym razie nie bagatelizowałabym całej tej kwestii – zakończyła.

Przez chwilę było cicho. Costello pomyślała, że trzeba trochę pokierować tymi wypowiedziami, żeby nie zdominowało ich teoretyzowanie, gdybanie, przypuszczenia. Dała znak ręką, jakby chciała je zatrzymać, ale spostrzegła, że brunet w okularach już się szykuje. Dostrzegłszy jej gest, spojrzał pytająco. Costello dała mu znak, żeby mówił.

– Ja bym może nawet i lubił seks, bo jest okej. Ale przeszkadza mi dziwna presja, którą czuję. Mianowicie, wciąż mi się wydaje, że muszę mieć wzorową erekcję. No i boję się, że nie sprostam. Próbowałem o tym nie myśleć, ale rzadko mi się to udaje. Tylko kiedy rozluźnię się alkoholem. A tak się składa, że właściwie nie lubię być na rauszu. Lubię delektować się dobrym trunkiem w małej ilości. Poza tym nie chcę tak. Chciałbym korzystać z seksu na trzeźwo i świadomie. Podobnie jak koleżanka, uważam, że jest bardzo ważny. I nieprosty. Presja, jaką czuję, nie została mi wcale narzucona przez moją partnerkę. Choć tak mi się kiedyś wydawało. Ta kwestia jest gdzieś we mnie. Może to po prostu kulturowa presja? Tylko że to jednak trochę głupie. Tu nikt, ewentualnie poza moją partnerką, mnie nie ocenia. Więc co? Ja sam? Taki głupi?

Po chwili ciszy odezwał się brodacze w okularach. Jakiś odmieniony. Costello nie była nawet pewna, czy to ten sam.

– Ja podejrzewam u siebie duże fantazje seksualne. Jakbym się nie wstydził, tobym uprawiał bardzo ostry seks. Ostre rżnięcie. Sam nie wierzę, że to mówię... W moim środowisku o seksie się nie mówi. Akademicy to wyjątkowo aseksualne środowisko. A i kobiety nie są zbyt atrakcyjne. To znaczy niektóre. Nie dbają o siebie, *sorry*. Wszystkie myślą, że ich intelekt jest ciekawszy niż stopa w szpilce. Jakież to musiałyby być intelekt, żeby zastąpić te wszystkie atrybuty kobiecości! Jeśli to się zdarza, to wyjątkowo, że jakaś kobieta tak nas intelektualnie kręci, że kręci nas też erotycznie. Przepraszam za to „kręci”, ale nie wiem, jak to inaczej powiedzieć. Nasze słownictwo jest w tej dziedzinie takie ubogie. Albo wulgaryzmy, albo jakieś cnotliwe, bo nawet nie poetyckie określenia.

– No tu, panie kolego, bym się nie zgodził – wtrącił łysy mężczyzna w bardzo eleganckiej marynarce. – To my tworzymy język. My mówimy językiem, a nie język nami mówi.

– Polemizowałbym – rzucił tamten, ale nie będę.

– Proszę, proszę. Słucham.

– Nie mamy precyzyjnych określeń, bo ich nie stworzyliśmy. Nasz aparat pojęciowy w tej materii jest...

– Nie-e. Niech pan przestanie – wtrąciła młoda, atrakcyjna kobieta. – Jaka materia, jaki aparat pojęciowy? Co pan, za przeproszeniem, pieprzy? W tym rzecz, że to się nie daje zmierzyć, opisać, zanalizować. No nie licząc opisów medycznych. Czy jakichś tam seksuologicznych. Ale też chyba nie. Mam takie podejrzenie, graniczące z pewnością, że mówić o tym można jedynie, opisując własne doświadczenia czy odczucia. Tylko to chyba ma sens. Zresztą nie wiem. Dotąd myślałam, że to jedna z niewielu spraw, o których na szczęście nie mówi się publicznie. Nie dyskutuje. Że to sfera intymna. Ale już nie jestem tego taka pewna. Bo przez takie ciągle niemówienie każdy został sam ze swoim seksualnym problemem. I niby tak ma być. Tylko że wielu z nas nie czuje się

seksualnie spełnionymi. Wielu z nas ma problem ze swoją tożsamością płciową. Czujemy się sfrustrowani. Wydaje się nam, że to tylko my mamy problem. Albo że seks jest przereklamowany. Bo zresztą jest, ale to inna kwestia. – Kobieta zamilkła, jakby zaskoczona tyradą, którą wygłosiła.

– Kiedy byłam mała – odezwała się starsza kobieta – sypiałam z siostrą. Starszą o kilka lat. Cóż, mieszkanie było małe i ciasne. Do siostry byłam bardzo przywiązana. Nie mogłam usnąć, kiedy jej nie było obok. Zасыpiając, musiałam ją trzymać za ucho. A ucho musiało być zimne. Ponieważ po chwili trzymania stawało się ciepłe, zmieniałam je. W tym czasie to pierwsze zdążyło ostygnąć.

– Jeeezu, nie – jęknął ktoś.

Ale kobieta w ogóle się tym nie przejęła. Mówiła dalej:

– Nie zastanawiałam się, dlaczego to robię. Pewnie jak inne dzieci zasypiają z przytulanką, ulubionym misiem czy czymś tam. To było naturalnie bardzo przyjemne. Ale nie wiązałam tego w żaden sposób z erotyką. Niczego takiego nie czułam. Siostra, niejako w rewanzu, kładła mi swoją dłoń na pizamie, nad cipką. Po prostu ją tam kładła i dłoń tam sobie leżała. Nie miała przy tym żadnej lubieżnej miny, w każdym razie niczego takiego wtedy nie odczuwałam. Jej palce niczego nie robiły, nie bawiły się w żaden sposób. Dłoń, niczym tulipan, lekko zamykała się lub otwierała. – Zamilkła. I potem: – Przez wiele lat lubiłam trzymać mojego męża za ucho. Nie wiązało się to wcale z erotyką czy seksem. A o tym, że moje uszy lubiłyby różne pieszczoty, wiem od niedawna. Mój mąż nie żyje, więc mu już nie powiem. A żadnego innego mężczyzny nie wpuściłabym do swego łóżka. Przychodzi mi natomiast do głowy, że pozwoliłabym to zrobić jakiejś innej kobiecie. Że... chciałabym, aby zrobiła to. Ale czy dla tego jednego pragnienia powinnam się zdecydować? Przekroczyć granicę? Czy powinnam raczej umrzeć z tym niespełnionym pragnieniem? – Kobieta umilkła. Jej poważny i niewinny głos zawisł w ciszy.

Przez długą chwilę nikt nic nie mówił. Potem jakiś młody człowiek odezwał się:

– Przecież mogłaby to pani zrobić w tajemnicy przed wszystkimi. Zrobić to po prostu z jakąś kobietą. To będzie tylko pani sprawa i pani sekret. W czym problem?

– Taak – powiedziała tamta kobieta, ale jakby nieobecna.

– Myślę, że tej pani nie chodzi o to, by nikt nie wiedział. Bo ona to będzie wiedziała. Czy tak? – zapytała młoda dziewczyna.

Ale kobieta nie podjęła już wątku, siedziała wpatrzona w przestrzeń, jakby widziała tam coś, czego nikt inny nie widzi.

– Właśnie. Tu chyba dotykamy czegoś bardzo istotnego. Przekraczania granic, które w sobie mamy. Które nosimy – powiedział cicho ktoś z ostatniego rzędu.

– Chodzi o to, że chyba bardzo trudno jest zdradzać swoje pragnienia i marzenia. Odkryć je przed kimś. Boję się ośmieszenia. Boję się oceny, reakcji partnera. Seksuolodzy doradzają, by mówić o tym, czego się pragnie, co w seksie sprawia przyjemność. Ale to jest trudne. Ja na przykład chciałbym, żeby moja żona gryzła mnie tu czy tam. I nawet może bym jej o tym powiedział. Może nawet zrobiłaby to. Ale przecież rano wstaniemy, spotkamy się przy śniadaniu. Trzeba wyprawić dzieci do szkoły. Zaczyna się rutynowy dzień naszego życia rodzinnego.

– Cóż z tego? – zapytał ktoś.

- No myślę, że to byłoby trudne.
 - Dlaczego?
 - Może bym się wstydził swoich nocnych pragnień? A ona już by je znała... Może by się ze mnie śmiała. Mogłaby to wykorzystać w jakiejś kłótni.
 - To sprawa zaufania?
 - Także. Ale nie tylko.
 - Ale zaraz, przecież gdyby ona odpowiedziała na te pana pragnienia, zostałaby w to wciągnięta. Mielibyście wspólną tajemnicę czy jak to nazwać. No wie pan, już nie byłaby obserwatorką.
 - Właściwie mam podobny problem. I ten kij ma dwa końce. Bo może wcale bym nie chciał, żeby ona o mnie to wiedziała. Może w gruncie rzeczy wcale nie chciałbym takiej wspólnoty. I takiej jedności – odezwał się mężczyzna siedzący tuż za Kramerem.
 - Och, do jedności to tu chyba jeszcze bardzo daleko – zauważył ktoś ni to filozoficznie, ni drwiąco.
 - W ogóle to czym jest związek dwojga ludzi, oto jest pytanie – rzucił ktoś.
 - Nie-e, zaraz. Dotykamy tu już innej kwestii. Gdzie są nasze granice? Gdzie się zaczynam? Gdzie się kończę? Nawet może kim jestem? Przestańmy. To zbyt skomplikowane.
 - No bo nic nie jest proste, proszę państwa.
 - A już najgorzej jest w małżeństwie – powiedziała jakaś kobieta, jakby w ogóle nie słyszała ostatnich kwestii. – Bo to jest piekielnie trudna instytucja. Te wspólne sprawy, cały system rodzinny i machina logistyczna. Zarządzanie jak w małym przedsiębiorstwie. Trzeba planować, dzielić, ustalać. Obsłużyć. Mówię oczywiście o małżeństwie z dziećmi. Ta piramida brudnych skarpetek. Amerykanie mówią, że miłość można zabić kapciem. To znaczy o ile na początku jakaś miłość była.
 - Ja kiedyś byłam poetką. Wydałam nawet tomik wierszy. Potem wyszłam za mąż. I urodziłam dwóch synów – wyskoczyła ni z gruchy, ni z pietruchy czterdziestolatka. Faktycznie, o wyglądzie poetessy.
 - Najwięcej komplikuje macierzyństwo. Mówcie, co chcecie. – To już jakaś inna kobieta.
 - Jazda bez trzymanki. Nikt nic mądrego o tym macierzyństwie wcześniej nie mówi. Człowiek myśli, że Bóg wie co się zdarzy. I zdarza się. Zmęczenie, karmienie, niespanie. Ile człowiek może zaliczyć nieprzespanych nocy? No ile?! Wszystkie przez to przeszły. Więc co? Ja jedna nie dam rady? Niemożliwe. Coś ze mną nie tak. Nie jestem szczęśliwa? Coś ze mną nie tak. Przecież powinnam. A cud? Przecież to cud.
 - No, ja jednak poczułam, że to cud. Ale moja córka miała już siedem lat. Więc czy to się liczy?
 - Ale jakiś imperatyw kazał tamtej kontynuować:
 - I nie ma dobrego rozwiązania, zawsze musisz wybierać między twoim dobrem a dobrem dziecka. Ono chce na ręce, więc je bierzesz. Jest szczęśliwe. Przyjmijmy. Ale mnie boli kręgosłup, jestem nieszczęśliwa. Odkładam je. Wtedy ono jest nieszczęśliwe. A jak ono, to ja też jestem nieszczęśliwa. Obłąd. Ale musicie wiedzieć, jak to wygląda...
 - No nie-e, nie mieszajmy wszystkiego, *please* – włączył się jakiś męski głos.
- Tamta mówiła dalej jak w transie:

– I partner. Jego wolny czas to mój czas niewolny. On pracuje, jest zmęczony. Ja też jestem zmęczona. Trzeba go zrozumieć. Mnie też trzeba. Można wziąć nianię. Ale nie chcę. To nie jest rozwiązanie. No widzisz, nic nie rozumiesz, jesteś nielogiczna. To nie ja, to macierzyństwo jest nielogiczne. On namawia: wyjdźmy w sobotę wieczór, tylko we dwoje, załatwiłem opiekunkę. Wychodzimy. W samochodzie myśli nie przestają się kołatać: może płacze, może jest nieszczęśliwy, nie, nie powinnam była; powiem mu, że wracamy, obrazi się. W restauracji świece, nastrój. Ja ciągle o dziecku. Widzę zniecierpliwienie. Więc o wakacjach. Plany. Będzie słońce. Morze. Wiatr. I dziecko, dodaję. No a gdzie miałoby być, on. Lepiej rozmawiać o znajomych. Co u nich. Tak? Naprawdę? Zeszczupiała? (Czy on mówi to specjalnie?!). Wiesz, może poszłabym na siłownię. Tylko kiedy? Jesteś źle zorganizowana. Szukam jego dłoni. Znajduję. Ale nie wiem już jak trzymać. Umieję trzymać rękę mojego synka. Jest mała i ciepłutka. I cisza. Dłuży się czas. Oj, jak trudno. Więc nie mamy o czym rozmawiać. Czerwona lampka w mojej głowie zapala się. Zrobić coś z tym. Ale co? Próba ognistej miłości w łóżku. Ale nie mam siły. Nie chcę. Co to będzie? – Milknie. Po chwili: – Znacie to?

Cisza.

Ale oto znów głos zabiera poetessa:

– Ja kiedyś byłam poetką. Wydałam nawet tomik wierszy. Potem wyszłam za mąż i urodziłam dwóch synów... – Milknie.

Costello wstała, spojrzała na zegarek, dała znak ręką, jakby prosiła, żeby nie przerywać tej ciszy.

Spojrzała na Kramera. Był zamyślony. Rozejrzała się po sali. Trzeba to przerwać, pomyślała. Ile czasu są już tutaj? Dała znów jakiś znak ręką.

Kramer szepnął coś do technicznych. Jeden z nich wstał. Uruchomił klimatyzację. Dwaj inni wyszli cicho. Nikt się nie odezwał.

Oni czekają na jakiś znak ode mnie, powiedziała sama do siebie.

Wyobraziła sobie, że oto otwierają się drzwi i techniczni wwożą na wózku zimne napoje, termosy z kawą i herbatą. Bez żadnych przekąsek. Słusznie, słusznie. Głód sprzyja. Trawienie rozleniwia. Techniczni zbliżają się do kolejnych rzędów, prawie nie robiąc hałasu. Ludzie podają sobie napoje, ci z brzegu obsługują tych w środku. Słowa: kawa, woda, tak, cukier. I cichutkie: dziękuję. Costello patrzyła ukradkiem i oczyma wyobraźni na tę harmonię. Niemniej od pewnego czasu miała ochotę na papierosa. Pomyślała jednak, że nikt przecież nie wyszedł. A na pewno są wśród nich palacze. Postanowiła się powstrzymać i nie myśleć o tym. Są rzeczy ważniejsze niż papieros, usłyszała w swojej głowie. I był to jej własny głos. Troszkę zmieniony.

– Proszę państwa. – Costello zwróciła się ku publiczności. – Myślę, że pora wracać... – Rozejrzała się badawczo po twarzach. Dostrzegła rozczarowanie i dezorientację... Jakies szept, jak to: wracać?! Teraz?! Nie! – Pora wracać do naszych, hm, rozważań – powiedziała więc Costello.

Światło przygasło. Zrobiło się bardzo cicho. Costello z niepokojem patrzyła na swoje dłonie, które zaczęły lekko drżeć.

– Ja myślę – odezwała się młoda kobieta – że po prostu te tematy bardzo nas dotyczą. Bardzo obchodzą. Tylko czasem tego nie wiemy. Chyba też się ich boimy. Ja sobie tu dzisiaj uświadomiłam, jaką to potęgą może być ten seks... – Zamilkła, jakby

przestraszona tym, co właśnie powiedziała.

– Może faktycznie, jakby się tak oddać namiętnościom, które nami targają... – dodała inna.

– Pod warunkiem jednak, że się o tym wie – dodał skośnooki szatyn.

– Bo państwo tak się zachowują, jakby dla każdego wszystkie pragnienia i marzenia były jasne. Ja nie mam poczucia, że tak jest. Ja nawet myślę, że przeważnie od tego uciekamy.

– No wie pan, trudno robić inaczej – dodał inny mężczyzna w czapce z daszkiem. – Pan sobie wyobraża, gdybyśmy tak dopuścili te nasze namiętności do głosu, to jest do ciała, co by się działo? Nie moglibyśmy się na niczym skupić. Siedzę w biurze, nad ważnym projektem, koleżanka biurko obok podnieca mnie od kilku godzin... W końcu nie wytrzymałbym!

– A co, nie zdarzyło się to panu nigdy? Mnie wielokrotnie – przyznał inny mężczyzna.

– I co?! – Głosy ciekawości i ożywienia.

– Co, co? Różnie. Czasem musiałem wyjść do toalety. Czasem udawało się popracować trochę nad sobą i przekierować energię na coś innego. Na szczęście czy nieszczęście taką umiejętność też posiadamy. Nie patrzcie tak na mnie! Nie mówcie, że nie zdarzają wam się podobne sytuacje!

– C-c-c. No wie pan, no wie pan – cmokał ktoś.

– Właściwie to dotykamy tu spraw dość niskich. Tyle lat ludzkiej myśli, wysiłków, żeby zejść z tego drzewa, i co? – Młody człowiek był wyraźnie zasmucony.

– Bardzo mi pana żal, ale pan wybaczy, jest to dość zabawne, cha, cha, cha – niemal rżał jakiś głos. – Zresztą, wie pan, cha, cha, cha, pod pewnymi względami to jeszcze bardziej siedzimy na drzewie niż kiedyś. No i wie pan, cha, cha, z tym drzewem to właściwie komplement, w świetle naszej tu dyskusji, cha, cha, cha.

– A mnie właściwie denerwuje uwypuklenie tej opozycji niskie-wysokie! Przecież chyba chodzi o to, żeby to zniwelować. Zresztą drażnią mnie różne uproszczenia, które od początku towarzyszą tej dziwacznej rozmowie... Giną gdzieś w tym wszystkim uczucia, giną emocje. To nie jest tak! – Mężczyzna był wyraźnie poirytowany.

– Przecież jesteśmy ludźmi na poziomie – powiedziała atrakcyjna młoda kobieta. – To oczywiste. Towarzyszą temu emocje i uczucia. Jak najbardziej. To się rozumie samo przez się – zakończyła.

– Samo przez się? Nie jestem pewien. Ktoś idzie do toalety, wiecie po co... To są uczucia? To są emocje?

– A oglądał się pan kiedyś przy tej czynności w lustrze? To polecam – powiedział ten od toalet. – Tam pan znajdzie odpowiedź.

– Proszę panów, nie kłóćmy się. Obaj zapewne macie rację. W każdym razie swoje – powiedziała młoda osoba niejasnej płci.

I tenże facet w odpowiedzi:

– Proszę pani? Pana? – Patrzył wyczekująco.

– Nieważne, słucham pana.

– No ale muszę wiedzieć, do kogo, to znaczy chciałbym wiedzieć, z kim mam do czynienia – powiedział z rozbrajającą szczerością tamten.

– Myśli pan, że to naprawdę ma takie znaczenie? Niech pan mówi, słucham.
– Nie potrafię, kiedy nie wiem do kogo...
– No cóż, to pana problem – odparł tamten ktoś.
– Denerwuje to jakieś całe pomieszanie płci.
– Tylko nie zaczynajmy dyskusji o płci, prooszę – powiedziała młoda kobieta wyglądająca na „zorientowaną w temacie”.

– A czemu nie, może nie wszyscy wiedzą, nie wszyscy mieli okazję.
Costello pomyślała, że pora kończyć ten hydepark. Tylko jak to zrobić? W żadnym wypadku nie chciała być niedelikatna. Spojrzała na Kramera, siedział zamyślony i nawet na nią nie spojrzał. No tak. Mam, czego chciałam.

Chrząknęła dyskretnie. Jeszcze raz.
– Moi drodzy, będziemy musieli kończyć...
Nie było żadnej reakcji. Choć widziała, że usłyszeli.
– Chcę podziękować wam bardzo. Naprawdę. Bardzo dziękuję. Za to, co mi daliście. Zaufaliście mi.

Kramer wstał, poszukał swojej torby, zebrał ze stolika jakieś kartki i materiały. Ktoś pozapalał światła. Ludzie zaczęli zbierać się do wyjścia. Wyglądali jak wyrwani z innej rzeczywistości. Szybko zmieniał im się wyraz twarzy. Wracali. Tyle tylko, że nikt nie podchodził do Costello, jak to się zdarzało po innych spotkaniach. Żeby jeszcze o coś zapytać, coś dopowiedzieć, czasem podziękować za książki, czasem pobyc chwilę w jej pobliżu. Ogrzać się przy niej – jak mawiała złośliwie znajoma Costello psycholożka. Teraz wszyscy, milcząc, wolno zmierzali do wyjścia. I nagle ktoś głośno:

– No i teraz pani Costello wszystkich nas wsadzi do swojej nowej powieści. Czy tak? Czy wydaliśmy się pani wystarczająco ciekawi? Robiła pani notatki, nagrywała?

Ale nie było zaczepności w głosie tego mężczyzny. Raczej ironia.
Costello chciała podejść do Kramera, ale był jakby nieobecny duchem. Nie, nie ignorował jej. Już w trakcie spotkania zauważyła, że coś się z nim dzieje. Zupełnie zrezygnował z roli prowadzącego.

Jednak podeszła.
– Hej, wraca pan do roli? – zapytała sympatycznie.
– Nie – odpowiedział spokojnie, lecz stanowczo. Ujął jej dłoń w swoje ręce, ucałował i odszedł. Powoli robiło się pusto i Elizabeth Costello została sama. Tylko ona i laptop.

Następnego ranka podjęła decyzję, że wyjeżdża. Nikogo nie poinformuje o tym, zadzwoni tylko do Lucy. Tak, wyjedzie.

W nocy miała długi sen. Jakieś miasteczko, które było tłem dziwnego, wielkiego spektaklu, toczącego się w wielu miejscach. Na ulicach powiewały ogromne dekoracje. Bramy i dziedzińce były miejscem odgrywania poszczególnych scen. Były też jakieś wozy, na których toczyła się akcja. Uliczki i zaułki pełne ludzi. Nie zwykłych ciekawskich. Najprawdziwszych widzów. Costello jest bardzo przejęta tym teatrem. Ale nie wie, czy jest widzem, czy uczestnikiem. Dobrze pamięta, że najmocniejsza, najlepsza w całym tym niepojętym widowisku była ostatnia scena. Choć wcześniej inne wydawały się jej lepsze. Kiedy to oglądała, była pewna, że wszystko zapamiętała i będzie mogła to komuś opowiedzieć. Ale po przebudzeniu uleciało jej wiele rzeczy. Zapamiętała tylko kobietę o ciemnych włosach, klasycznej urodzie, w jasnej sukni. Zdaje się, że czyniła jakieś dramatyczne wyznanie, przejmujące do szpiku kości. Obok niej znajdowali się jacyś ludzie. Wyznanie było piorunujące i nie trwało krótko. Ale o czym mówiła, co wyjaśniała, kim była, niestety Costello wszystko to zapomniała. Miała do snu o to żal. I miała też żal do siebie. Czy kiedyś coś jej się przypomni? Po co są sny, z których umyka najważniejsze?!

A jednak sen był dobry. Dostarczył jej pięknych doznań. Powaga, która towarzyszyła odbiorcom dziwnego spektaklu, podniosłość i żadnej sztuczności, błazenady, przy pełnej wiedzy, że to teatr. W miasteczku ze snu działało się coś doniosłego i zasługującego na szacunek i uwagę. Zdaje się Costello, że poruszenie, którego doznawała, było udziałem wszystkich oglądających.

Próby przypomnienia sobie snu przerwał dźwięk telefonu. I Costello nie była zaskoczona, kiedy usłyszała:

– To ja, Elizabeth. Czekam na ciebie. Czy wyjedziesz, nie skorzystawszy z mojego zaproszenia?

– ...

– Co, Elizabeth? Zrób to, proszę. Wiem, że ty wiesz, że powinnaś to zrobić. Musisz tylko chcieć. To twoja szansa, Elizabeth. Daj ją sobie. Nie uciekaj.

– ...

– Jesteś tam, Eliiizabeth? Czekam.

– T-tak... Rozważę to. Ale nie dzwoń więcej. Jeśli zdecyduję, po prostu przyjdę.

– Do zobaczenia, Eliiizabeth. Do zobaczenia.

Costello zapaliła papierosa. Chce tego, to jasne. Ale jest też lęk. Zasadny. Stary. Zmitologizowany. Stawka jest jednak wysoka. Przynajmniej tak to dzisiaj wygląda. Tu i teraz, z perspektywy tego tarasu, na którym Elizabeth siedzi i pali. Ale gdy znajdzie się już tam, któż wie, co się wydarzy.

Ech, do diabła. Dajcie wy mi wszyscy święty spokój. Nie każcie mi już spełniać waszych oczekiwań. Jestem starą kobietą. Oddałam wam, co miałam najlepszego. Pisałam. Wykonywałam swoje rzemiosło uczciwie. Najlepiej jak potrafiłam. Podobało wam się. Ceniliście to. Irytowałam was, stale wbijałam kij w mrowisko i byłam bezkompromisowa. Zyskałam opinię ekscentryczki i dziwaczki. Już dość. Spłaciłam należny haracz, jak każda kobieta, choć w sposób nietypowy i nie każdej dostępny. Basta.

Wrześniowe słońce grzało coraz mocniej. Costello upajała się tym i pomyślała, że dla takiej jesieni, dla tych kolorów mogłaby tu zostać. Znów pojawił się przed nią obraz kobiety w jesiennej scenerii, z na wpół otwartymi ustami. Nic się w nim nie zmienia od lat.

Zamknęła oczy i zobaczyła siebie młodą, wędrującą ścieżką między polami. Wchodzącą na polną drogę oblaną słońcem. Sielankowy pejzaż i jej stan ducha nie pasowały do siebie. Ani trochę. Zmierza gdzieś, ma przed sobą cel, ale jakaś jej częśćka jest martwa. Może tak czują się osoby cierpiące na zespół Cotarda. Dziewiętnaście lat, taka młoda, a już martwa, myśli. Współczuje sobie, ale nie chce tego zmienić. Podejmuje decyzję, że to będzie jej strategia. Jej życie podzieli się na dwie części. W jednej będzie wciąż otwierać swoje serce i współodczuwać, próbując przekroczyć bariery niedostępności, także gatunkowej. W drugiej zamknie się, zasznurowuje i będzie po części martwa. Twarz innego będzie przedmiotem jej rozważań, pisarstwa, empatii prowadzącej do sytuacji granicznych. Jednocześnie twarz, twarz tego konkretnego człowieka, przerazi ją tak bardzo, że wycofa się na zawsze. Oto jej tajemnica. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego, niż pozwolić innej twarzy się zbliżyć. Pozwolić jej przeniknąć do własnej twarzy. Nie, nie, nie. Nie chce tego. Zresztą już za późno. Może jeszcze kilka lat temu. Może byłaby skłonna. Za późno. Za późno.

Przeczuwała jednak, że to kiedyś wróci. Przypomniała sobie, że kiedy jej córka miała kilka miesięcy, patrzyła ze swojego fotelika wzrokiem tak intensywnym, tak pełnym miłości, oddania i przywiązania, że to bolało. Elizabeth była przerażona. Potem trochę przywykła. Jej miłość do córki była trudna, a jednocześnie bezgraniczna. W jakiś sposób pewnie pozostała dla Lucy niedostępna. Ale bardzo się starała. Dała jej tyle, ile potrafiła. Dała poczucie bezpieczeństwa, takie codzienne, którego sama nie zaznała. Dała wolność myślenia. Dała ocean pieśzcot, choć nie wie, jak jej się to udało. Lucy i tak zawsze sprawiała wrażenie niezaspokojonej, wciąż łaknącej. Ale nigdy nie leżała przed zamkniętymi drzwiami gabinetu, skomląc o uwagę Elizabeth, kiedy ta pisała.

Lucy wyrosła zresztą na piękną i mądrą kobietę. Tak się zwykło mówić o takich jak ona. Nigdy nie zapytała wprost, skąd u niej tyle artystycznych talentów i zdolności manualnych. Musiała się domyślać, po kim je odziedziczyła. Rzadko rozmawiały o jej ojcu. Costello zawsze bardzo się starała, by sekret nie stał się mitem. Starła się odpowiadać szczerze, uczciwie, nie dopowiadając. Robiła to w formie lekkiej i trochę intrygującej, ale bez żadnej tajemniczości. Mogła przecież stworzyć zgrabną legendę, jak to czyni wiele kobiet. Nie chciała. Chciała być uczciwa i wymagała od córki zrozumienia, nawet jeśli na początku było to za trudne. Kiedy Lucy podrosła, mówiła jej bez ogródek, że są ludzie, którzy nie chcą i nie potrafią się wiązać. Taką mają naturę. Potem mówiła, że ma kategoryczne poczucie obowiązku, z którego nikt ani nic nie może jej zwolnić. Musi pisać. A pisać może tylko wtedy, kiedy współodczuwa. Przedmiotem tego współodczuwania jest ludzkość. A jeden konkretny człowiek by jej w tym przeszkadzał. A ja? Ja ci nie przeszkadzam? Lucy patrzyła chytrze w niebieskie oczy matki. Ty to co innego. To zdanie funkcjonowało zresztą jak ich wewnętrzny kod, żart, element języka prywatnego.

Lucy była wpatrzona w matkę. Wiele po niej odziedziczyła. Elizabeth miała poczucie,

że Lucy wiele rozumie. Przy całym niewątpliwym podziwem i szacunku, jaki miała dla matki, od początku było jasne, że będzie dokonywać własnych wyborów, że będzie żyć po swojemu. Dość dobrze radziła sobie z tym, że jest córką znanej pisarki, osoby „dziwacznej i ekscentrycznej”. Lucy od dziecka miała wiele koleżanek, przyjaciółek, dom był pełen dzieciaków, choć Costello nie była matką szoferem, organizatorem i animatorem. Najpierw trochę ją przerażała liczba pętających się po domu dzieci, ale odkąd pojęła, że Lucy sama się nimi zajmuje, zaakceptowała to. Przez całe jej dzieciństwo Elizabeth była zdziwiona i dumna zarazem, bo nie dostrzegła u córki żadnych oznak świadczących, że doświadcza ona dziecięcej samotności, którą sama tak dobrze znała.

Poczucie dziwnej nieadekwatności, jakie Costello towarzyszyło stale, wydawało się Lucy obce. Jakby Lucy instynktownie robiła to, co jest dla niej dobre. Wydawała się dzieckiem nieskomplikowanym, otwartym, wesołym i mającym na każdy temat własne zdanie, tyle że (znów w kontrze do matki) nieuznającym za stosowne ciągle się tym przechwalać. Właściwie Elizabeth nie miała z nią większych kłopotów. Nawet okres młodzieńczego buntu udało im się przejść w miarę łagodnie. No może poza jedną kwestią. Zwierząt.

Lucy od dziecka chciała je w domu mieć. Tego Costello nie była w stanie zaakceptować. Najpierw tłumaczyła, że często wyjeżdżają, potem mówiła, że to wymaga ogromnej odpowiedzialności. A potem po prostu stwierdziła, że nie jest w stanie znieść ich widoku w domu.

W końcu przyznała, że nie może patrzeć im w oczy. Za bardzo się przejmuje.

– No to się nie przejmuj, tylko się nimi opiekuj. Kochaj je po prostu – mówiła Lucy.

– Właśnie za bardzo jej kocham.

– Jesteś wielką kłamczuchą – krzyknęła Lucy.

Wybiegła z domu i nie było jej wiele godzin. Costello omal nie postradała zmysłów, a jednak nic nie zrobiła. Czekala. Lucy w końcu wróciła, milcząca, ale pogodzona. Jakby zrozumiała, że granicy pewnych niemożności u jej własnej matki przekroczyć się nie da.

– Ale wiedz, że kiedy zamieszka sama, mój dom stanie się schroniskiem dla zwierząt.

Costello skinęła potulnie głową.

Jednak dziś Lucy wcale nie ma w swoim domu wielu zwierząt. Ma psa przybłądę, którego adoptowała. Jest z nim w świetnej komitywie, ale nie ma tam jakiejś metafizyki, którą zawsze wyobrażała sobie Costello. Na początku Lucy bawiło to skrzępowanie matki, kiedy przychodziła w odwiedziny. Oho, jak pies do jeża. Tylko kto tu jest kim, śmiała się Lucy. Ale z czasem znalazła sposób, by nie krępować matki, i wysyłała do Leo coś jakby komunikat: spokojnie, Leo, matka za jakiś czas pójdzie, udawaj, że jej nie widzisz, okej? A pies odpowiadał: jasne, nie ma sprawy.

Jakże Elizabeth zazdrościła Lucy tej lekkości, naturalności i wręcz prostoty. Ale mówiła: jak możesz znosić tę asymetrię, tę zależność zwierzęcia od siebie? Pani i władczyni, zaperzała się czasem. Przestań, mamó, słyszała. A gdzie ty ją widzisz? Czy naprawdę zauważyłaś to u Leo? My sobie po prostu ufamy. Prawda, Leo, mój bracie, Lucy klepała lekko psa. A ten jakby odpowiadał: jasne, że ufamy.

– Tak, zaufanie. A skąd tyle bezdomnych psów, skąd pełne schroniska?

– Maaamo. Przestań. To proste. Jedni piszą o cierpieniu zwierząt i baaaardzo przy tym cierpią. Inni dają z siebie konkretną odrobinę uczucia i uwagi. Nieprawdaż? A teraz zrobię ci twoją ulubioną latte z amaretto. Siadaj wygodnie, moja stara matko. Ale nie licz dziś na masaż stóp. Znajdź sobie w końcu jakiegoś wielbiciela twoich mądrych książek, który będzie to robił. O, może damy ogłoszenie? Znana pisarka i dama, nieco ekscentryczna, powierzy swoje stopy młodemu mężczyźnie o włoskim typie urody, w celu ich masowania. Niewykluczone rozszerzenie pola masażu. – Lucy bawiła się swoim pomysłem.

Jak to możliwe, myślała Costello, że mam taką córkę. Jak to zrobiłam? Przecież nic nie umiałam. Nie miałam żadnych wzorców, zero, nic. Byłam śmiertelnie przestraszona. Popełniałam mnóstwo błędów. Wciąż wychodziły ze mnie jakieś automatyzmy, które mnie zaskakiwały i przerażały. Bardzo długo czułam się jak schwytana w pułapkę.

Lucy podała jej kawę i zapaliwszy papierosa, wsadziła go do ust matki.

„Lucy, czy ja byłam dobrą matką?”. Taką wiadomość tekstową wysłała właśnie do córki.

W recepcji czekała Maria Schneider. Minę miała niewyraźną.

Przywitała się z Costello, zakłopotana.

– Już zaraz się wytłumaczę, ale czy wszystko w porządku, Elizabeth?

– Och, droga Mario. Cóż to znaczy w porządku?

– Ja wiem, ja wiem. Ale czy dobrze się pani czuje?

– Ach. Tylko to? Tak. W porządku.

– Czy możemy gdzieś chwilę porozmawiać? Niedługo, ale bardzo mi zależy.

Usiadły na tarasie tej samej kawiarni w parku, do której Robert Marini przywiózł niedawno Elizabeth.

– Cudowną macie jesień. – Costello mrużyła oczy w słońcu.

Rozmarzyła się i wyciągnęła nogi przed siebie.

Jakie ona ma zgrabne łydki, przemknęło przez myśl Marii Schneider.

– Elizabeth. Chodzi o to, że... W dzisiejszej gazecie ukazał się artykuł. To jest relacja ze spotkania w auli uniwersyteckiej.

– Taak? – niedbale odpowiedziała Costello.

– Elizabeth. Ten człowiek strasznie panią, hm, obsmarował.

– O, spodziewam się – odparła spokojnie.

– Ale Elizabeth, tam są naprawdę poważne zarzuty. Nasz tłumacz już pracuje nad tym. Wkrótce będzie pani mogła sama się przekonać.

– Nie warto. Doprawdy, nie musicie tego robić.

– ???

– Nie dbam o to. Naprawdę.

Maria Schneider siedziała, nie dowierzając własnym uszom.

– Proszę się tym nie przejmować, Mario.

– Ale jak to się nie przejmować? Trzeba sprostować. Jestem przekonana, że to nieporozumienie. Trzeba działać!

– Aaa. Więc pani nie wierzy w to, co napisano?

– Jakże bym mogła! – Maria zachnęła się. – Już przygotowałam draft odpowiedzi na te oszczerstwa. Ale trzeba też wydać oświadczenie. To znaczy pani powinna przygotować oświadczenie, Elizabeth.

Costello myślała chwilę, ciągle wystawiając twarz do słońca.

– Więc myśli pani, że jeden artykuł w najlepszej waszej gazecie jest w stanie zniszczyć mnie jako pisarkę? Naprawdę tak pani uważa?

– N-no nie. Ale tam są ciężkie zarzuty. Że na przykład... że... no, że postradała pani zmysły. Że jest pani szalona. W ogóle nic o tym, że to była prowokacja.

Costello zaśmiała się szczerze.

– Prowokacja – powiedziała spokojnie. – Przecież pani wie, że bardzo rzadko się do niej uciekam. A jeśli to robię, to kieruję mną pewne racje, wyższa konieczność...

– Ależ wiem, oczywiście, że wiem – przerwała Maria Schneider. – Właśnie... Mogłaby to pani zawrzeć w swoim oświadczeniu. Jestem pewna, że autor tego nieszczęsnego tekstu nie zrozumiał... Na pewno nic nie zrozumiał. Twierdzi, że cały wywód był banalny, ale to oczywiście głupstwo.

Elizabeth jednak poczuła ostre ukłucie, słysząc słowo „banalny”. Zabolało mocno, lecz ukryła to przed swoją rozmówczynią. Zamilkła na dłuższą chwilę. Przyglądała się Schneider.

– Mario, czy mogę zadać pani osobiste pytanie?

– Proszę – odpowiedziała, ale nie czuła się pewnie.

– Jest pani sama?

– To znaczy?

– No, jest pani rozwiedziona, o ile dobrze zrozumiałam, i nie ma pani nikogo, czy tak?

Maria poczuła się zakłopotana.

– Cóż. Rozstaliśmy się z mężem kilka lat temu. Właściwie oboje doszliśmy do wniosku, że tak będzie dla nas lepiej. Różniliśmy się bardzo. Każde miało swoje ambicje. Każde chciało się realizować. Dzieci były prawie dorosłe. To wszystko.

– I nigdy pani tego nie żałowała? Jest pani jeszcze młodą kobietą. Jest pani atrakcyjna. Inteligentna. Zdaje się jest pani bardzo aktywna, także poza wydawnictwem. Działa pani społecznie.

– Cóż z tego? Do czego pani zmierza?

– Chciała pani być wolna. Czy tak?

– Tak, również.

– Nie czuje się pani samotna?

– Pewnie czasem, ale rzadko – odpowiedziała szybko. – Nie częściej chyba niż inni, inne kobiety. Ja zresztą nie mam czasu. Nie mam nawet czasu się nad tym zastanawiać. Poza wszystkim prowadzę jednak dom, moja córka studiuje, mieszkamy razem. Syn często przychodzi. Dużo wyjeżdżam.

– Taaak. – Costello przeciągnęła się jak kotka. Machnęła ręką i dodała: – Zostawmy to.

– Jeśli coś jeszcze, jeśli chce pani jeszcze...

– Mario, czy pani zaspokaja się sama, przy pomocy wibratora, czy od czasu do czasu ktoś zjawia się w pani łóżku...

Maria Schneider była zupełnie zaskoczona, choć starała się to ukryć.

– No wie pani! Takie pytanie zadał mi sto lat temu mój psychoterapeuta!

– Co pani wtedy odpowiedziała?

– Już nawet nie wiem. Ale dlaczego to panią interesuje?

– Właśnie to mnie teraz interesuje u ludzi.

– Elizabeth, pani daruje, ale... Niech pani przestanie, bo jeszcze uwierzę w te brednie, które napisano w gazecie.

– A kto się panią opiekuje, Mario?

– W jakim sensie?

– No, kto dba o panią? Kto się troszczy?

Maria Schneider wydawała się autentycznie zdumiona.

– Sama dbam o siebie. Mój Boże, to źle?

– Odpowiedź dobra. Tylko smutna. Chyba że umie pani sama dawać sobie czułość. Okej. – Maria Schneider zdawała się jeszcze bardziej zaniepokojona. – Tak. Wiem, Mario, o takich rzeczach się nie rozmawia. Nawet z przyjaciółkami. Bo pewnie ma ich panie wiele.

– Nie tak wiele – dodała ze smutkiem.

– A ja coraz częściej myślę o tym, kto się będzie o mnie troszczył. Kto mi poda łyżkę wody, jak mawiała moja babka. I w końcu: kto zamknie mi oczy, kiedy nadejdzie moja godzina.

Maria Schneider poczuła się stanowczo nieswojo, wzdrygnęła się.

Spojrzała w bok, niby patrząc na drzewa w parku, które mieniły się kolorami jesieni.

Obie milczały.

– Pójdę już – powiedziała, zaczęła się zbierać i przywołała kelnera.

Schneider zauważyła, że jest przystojny. Nie zwracała na ogół uwagi na kelnerów. Jest kilku interesujących mężczyzn na salonach, gdzie bywa. Ale nigdy o tym nie rozmawia. Nawet ze sobą.

– Pomyśli pani o oświadczeniu? – zapytała pokojowo. – Obiecuje pani?

– Ciągle żąda się ode mnie oświadczeń – odparła Costello.

Maria, po raz kolejny zaskoczona, wstała i podała Elizabeth rękę na pożegnanie. Ale uświadomiła sobie, że przecież przywiozła ją tu i nie może jej tak zostawić.

– Przepraszam. Odwiozę panią oczywiście.

W samochodzie milczały.

Cisza była ciężka, wręcz przygniatająca. Oczywiście tylko dla Marii Schneider. Elizabeth była lekka i swobodna. Głowę oparła na zagłówku i wyciągnęła przed siebie swoje zgrabne nogi w pięknych lnianych czółenkach.

Z czego ona taka zadowolona?, przemknęło Marii Schneider przez głowę.

Co myślała w tym momencie wydawczyni? Może coś w rodzaju „odbiło wariatce?”, „po jaką cholerę do niej przyjechałam?”. A może całkiem coś innego.

Pożegnawszy się z Costello, wybrała numer telefonu Roberta Mariniego. Odebrał po trzech dzwonekach i umówili się w centrum na szybkie spotkanie.

– Więc jak to wyglądało z pana perspektywy? – pytała. – Jak ona się zachowywała? Wie pan, sprawa robi się nieprzyjemna... Widziałam się z nią przed godziną, prosiłam o oświadczenie, ale nie wiem... Mam wrażenie, że ona to bagatelizuje.

Marini milczał.

– To była prowokacja, prawda?

Chwila ciszy.

A potem:

– Nie. Nie wydaje mi się. Zresztą nie wiem. I w ogóle nie chciałbym się wypowiadać.

– Robert zasepił się.

Maria Schneider wyczekiwała w napięciu.

– Ależ panie Robercie!

– Przykro mi, ale chyba nie umiem pani pomóc.

– Co ona tam robiła?! Czy ma pan wrażenie, że zachowywała się, no, niestosownie?

Czy wyglądała jakoś dziwnie?

– Nie.

– Spędził pan z nią sporo czasu. Czy coś pana zaskoczyła?

– Bezustannie mnie zaskakiwała.

– Słucham?

– Chciałem powiedzieć, że inaczej ją sobie wyobrażałem. To wszystko.

– Co ma pan na myśli?

– Tak ogólnie. Jest dość swobodna. I bardzo kobieca, jeśli wolno mi zauważyć.

– No to akurat zauważyłam. Zresztą mnie też nie przestaje zadziwiać. – Maria Schneider zamyśliła się. – Może powinniśmy byli się spodziewać. Sama nie wiem. Czy nie sprawiała wrażenia osoby niepoczytalnej?

– Nie sądzę.

Robert też się zamyślił się i wiadomo było, że nie powie nic więcej.

Costello tymczasem zmieniła zdanie. (Po raz który to już?). Nie wyjedzie jak złodziej, jak przestępca. Zostanie do końca przewidzianej wizyty, ale zniknie. Nie będzie występować publicznie.

W recepcji hotelu powiedziano: ktoś czeka tu na panią. Wskazano na kobietę siedzącą przy barze.

Któż to? Znam ją skądś...

– Dzień dobry. Jestem Elwira.

– Ach tak. Pani rektorowa – powiedziała z lekkim przekąsem Costello.

– Nie. Jestem Elwira. Po prostu. Czy myśli pani, że bycie żoną rektora wyczerpuje moją tożsamość? – Uśmiechnęła się przy tym zaczepnie.

– Ach tak.

– Przepraszam, że nie uprzedziłam. To był, wie pani, taki impuls.

– Impuls?!

– Czy będziemy tak tu stać? – spytała przekornie.

– A co mówi pani impuls?

– To akurat trochę zaplanowałam. Albo zaprosi mnie pani do pokoju, albo to ja panią zabiorę. Wolę tę drugą możliwość.

Costello grała na zwłokę.

– Pani oczywiście może mnie stąd wyrzucić. Może mnie pani zignorować. Ale nie zrobi pani tego, prawda? Pani się nie obawia...? – To co, porywam panią?

– Właśnie.

Jechały w milczeniu. Elwira zaparkowała swój zielony samochodzik w pobliżu pięknej starej kamienicy, obrośniętej dzikim winem. Weszły do szerokiej klatki schodowej, gdzie posadzkę wyłożono czarno-białą terakotą. Elwira szła pierwsza po szerokich schodach i otworzyła masywne mahoniowe drzwi.

– *Voilà!* – Wskazała ręką.

Costello poczuła przyjemny zapach pasty do podłogi, zrobiła kilka kroków po starym dębowym parkiecie. Najpierw ujrzała swoje odbicie w wielkim lustrze i zrobiło jej się nieswojo. A zaraz potem komodę, jaką zawsze chciała mieć...

To znaczy, widząc ją, zrozumiała, że taką właśnie chciała mieć.

– Coś podobnego! Moja komoda!

Elwira właśnie kładła na niej torbę.

– Ma pani taka samą? Doprawdy?

– Nie, nie. Ale taką właśnie chciałam mieć! Teraz wiem, że takiej szukałam. Ale nie znalazłam.

– A! To nawet dobrze się składa. Chciałam powiedzieć, że to miły początek. Proszę wejść dalej. Może odkryje pani inne swoje marzenia.

Duży pokój pełen był światła. Zobaczyła wielkie wykuszowe okno. Granatowe, ciężkie zasłony.

Poczuła się znów nieswojo, bo coś takiego chodziło jej po głowie ostatnio, kiedy próbowała wytłumaczyć Lucy nową, jak to nazwała córka z przekąsem, aranżację okien.

Przy wejściu stał nieduży ciemny stół, niewątpliwie antyk. Bardzo współczesne designerskie krzesła. Dostrzegła także w prawym rogu kanapę, chyba w starym stylu, ale nie zdążyła jej się przyjrzeć. W lewym rogu najprawdziwszy szezlong, pokryty pluszową tkaniną w kolorze ochry. Ściany białe lub lekko kremowe.

– Proszę usiąść wygodnie. Czego się pani napije? Kawy?

– Och, myślałam o czymś mocniejszym, ale...

Elwira udała się do kuchni połączonej z salonem. Costello dostrzegła meble w mahoniowym kolorze. Słyszała odgłos ekspresu do kawy. Usiadła wygodnie na kanapie. Dostrzegła jeszcze szklany stolik. Rozejrzała się po pokoju. Widziała, że nad kanapą wisi obraz o intensywnych barwach, ale nie miała czasu i sposobności, żeby mu się przyjrzeć.

– Proszę się rozejrzeć po salonie, jeśli pani chce – usłyszała z kuchni.

Wstała więc, żeby przyjrzeć się obrazowi. Spojrzała i znieruchomiała. Zobaczyła... swój obraz! Kobieta w białej bluzce ze sznurem koralu, na tle domu, w jesiennej scenerii. Wszystkie kolory jak w „jej” obrazie. Ale może bardziej niż istnienie tego obrazu zdumiało ją, że można oddać barwy, które przez lata miała w głowie.

– Podoba się pani? – Elwira weszła z tacą.

– Skąd pani go ma?! – podejrzliwie spytała Costello.

– Kupiłam. Chociaż nie, niezupełnie. Zobaczyłam w pewnej galerii, został zamówiony przez kogoś. Ale oszalałam na jego punkcie, zdobyłam kontakt do przyszłego nabywcy i przekonałam go, by zrezygnował z zakupu.

– Kim był ten nieszczęśnik?

– Nie wiem. To mężczyzna. Raczej niemłody. O pięknym, głębokim głosie. Ale nigdy go nie poznałam. Właściciel galerii zajął się transakcją.

Costello usiadła zrezygnowana na kanapie.

– Kawa dobrze pani robi.

Elwira podała też srebrną patere z fikuśnymi ciasteczkami.

Elizabeth czuła się dziwnie. Ale przyjemnie.

Elwira przysunęła granatowy fotelik i usiadła na wprost.

– Wie pani, ten obraz, ja... to znaczy, to jest mój obraz. Noszę go w sobie od lat.

– Aha?

– Bardzo dziwne uczucie.

– Bardzo nieprzyjemne?

– Nie. Raczej niesamowite.

Elwira nie wyglądała na zdziwioną. Raczej jak ktoś, kto wie, co się za chwilę wydarzy.

– To o czym będziemy rozmawiać? – spytała Elizabeth.

– O czym pani chce. Ale nie musimy rozmawiać. To zależy od pani.

– ???

Elwira milczała.

Przyglądała się łydkom Costello i jej stopom, robiła to bez skrępowania.

– Chciałam pobyć z panią. Być blisko. Czy możemy przyjąć, że nie będę zbyt dużo tłumaczyć? Po prostu od pierwszej chwili, kiedy panią zobaczyłam tam, w restauracji, chciałam być blisko. To, że jest pani obok, że mogę tu z panią być, jest dla mnie wielkim szczęściem.

Usiadła obok Costello, delikatnie ujęła jej dłoń.

– Proszę się nie obawiać. Nie zrobię niczego, czego by sobie pani nie życzyła. Chcę panią dotykać. Ale mogę się powstrzymać, jeśli powie pani „nie”, choć to niełatwe.

Pieściła delikatnie palce Costello, która zaczęła odczuwać przyjemność. Nie patrzyła na Elwirę. Patrzyła na czubki swoich butów. Elwira puściła jej dłonie. Wstała i przysunęła fotel bliżej. Delikatnie podniosła jedną nogę Costello, zdjęła but. Potem zrobiła to samo z drugą. Położyła nogi na swoich kolanach i zaczęła lekko masować stopę. Robiła to precyzyjnie i w skupieniu. Costello zamknęła oczy, oparła się wygodnie o kanapę, choć nie można powiedzieć, by robiła to bez skrępowania. Cały czas była spięta, ale walczyła. Z tym, co ją kontrolowało, i z tym, co ją onieśmiało. Nie mogła jednak spojrzeć na Elwirę. Czuła ciepło i coraz większą przyjemność. Palce Elwiry przesunęły się na łydki Costello, masowały je i pieściły, dochodziły do ścięgna pod kolanem, które napięło się pod wpływem dotyku. Costello przemknęło przez myśl, że powinna to przerwać. Że za chwilę będzie za późno. A zaraz potem uprzytomniła sobie, że jeśli ucieknie, straci coś bardzo cennego. Elwira tymczasem przysunęła się i pocałowała Costello w dekollet. Dotknęła go swoim policzkiem. Musnęła rudymi włosami. Przesunęła głowę wyżej i pocałowała Costello za uchem. Przeszył ją dreszcz rozkoszy, pomyślała ironicznie Costello. Ale dreszcz poczuła naprawdę. Zrozumiała, że nie może myśleć. Nie trzeba kontrolować, analizować. Powinna być. Tylko być i poddać się. Pieszczoty Elwiry były lekkie i niespieszne. Costello nie mogła jednak patrzeć na Elwirę. Poddawała się. Czy wytrzyma to?

– Spokojnie – powiedziała Elwira.

Oto masz teraz szansę sprawdzić koncepcję „odczuwania ciałem”, powiedziała ironicznie Elizabeth do siebie w myśli.

Elwira tymczasem kontynuowała pieszczoty, a Costello poddawała się im coraz bardziej. Pomyślała jednak, że słowo „pieszczoty” jest głupie. To, co czuła, trudno by opisać. Było to ciszą i dźwiękiem jednocześnie.

Zamknęła mocniej oczy, ale rozluźniła je. Widziała jakieś kolory. Jej umysł pracował dwutorowo. Musi, koniecznie musi popracować nad nowym słownictwem. Przypomniała sobie Wittgensteina i że język naturalny ma wiele ograniczeń. Nie tylko nie potrafimy w nim powiedzieć, jak brzmi klarnet, ale nie potrafimy też wyrazić tego, co sami czujemy, co czuje nasze ciało.

Elwira całowała twarz i głowę Elizabeth. Ułożyła Costello delikatnie na kanapie. Zaczęła ją rozbierać, ale Elizabeth powstrzymała ją. Elwira spojrzała pytająco. Elizabeth wahała się. Potem wstała i sama zaczęła zdejmować ubranie. Myślała o tym, jak wygląda jej ciało. Spojrzała na Elwirę, młodszą od niej, zgrabną. Elwira popatrzyła na nią, jakby wszystko rozumiała.

– Niech pani o tym nie myśli. To nie ma znaczenia. Jest pani piękna. Jest pani cudną całością. Nie jestem tu dlatego, że szukam młodego, jędrnego ciała. Pomogę pani.

Powoli zdejmowała jej spodnie, rozsuwała zamek tuniki. Czynności te nie miały w sobie nic ze scen erotycznych znanych z filmów i literatury. Nie było w tym wszystkim pośpiechu i chaosu. Costello patrzyła gdzieś w jakiś punkt podłogi i rozumiała, że chce się poddać Elwirze. Niech robi to dalej. Ma w sobie siłę i jakąś tajemnicę. Może nawet głębiej. Nie można by chyba powiedzieć o niej, że jest „napalona”. Jeśli była podniecona, nie okazywała tego. Sprawiała wrażenie osoby spokojnej i szczęśliwej. I bardzo skupionej, co Costello bardzo ceniła u innych. Takie całkowite oddanie się wykonywanej czynności. Sama nie doświadczała tego zbyt często. Jej umysł zawsze wiódł ją równocześnie tu i gdzie indziej. Jakaś polifonia głosów, myśli. Dawało to poczucie obcości. A Elwira jest tu i teraz, i nigdzie indziej.

– O czym pani myśli? – spytała nieśmiało Costello.

– O niczym. Zajmuję się teraz panią.

Głaskała Costello po piersiach, po brzuchu i żebrach. Łagodnie i subtelnie, jakby czekała, aż ciało Costello przestanie stawiać opór. Bez pośpiechu. Elwira całowała wnętrze dłoni i przedramiona Elizabeth. Dotykała jej ud także po ich wewnętrznej stronie. Myśli Costello powoli zwalniały. Pomyślała, że doznaje czystego piękna. Słyszy muzykę Schuberta.

Seks nigdy nie kojarzył się jej z pięknem. Nigdy nie był tak czysty. Jakaś część jej umysłu zżymała się jednak i szukała słów, które nie byłyby kiczowate. Czy to w ogóle jest seks?, myślała. Jednakże Elwira doprowadzi ją przecież za chwilę do orgazmu. Znów to okropne medyczne słowo.

Elwira przerwała pieszczoty, by spojrzeć na Costello, ta otworzyła oczy i zobaczyła błogość (cha, cha, cha, jakie to niemądre słowo, zdążyła pomyśleć) w oczach Elwiry. Elwira milczała, lecz nie wydawało się, by powstrzymywała się przed powiedzeniem czegoś. Costello widziała w jej oczach uwielbienie, akceptację i szczęście. Elwira powróciła do pocałunków, musnęła delikatnie krocze Costello. Potem zatopiła się

w nim. Ostatnią myślą Costello była obawa, czy przypadkiem ktoś nie widzi jej twarzy.

Kiedy były już ubrane, Elwira wzięła dłonie Costello w swoje i ucałowała je, jak czynią to dżentelmeni w tym kraju.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję, Elizabeth.

Costello była zakłopotana.

– Cóż w takim razie ja mam powiedzieć?

– Proszę nie mówić nic.

– Tak. Może to wszystko przez słowa. Przez język?

– To nie jest wykluczone – powiedziała enigmatycznie Elwira.

– Ale przecież nie jesteśmy zwierzętami. Może trzeba się wreszcie pogodzić...

Elwira spojrzała na nią z wyrazem troski i bólu. Objęła ją mocno i długo nie wypuszczała z ramion.

Costello znów znalazła się w swoim pokoju. Położyła się w ubraniu na łóżku. Leżała dłuższą chwilę. Była w jakimś niebycie. Choć wyraźnie czuła granice swojego ciała. Było tak, jakby to, co jest poza jej ciałem, stało się obce i oddzielone. To, co było w jej ciele, było dobre, pozytywne. Poza nim istniało jakieś „na zewnątrz”. Costello poczuła, że pierwszy raz jej ciało jest nią. Ona sama jest całością.

Jak dobrze. Jak lekko. Moje wierne, milczące ciało ożyło. Obudziło się. Wreszcie jest mną. Dlaczego musiałam tak długo czekać?

Costello podniosła się, usiadła, oparła brodę o kolana i objęła je rękoma, jakby się bała, że bez tej obręczy się rozleci. Albo nie. Że to przypieczeruje na zawsze jednię, którą się poczuła. Jej błogostan. Nie ruszy się stąd. Zostanie tak na zawsze (!).

Siedziała bez ruchu długą chwilę. Zadzwoił telefon. Mogłaby go nie odebrać. Ale wstała. No cóż, chciała jednak sprawdzić, czy ciągle jest tą całością. Zrobiła kilka kroków i wcale się nie rozpadła.

Dzwoniła Lucy.

– Jak się miewa moja stara matka? Kiedy wraca do nas?

– Lucy...

– Halo? Jesteś tam?

– Nie jestem. Ale jestem.

– Czyżbyś pograżyła się w niebycie? Halo, halo!

– Lucy...

– Wszystko w porządku?

– To ja pytam. U ciebie?

– Tak, tak. Tylko martwię się o ciebie. Śniłaś mi się ostatniej nocy. Bardzo dziwny sen. Byłaś moją matką, a jednocześnie było ciebie jakby pół. Byłaś w jakimś kokonie do połowy. Widzialna była twoja, hm, że tak powiem, górna część. Od pasa w górę. Byłaś kobietą i dzieckiem jednocześnie. Zresztą nie potrafię ci wytłumaczyć. To było bardzo malarskie. No więc jak miewają się twoje obie części? Jesteś cała? I zdrowa?

– Cała na pewno. O tak. Jak nigdy dotąd. Zdrowa też. Nie wiem tylko, czy na umyśle.

– Ach, do tego już nas przyzwyczyłaś. Narozrabiałaś tym razem bardziej niż zwykle? Cha, cha. Wracaj już. Tęsknimy za tobą. Ja i Leo.

– A. No skoro tęskni pies, i to za mną, chyba rzeczywiście muszę wracać.

– O której jest twój samolot?

– Nie pamiętam. To znaczy jeszcze zadzwonię. Lucy. Bo widzisz, coś się zmieniło...

– Halo, Elizabeth! Nie słyszę dobrze! Wjechałam w jakąś kolumnę samochodów. Straszny haaałaaas! Zadzwoń koniecznie. Zanikasz mi... Całuję. Ciao, mama!

Lucy się rozłączyła.

Costello stała jeszcze chwilę z telefonem w dłoni. Telefon był elementem, który zaburzał jej integralność. Odłożyła go. Przypomniała sobie, że miała chyba na dzisiaj jakiś program. Jakieś zobowiązania. Która jest godzina? Czternasta pięć. Czwartek. Dziś o piętnastej powinna być na obiedzie, zaraz, zaraz, z kim to było? Johansson! Tak. Ze Szlomo Johanssonem. Stary dobry przyjaciel. Tak się cieszyła na spotkanie z nim przed wyjazdem. Teraz nie miała ochoty się ruszyć.

Wyjęła szybko notes ze swojej torby, odszukała numer telefonu i zadzwoniła.

– Szlomo? Szlomo! Staruszkę mój!

Pół godziny później siedziała w jego mieszkaniu, w starym, wygodnym fotelu, z nogami pod sobą. Młoda kobieta w czarnej sukience i białym fartuszkę przygotowywała w kuchni szybki obiad. Elizabeth udało się przekonać Szlomo, że lepiej zjeść coś małego w domu i nie tracić czasu na restaurację. Dorothy, nieoceniona Dorothy z nieśmiertelną białą koronką we włosach, robiła grzybki w śmietanie, których zażyczył sobie Szlomo. Popijali aperitif, zagryzając miniaturowymi kanapkami z suszonymi pomidorami. Elizabeth zawsze lubiła obecność Szlomo. Czuli się z nim bezpiecznie. Jak ze starym, dobrym i wyrozumiałym ojcem. Jak z mędrcom nie z tego świata.

Szlomo jak zwykle w czerni. Tym razem także w białej, eleganckiej koszuli z wykrochmalonym kołnierzykiem. Wybierał się przecież do restauracji. Szlomo zawsze był drobny, chudy, teraz tylko bardziej blady. Kiedyś próbowała odwieść go od tego szalonego zamiaru, żeby przenieść się na stare lata do tego kraju. Chciała mieć go blisko. Przekonywała, że nie zniesie tego klimatu. Że będzie tęsknił za słońcem, za błękitem nieba, którego tam podobno nie ma. Spojrzała za okno. Niebo było wyjątkowo niebieskie.

– Widzisz? – powiedział. – Znalazłem i tu trochę kolorów. Choć dobrze wiesz, że już ich nie szukam. Teraz jest tylko jeden kolor, do którego próbuję się przyzwyczaić.

– Cieeeekawe jaki?

– Eliiizabeth! Nie żartuj. Przecież wiesz.

– No?

– Odchodzę, Elizabeth. To już niedługo. Czuję. Ona nadchodzi.

– Od dawna tak mówisz.

– Tym razem jestem pewien. Ona już tu jest, tylko nie chce się pokazać. Chce być sprytniejsza ode mnie. Chce mnie zaskoczyć. Ale ja się nie dam. Chcę spojrzeć jej w oczy.

– Szlomo! Daj spokój. Jakie to ma znaczenie? I co myślisz, że zobaczysz? Myślisz naprawdę, że będzie ubrana na białe, z kosą w ręku, z ostrzem ze starych sreber po czekoladzie, o której marzyłeś w czasie wojny?

– Nie. Myślę, że to będzie młody, łysy mężczyzna. W ciemnym garniturze. Z czarną teczką, jak urzędnik lub pracownik korporacji.

– Szloomo, przestań. Byłeś ostatnio w teatrze?

– Byłem. Ale to nie dlatego.

– No cóż. Jeśli musisz koniecznie ją sobie wyobrazić... Znasz moje zdanie na ten temat.

– Ciągłe się jej nie boisz?

– Nie. Przecież wiesz. A czego tu się bać, jak mawiała moja babka. Nie boję się jej w taki sposób...

– Ja czekam na nią co wieczór. Co noc. Śpię płytkim snem, żeby nie być zaskoczonym.

– Znowu. Czemuż miałyby to być noc albo wieczór? W dzień nie może po ciebie przyjść? A w ogóle jest tu teraz na przykład?

– Na pewno. Tylko się ukrywa, bo ty jesteś.

– Ach tak. Ciekawa z niej persona. Szlooooo! Bzdury. To tylko twoja głowa. Produkuje ci jakieś obrazy. Nie czekaj. Żyj. Żyj jeszcze. Sam mi mówiłeś, że dopóki trwamy, wszystko może się zdarzyć.

– Cha, cha. Cóż mnie mogłoby się jeszcze zdarzyć?!

– Zobacz, Szlomo. Jesteś w doskonałej formie. Jeszcze sprawia ci przyjemność sączenie tego ponczu. Prawda? Czujesz jego smak. Aromat grzybków w śmietanie nie pozostawia ci obojętnym. Jestem tu i to sprawia ci przyjemność, *I hope*. Chcę ci coś opowiedzieć...

– No?

– Tylko nie wiem jak.

– Jeśli ty nie wiesz jak, to już naprawdę pora umierać. No, ruszaj, wielka narratorko!

– Szlomo, nie jestem żadną wielką narratorką. W każdym razie jeśli chodzi o moje własne życie. Wiesz, odkąd się tu znalazłam, czułam, że jest inaczej niż zwykle. I tyle rzeczy mnie zaskoczyło. Choćby ta pogoda. Słońce, obłędne kolory, jesień. Właśnie dlatego wrócił chyba taki obraz, który miałam w głowie od wielu lat. Ale nie pytaj. Nie będę ci go opowiadać. Szlomo, ja... Obudziło się moje ciało. Ja... Ja doznaję rozkoszy. – Słyszała, jak zgrzyta to słowo, ale kontynuowała. – Ja je odczuwam. Coś we mnie wibruje.

Oczy starego Szlomo zwięziły się. Zrobiły się prawie skośne i podkreśnione w górę.

– Jak to zrobiłaś? – powiedział Szlomo. – Nie sądziłem, że ci się to uda. Hm, ciekawe. Ciekawe – mruzczał.

– Szlomo. Te wielkie, jak mówisz, narracje, to jest może całe nieszczęście... – Costello zamyśliła się. – Spotkałam się z pewną kobietą...

– To znaczy spałaś z nią?

– Jakie to absurdalne sformułowanie. Spać z kimś! – Wybuchnęła szczerym gromkim śmiechem. – Nie spałam ani minuty. W ogóle nic nie robiłam. Pozwoliłam tej kobiecie zająć się moim ciałem. To znaczy ono jej pozwoliło. Po raz pierwszy nie jest mi wierne. Ha! Wiem. Wszystko, co mówię, wydaje ci się trywialne. Słowa! Biedne, nędzne słowa. Chyba przestanę pisać.

– Zacznesz żyć!

– Może zacznę malować. Wiesz, kiedy Lucy była malutka i wozilałam ją wózkem na spacer, w okolicy domu, gdzie mieszkałam, kręcił się młody mężczyzna. Upośledzony. Powłóczył nogą, miał szyderczy, przenikliwy wzrok. Jego ciemne, bujne loki były raz wyżej, raz niżej. Raz wyżej, raz niżej. Ciągle go spotykałam. Wyżej, niżej. Wyżej, niżej. I to wydawało się trwać w nieskończoność. Czasem zawracał i szedł za mną, a ja czułam to falowanie jego głowy. Skręcałam wtedy w uliczkę w lewo lub w prawo, lub przechodziłam na drugą stronę. Po chwili znów go spotykałam. Nie mogłam mu spojrzeć w oczy. Bałam się go straszliwie. Wydawało mi się, że chce mi odebrać dziecko. Ulice były pełne ludzi. A ja wciąż czułam zagrożenie. Byłam pewna, że mógł wyjąć małą z wózka i nikt nic by mu nie zrobił. Uciekłby. Mimo utykania. Chodził bardzo szybko.

– Eee. To były produkcje twojej głowy. Bałaś się o dziecko. A to zdaje się też typowy lęk wczesnomacierzyński. Może byłaś w depresji.

– Ależ nie o to chodzi, Szlomo! Rzecz w tym, że nawet gdybym ci bardzo długo

opowiadała, jak wyglądał, nie potrafiłabym oddać tego dokładnie. Obraz byłby w stanie to zrobić.

– Och, Elizabeth. W takim razie fotografia byłaby lepsza. – Szlomo uśmiechnął się pobłażliwie.

– Nie. Lepszy byłby teatr. Można by wszystko zainscenizować.

– Elizabeth, dziecko. Cóż ty masz za dylematy? Przecież bez twoich słów nawet najznakomitszy reżyser nic by nie zrobił. A jak się miewa twoje duże dziecko?

– Nie wiem właściwie. Jakoś często do mnie dzwoni, odkąd tu jestem. Miewa podobno dziwne sny...

– Biedna Lucy...

– Jak to: biedna Lucy? Co masz na myśli?!

– Daj spokój, Elizabeth. Lucy nie jest małym dzieckiem. Zrobiłaś dla niej, ile mogłaś. Urodziłaś ją szczęśliwie w dobrych czasach. Miałaś ją czym nakarmić. Nie musiałaś dusić jej poduszką.

– Szlomo, przestań!

– Masz rację. Wybacz.

– Przestań!

Zapadła cisza.

Elizabeth podeszła do Szloma, włożyła jego dłoń w swoje i uniósłszy do ust, delikatnie ją pocałowała. Szlomo przytulił jej dłoń do swojego policzka. Usiedli za stołem. Dorothy z uśmiechem nałożyła im grzybków w śmietanie. Napelniła kieliszki białym winem i zniknęła.

Costello wróciła do hotelu. Za dużo wypiałam, myślała, choć nie traciła jasności umysłu. Prześladował ją widok martwego Szloma, leżącego na katafalku, z rozpiętym rozporkiem, w który ona wsadza rękę i dotyka jego członka, który pęcznieje, robi się wielki i taki pozostaje. Nie można go potem schować z powrotem.

Elizabeth pakowała się. Właściwie nie zamierzała przeglądać gazet, ale kiedy wróciła do hotelu, zobaczyła swoje własne zdjęcie na pierwszej stronie dziennika. Na stoliku – prasa. Zabrała gazetę do pokoju. Długo przyglądała się fotografii. Odbicie Costello patrzyło na wprost, ale patrzyło tak, jakby za każdym razem wodziło spojrzeniem za oglądającym je. Nie lubiła takich zdjęć. W dodatku na tym miała wypisaną na twarzy lubieżność.

Przeczytała podpis pod fotografią: „Czy Elizabeth Costello wciąż prowokuje?”. Co oni wszyscy z tym prowokowaniem? Sami się prowokujcie!

Pakowała się energicznie. Usiadła, wyjęła z torby notes, pióro i zaczęła szybko pisać.

Oświadczenie by Costello

Do J.M. Coetzeeego i innych zainteresowanych

Ja, Elizabeth Costello, oświadczam niniejszym, że nie interesuje mnie już krwawienie bogów, nie interesują mnie żadne cierpiące zwierzęta (to znaczy żal mi ich, ale nie będę więcej używać swojej energii na uświadamianie [głupim] ludziom, czym jest ich zabijanie). Nie będę także pozwalała manipulować sobą ani J.M. Coetzeemu, ani żadnemu innemu mężczyźnie, ani kobiecie. Wszystko, co będę odtąd czynić, czynić

będę z własnej i nieprzymuszonej woli. Będę robić to, na co będę miała ochotę, cokolwiek to będzie. Jeśli chodzi o rzeczy, które robimy, bo czujemy, że musimy, choć niekoniecznie chcemy, poddam się tu arbitrażowi mojego ciała, które skoro raz odzyskało głos, nie straci go, mam nadzieję. Mam tu na myśli przede wszystkim pisanie, ale też inne sprawy, których rozsądzenie nie jest proste.

Nie wiem, ile czasu mi zostało, ale ten, który – ufam – został mi jeszcze, chciałabym wykorzystać, jeśli Pan pozwoli, na odkrywanie prostych przyjemności, na dopieszczanie mojego ciała i dostarczanie mu rozkoszy, bo jest to dla mnie, Pan wybaczy, najmocniejszy argument na to, że jeszcze żyję. Jeśli Pan chce mnie zapytać o naturę pożądanego, to ja nie mam Panu nic mądrego do powiedzenia, a to jedynie, że jeśli jest dostatecznie silne, to zagłuszyć go nie można. Jednakże zgadzam się, że nie wszyscy czują je tak samo mocno. Więcej Panu tłumaczyć nie będę, bo Pan i tak nie zrozumie. A zresztą pozostawiam pańskiemu sumieniu (a ma je Pan przecież wyjątkowo rozwinięte) rozprawienie się z odpowiedzią, czy Pan jakieś pożądanego czuje, czy nie. Konia z rzędem temu z Pana wyznawców i czytelników, który to odgadnie. Dał Pan już tyle mylnych tropów, że niech Pana cholera! Może jestem taki, a może siaki, a może jeszcze inny. Patrzcie sobie i wybierajcie. Otóż ja, Panie Coetzee, wybieram dziś wolność, jeśli Pan pozwoli. Niech mnie Pan zwolni już z misji, a może po prostu roli, jaką mi Pan wyznaczył w swoim dziele. I niech się Pan nie gniewa, zdarza się bowiem czasem (ho, ho, i to nieraz), że postaci się emancypują i trzeba im wtedy pozwolić iść własną drogą. Już widzę, jak Pan kiwa głową z powodu mojej naiwności. Proszę bardzo, niech Pan kiwa. To i tak, proszę Pana, tylko słowa, słowa, słowa. Gdyby jednak ciągle chciał mnie Pan trzymać jako lalkę w swoim domku dla lalek, to wołałabym, żeby obdarzył mnie Pan talentem malarskim. To wydaje mi się o wiele bardziej uczciwe i proste zarazem. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że Pan potrafi być złośliwy, a nawet mściwy, i że w ogóle może mnie Pan nie posłuchać. I poczęstować choćby małą zmianą nowotworową pod okiem, tu, gdzie od zawsze mam małą plamkę. Zresztą wzrok i tak będę miała coraz słabszy. Może mi Pan przygotować jakąś małą przeszkodę i na początek, dajmy na to, zwichnę nogę w kostce i będę musiała smakować swoją wolność, leżąc z gipsem na kanapie. W zasadzie może Pan prawie wszystko. (Proszę, niech Pan nie każe mi tylko wpadać pod samochód, bo to wydaje mi się banalne i literacko wyeksploatowane, choć akurat nie przez Pana). Zawsze wiedziałam, że w tej nierównej walce nie mam żadnych szans. (Ani ja, ani nikt inny). Jedyne, o co mogę walczyć, to zachowanie godności. Ale ja się nie poddam. Jestem teraz bytem cielesnym, a to o wiele więcej, niż mogłoby się wydawać. Żegnam.

Costello odłożyła pióro i kartkę. Wróciła do pakowania. Przerwała je jednak. Sięgnęła po pióro, wetchnęła głęboko i dopisała na kartce:

PS: Szanuję Pana i podziwiam, ale... sam Pan rozumie.

Zbierając z biurka drobiazgi, natknęła się na złotą kopertę. Wzięła ją w palce i usiadła na sofie. Zamyśliła się. Ale nad czym tym razem?

W końcu wstała, sprawdziła ponownie, czy niczego nie zostawiła, omiotła spojrzeniem pokój i westchnęła raz jeszcze.

Włożyła buty, ponczo, zamknęła pokój i zjechała do recepcji. Zapytała o hotelową taksówkę i natychmiast pojawił się młody człowiek, który zabrał walizkę. Costello wsiadła, pokazała kierowcy karteczkę i ruszyli.

Miejsce, do którego przyjechali, znajdowało się w postindustrialnej dzielnicy. Pełno tam było domów z czerwonej cegły, wąskich, brukowanych uliczek. Okna duże i zupełnie małe. Nie wiadomo, czy domy zamieszkałe, czy też w większości opuszczone. Costello nie zauważyła ani jednego samochodu na ulicy i pomyślała, że znajduje się w jakiejś filmowej wytwórni. Za chwilę zza rogu wyjedzie wózek reżyserski, wyskoczy operator i nadciągnie tłum statystów. Ale taksówka wolno sunęła dalej i nic takiego nie nastąpiło. Wreszcie wjechali w małe patio, jakby podwórko. Kierowca zatrzymał się po lewej stronie. Nic szczególnego na fasadzie domu nie rzucało się w oczy. Kierowca wyjął z bagażnika walizkę, zaniósł ją aż do bramy. Ukłonił się, zacisnął w dłoni banknot, który dostał od Costello, nawet na niego nie spojrzawszy, jakby pobieranie opłaty za transport czy usługę było wstydliwą koniecznością. Potem wsiadł do auta i odjechał. Costello znów znalazła się przed bramą. Była to szara, metalowa brama, chyba wjazdowa, ale z wejściem dla wchodzących po prawej stronie. Podeszła i nacisnęła dzwonek. Usłyszała piknięcie. Pchnęła drzwi.

W pasażu, którym szła, były drzwi po lewej stronie, po prawej, a nawet na wprost. Odruchowo podeszła do tych po prawej i nacisnęła klamkę. Ciągle myślała, że to wszystko dekoracje, ale nie czuła się przez to mniej prawdziwie. Korytarz obity grafitowym aksamitem, nowoczesne oświetlenie, panowała cisza. Costello zauważyła wieszak, powiesiła na nim ponczo. Postawiła walizkę. Nikt nie wychodził, nikt nie witał i pomyślała, że tak to właśnie ma być. Cały ten wystrój nie miał nic wspólnego z jej, jeśli można tak rzec, stylem. Na chwilę stanął jej przed oczyma jesienny obraz dziewczyny z rozchyłonymi ustami. Jakże daleki od miejsca, w którym była. A jednak nie czuła dysonansu. Poszła prosto kilka kroków, które zaprowadziły ją do wielkiego salonu, całego w czerni, oświetlonego punktowo nowoczesnymi kinkietami. Skórzana biała kanapa wyglądała na wygodną, więc usiadła. Nikogo nie było i nic się nie działo. Rozglądała się z ciekawością, ale bez niepokoju. Zauważyła brak okien i naturalnego oświetlenia. Przypomniało jej się, że chyba wciąż cierpi na klaustrofobię. Na chwilę się zaniepokoiła. Kiedy znalazła się w zamkniętym pomieszczeniu i czuła przyływ paniki, potrzebowała natychmiast świadomości, że może wyjść. Jeśli ją miała, potrafiła się uspokoić. Na wszelki wypadek poszła szybko tą samą drogą, by sprawdzić drzwi. Nie były zamknięte na trzy spusty. Wróciła na kanapę i pomyślała, że musi powiedzieć Lucy, żeby nie zamykać jej ciała w trumnie.

Cóż to za oburzający pomysł?! Wcisnąć ciało do trumny i zamknąć! Usłyszała nagle hałas młotka przybijającego wieko trumny na pogrzebach, na które zabierała ją Mathilda. Młotek dudnił jej w głowie. Nie mogła tego znieść.

Nie wiadomo, co by było, gdyby nie pojawił się człowiek w masce. Raczej mężczyzna albo wysoka, dobrze zbudowana kobieta. W czarnych, wąskich spodniach, w czarnych botkach, przylegających do łydek. Ciemna tunika sięgała do połowy ud, a na piersiach spoczywał srebrny łańcuch. Szyja schowana w szczelnym golfie. Głowa w czarnej, ciasnej chustce albo jakimś turbanie. Nie widać włosów. I jeszcze jakiś srebrny toczek czy kapelusz. Costello wybuchnęła śmiechem.

- Nie gorąco panu? Eee, pani?
- Nie – usłyszała głos, który mógł należeć zarówno do kobiety, jak i mężczyzny.
- Eee, mnie trochę tak. Czy dostanę coś do picia?

– Tak. W stosownym czasie. Wszystko jest przewidziane. Proszę się nie niepokoić.

– Ja się nie niepokoję. Tylko chce mi się pić. A w ogóle po co te dekoracje? To znaczy ja rozumiem. Chciałam powiedzieć, po co ta przesada. Myślałam, że...

– Pani zna nasze miejsce? – zdziwił się głos.

Jednak mężczyzna, pomyślała Elizabeth.

– Nie. Zresztą gdybym znała, nie wiem, czy przyszedłbym tu.

Costello strzeliła focha, jak powiedziała Lucy.

Postać oddaliła się kilka kroków i teraz Elizabeth zobaczyła metalowy stolik na kółkach, jakieś karafki, butelki i kieliszki.

– Czego się pani napije?

– *Du champagne! S’il vous plaît.*

– O! To musi pani poczekać.

Postać zniknęła na kilka sekund.

I zaraz przed Costello pojawił się młodzieniec, „cherubinek”, w sumie nie wiadomo kto, z kieliszkiem różowego szampana.

– Wolę biały, ale trudno – powiedziała szybko, by ukryć zaskoczenie widokiem nagiego młodzieńca ze srebrną przepaską na biodrach.

– Ym – przełknęła łyk szampana – dobrze, że srebrna. Wskazała brodą na przepaskę.

– Nigdy nie lubiłam złota – dodała szybko.

Młodzieniec był umalowany jak dziewczyna.

Costello wypita szampana duszkiem.

– Co się tu, do cholery, dzieje?! Ja jestem znaną pisarką! Obrończynią zwierząt. Może trochę ekscentryczną, okej, ale...

I nagle poczuła, że nigdy jeszcze nie była tak śmieszna i niestety tak żałosna. Nigdy też nie była tak pewna, że to, co mówi, jest nieprawdą. Poprosiła jeszcze o szampana.

– Tak, wiem, może przesadzam, ale proszę – powiedziała zupełnie innym tonem.

Cherubinek przyniósł za chwilę pucharek białego szampana.

Costello się uśmiechnęła i nawet pogłaskała przelotnie dłoń cherubinka, co ją samą zresztą zaskoczyło.

Obie postaci wyszły, skłoniwszy się lekko, a może tak jej się tylko zdawało. Znów siedziała sama.

Przez chwilę pomyślała, że jeszcze w domu miała nawet przez pewien czas jakieś przecucia, jakieś sny, i że może gdyby Kreator nie odczytał jej analizowania snów, co uważa za pretensjonalny przeżytek, nie znalazłaby się tu. Szybko poczuła wdzięczność dla Kreatora. Tak. Teraz chciała iść dalej. Chciała tego, co ma nastąpić. Pal licha ten kicz! Zresztą wiedziała, że jeden krok pociąga za sobą drugi i że takim jak ona odwrót nie jest dany. Zawsze myślała, że to jej przekleństwo. Teraz nie. Nawet pomyślała przez chwilę i nie bez dumy, że ona i tak zawsze się wymknie, ktokolwiek byłby jej stwórcą. Że ma swoją siłę, naiwną i tajemną, której nikomu nie udało się jej pozbawić. Gdyby zaczęła się tym chwalić, ludzie nie uwierzyliby jej lub przypisywali naiwność, a nawet gdyby uwierzyli, zazdrościliby jej i znaleźli mnóstwo teorii na obalenie takiej tezy, by w ostateczności nazwać ją kiepską pisarką.

– Wiiiitaj, Elizabeth... Cieszę się, że przyszedłaś. Do końca nie wiedziałem...

Mężczyzna usiadł obok Costello, wziął jej dłoń, potrzymał w swoich i ucałował. Costello spłoszyła się. Nie miała odwagi spojrzeć i zobaczyć go. Jej mięśnie stały się napięte. Poczuała się jak wtedy, gdy miała dziesięć, dwanaście lat i wydawało się, że jeśli spojrzy i napotka jego spojrzenie, to nie wiadomo, co się wydarzy. Piorun uderzy i wszystko pochłonie albo strawi ją ogień, albo będzie jej tak gorąco, że się udusi. Może tylko jej obawy nie miały teraz takiej intensywności. Siedziała i milczała, on ciągle trzymał jej dłoń w swoich. Czuła ich ciepło. Były delikatne, ale bez przesady. Costello wiedziała, że została schwytana w pułapkę. Nie była jeszcze w stanie podjąć rozmowy, a przecież postanowiła, że tu przyjdzie, i nie chciała, by aż tak bardzo dostrzegł jej wahanie. Teraz albo nigdy, pomyślała przytomnie. Ale co trzeba? Jak to się robi? Jak spojrzeć na niego, kiedy właśnie tego nie umie. Nie jestem przecież chyba jedynym człowiekiem na ziemi, który nie umie tego zrobić, pomyślała, żeby sobie dodać otuchy. Zresztą nieważne.

Musi coś zrobić. Jak? I gdzie ta słynna siła, z której kilka minut temu była jeszcze taka dumna? Costello zezłościła się na siebie. Ale jakiś głosik piszczał w niej: bądź dla siebie łagodna, bądź dla siebie łagodna.

– Nic nigdy w życiu nie było dla mnie trudniejsze od takich momentów – powiedziała, a właściwie usłyszała swój głos. – Nie wiem, czemu tak jest.

Poczuała ulgę. Ale w dalszym ciągu nie była w stanie ani się odwrócić, ani wykonać jakiegoś konkretnego ruchu. Sekundy mijały.

– Elizabeth, zamknij oczy – powiedział. – Czy to możliwe? Czy możesz zamknąć oczy i zaufać mi przez chwilę?

– Tak. Nie.

– Elizabeth – odparł cierpliwie i miękko. – Wszystko, co tu się wydarzy i nie wydarzy, musi dziać się za twoją zgodą. Przyszłaś tu, zatem zrobiłaś pierwszy krok. Przecież nie chcesz się wycofać.

– Znów cię rozczarowuję? – spytała smutno, ciągle nie umiając na niego spojrzeć.

– Nie, Elizabeth. Nie myśl w ten sposób.

Usłyszała, że wstał, czuła ruch powietrza obok siebie. Zapach. Perfumy? Jego zapach sprzed wielu lat? Czy to możliwe, żeby ciało człowieka przez tyle lat wydawało taki sam zapach? Czy to tylko moja głowa, czy ja sobie to wmawiam...

– Masz ten sam zapach. – Costello chciała powiedzieć neutralnie, ale zabrzmiało trochę inaczej.

Poczuała, że się zbliża i że ją to bardzo podnieca. Zaczął manipulować przy jej głowie.

– Elizabeth, teraz założę ci na oczy opaskę, dobrze?

Skinęła potakująco.

– Jest z bardzo cienkiego materiału i luźna, ale zrobiona tak, by nie spadła. Nikt jeszcze jej nie używał, czekała na specjalną okazję. To znaczy używamy tu opasek... – Przerwał. – Postaram się też nie zburzyć twoich delikatnych włosów.

Elizabeth czuła, że coś dzieje się z jej ciałem, i miała nadzieję, że tego nie widać. Ale zaraz pomyślała, że On przecież musi to widzieć. Że On widzi to setki i tysiące razy, że może jest do tego przyzwyczajony.

Że to przecież profesjonalista.

– Czy ty – zaczęła – czy ty często masz do czynienia z takimi... kobietami?

– Elizabeth, czy mogłabyś na razie nie pytać... Opowiem ci w stosownym czasie. I jeśli na pewno będziesz chciała. Powiem ci tylko, że ostatnio był tu także pisarz filozof, około czterdziestki, dość popularny w tym kraju. Czy jesteś gotowa poddać się, Elizabeth?

– Poddać, nigdy! – usłyszała swój głos.

Natychmiast zrobiło jej się głupio. Wyrwało mi się, cholera!, pomyślała. Jestem ciągle sztubakiem w tych sprawach. Nie, nie, nie. To za trudne! Nie chcę! Przecież mogę sobie taka umrzeć. Po co mi...

– Elizabeth. Uspokój się. Czy potrafisz nie myśleć o niczym? No mniej więcej o niczym. Albo przynajmniej skup się na jakiejś jednej rzeczy. Nigdy nie medytowałaś?

– Tak. Trochę. Ale nie umiem, to znaczy nie chcę. Jednak chcę kontrolować – znów usłyszała siebie zaskoczona.

– Wiem. Przychodzi tu wielu takich. Naprawdę nie jesteś jedyna. A z medytowaniem to trochę upraszczasz...

– Czy wszystkim zawiązujesz oczy? – przerwała mu.

– Nie. Chociaż często okazuje się to potrzebne. W gruncie rzeczy, moja droga, w pewnym sensie do końca pozostajemy dziećmi, którym się wydaje, że jeśli one nie widzą ze swego ukrycia, to nie są także widziane. Postaraj się nie mówić i zrób kilka głębszych wydechów. Posadzę cię teraz wygodnie, pozwól mi to zrobić.

Uniół jej nogi, trzymając łydki, i położył na kanapie. Nie zdjął jej butów, ucieszyła się. Jeszcze raz wygodnie je ułożył. Przejechał wierzchem dłoni po jej łydkach.

– Są wciąż delikatne – powiedział. – W ogóle Elizabeth, muszę przyznać, że prezentujesz się naprawdę nieźle. Jesteś wciąż szczupła, zgrabna. Twoje ciało wciąż może się podobać. Jestem pewien, że oglądają się za tobą młodzi doktoranci albo tłumacze. Może nawet studenci.

– Przestań.

– Kiedy to prawda. – Zaśmiał się i powoli zdjął jej buty.

– Świetnie! Co mają zrobić kobiety w moim wieku, które są pulchne, grube, mają wielkie, obwisłe piersi i tak dalej, i tak dalej. Rozumiem, że takich tu nie przyjmujecie.

– Ależ oczywiście, że przyjmujemy, jak to określasz. To nie ciało jest tu decydujące. Lecz to. – Wziął delikatnie jej rękę i poprowadził do jej skroni. – Czy ty zawsze musisz być obrończynią uciśnionych, a nawet nieuciśnionych. Kiedy staniesz w swojej własnej obronie? Przecież tak naprawdę to jedyny obowiązek, jaki mamy. Wiesz o tym, skoro tu jesteś.

Zrobiło się cicho. On oddalił się. Costello miała ochotę zdjąć opaskę i natychmiast zobaczyć, co się dzieje, ale się powstrzymała. Po chwili usłyszała kroki, poczuła zapachy.

– Proszę się nie obawiać – usłyszała. – Będziemy się panią zajmować. Rozbierzemy panią. Zrobimy masaż, rozluźnimy pani mięśnie, stawy. Proszę mówić, gdyby coś było nie tak. Ale tylko wtedy. Proszę nam się poddać.

I delikatne dłonie zaczęły powoli ją rozbierać. Costello przypuszczała, że są tu mężczyzna i kobieta.

– Proszę wstać i iść z nami. Przygotowaliśmy kąpiel.

Wsadzono jej stopy w miękkie pantofle, założono szlafrok, usłyszała szum jakichś

przesuwających się drzwi i poczuła rozmaite egzotyczne aromaty. Z pomocą kilku par ramion weszła do wanny. Pozwalała się myć i masować, wdychała zapachy sandałowca, sosny i jeszcze czegoś tam. Pokazała na opaskę, zdjęto ją, ale nie otwierała oczu jeszcze przez jakiś czas. Wreszcie otworzyła je na chwilę. Znajdowała się w szerokiej, niewysokiej wannie, pełnej wody z pianą. Światła w pomieszczeniu były przyziemnione, paliło się mnóstwo świeczek zapachowych. Wokół krzątali się młoda kobieta i młody mężczyzna, oboje o pięknych ciałach. Kobieta miała na sobie tylko krótką, białą szatkę – ciemne włosy upięte w kok, jakieś ozdoby we włosach – i nie przypominała wcale kobiet pracujących w SPA, a tego się Costello spodziewała (pomna swojej wyprawy z Lucy, która nalegała na taki weekend razem). Mężczyzna miał na biodrach srebrzystą przepaskę, ale nie był to „cherubinek”.

Jeszcze jeden w srebrzystej przepasce! No, nie, pomyślała.

Elizabeth chciała o coś spytać, ale dano jej do zrozumienia, żeby zachowała milczenie. Patrzyła na twarze tych dwojga. Były skupione, a jednocześnie rozluźnione. Kim są? Co sobie teraz myślą? Co myślą o niej?

– Jesteście dorabiającymi studentami? – Elizabeth nie wytrzymała.

– Nie-e – odpowiedzieli lekko rozbawieni.

Zauważyła mały tatuaż nisko na brzuchu, tuż nad przepaską mężczyzny. Nie mogła dostrzec, co przedstawiał.

– Gotowe – powiedziała dziewczyna. – Zechce pani wstać.

Podano jej rękę, by mogła wyjść. Zarzucono jej wielką, miękką pelerynę. Chłopak delikatnie wycierał Costello. Podał jej rękę i trochę teatralnie poprowadził kilka metrów dalej, wskazując coś w rodzaju szezlonga. Costello usadowiła się wygodnie, pozwoliła dziewczynie starannie ją powycierać. Pozwalała jej także smarować ciało balsamem, który pachniał uwodzicielsko.

Bez balsamu, ani rusz, chciała powiedzieć z sarkazmem.

– Więc to takie erotyczne SPA, to wszystko? – Costello nie wytrzymała.

– Nie-e – odpowiedzieli lekko rozbawieni.

– Proszę o nic nie pytać – dodali. – Mało tu rozmawiamy.

Costello zastanawiała się, czy jest wielu takich, którzy korzystają z tego miejsca, tylko nikt o tym nie wie. Nie myślimy o tym. Lubimy myśleć, że SPA jest zarezerwowane dla ludzi biznesu czy im podobnych. Intelktualiści nie jeżdżą do SPA? A pisarze? Jak odnawiają się biologicznie? Czy tylko autorki poczytnych powieści udają się tam, bo mają dużo pieniędzy? Przypomniał jej się Robert Marini. Czy on chadza do takich miejsc? Nie wierzyła, że ma partnerkę, która pozwala mu na erotyczne spełnienie. Zresztą który stały związek, zwłaszcza małżeński, spełnia się erotycznie? Ktoś jej o tym już mówił. Są może nieliczne wyjątki. Przypomniały jej się nagle różne sceny z filmów. A może to tylko jej wyobraźnia? Jakieś mroczne korytarze i tunele, w których znudzone żony białych przedstawicieli klasy średniej oddają się czarnym, młodym mężczyznom. A ich mężowie spędzają godziny w różnych przybytkach, gdzie rozluźnieni bez problemu mają erekcję i w ogóle się nie zastanawiają, czy spazmy rozkoszy, jakie widzą u kobiet, są autentyczne.

Costello zorientowała się, że od jakiegoś czasu jest sama, ubrana w jedwabny

szlafrok i przykryta ciepłym ręcznikiem. W ogóle jest tu bardzo ciepło. Jakby wszędzie były podgrzewane posadzki i ściany. Znowu nie zobaczyła okien. Jak to wszystko działa? Szkoda, że nie ma tu kogoś, kto mógłby być jej przewodnikiem.

Drzwi otworzyły się nagle i wszedł On. Był w jedwabnym szlafroku, pod nim nie miał chyba niczego. Elizabeth zobaczyła teraz, że jest opalony, że trzyma się prosto. Wcale nie taki przystojny, a po jego blond czuprynie nie ma nawet śladu. Jednakże ciągle ją onieśmiela, choć już mniej. Zaczęła mu się przyglądać.

– Elizabeth, nie rób tego. Nie analizuj mnie. Oboje wiemy, że jesteś w tym bardzo dobra i znów wszystko zepsujesz. Nie zadawaj mi mądrych pytań. Tak, jesteś świetna w celnych, ironicznych uwagach i piekielnie inteligentna, jeśli tylko tego chcesz. Nie rób tego teraz. Już nie musisz. Zaufaj mi. Jeśli chcesz, założę ci znów opaskę.

– Dobrze – odparła Costello.

Założył jej delikatnie opaskę, która musiała być gdzieś obok, choć Elizabeth jej nie widziała.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Jej bose stopy dotykały ciepłej posadzki, poczuła się nagle jak dziewczynka. Lekko podążała, prowadzona jak niegdyś przez ojca, z którym miała za chwilę bawić się w ciuciubabkę. On zaraz puści ją, zakręci nią kilka razy i powie, ciuciubabko, gdzie wy, w beczce, odpowie, a co w tej beczce, kwas, odpowie, no to łapcie nas, i puści ją, a wtedy ona poczuje przyjemny lęk i zacznie wolno iść z wysuniętymi do przodu rękoma.

Rzeczywiście poczuła, że On uwalnia jej rękę i oddala się.

– Pamiętasz zabawę w ciuciubabkę? – zapytał.

– Ehm.

– No to spróbuj mnie poszukać. Nie bój się. Jesteś bezpieczna. Widzę cię cały czas.

Wyciągnęła ręce przed siebie i zrobiła kilka kroków. Rzeczywiście doznała podobnego dreszczu jak w dzieciństwie. Ale teraz czuła też podniecenie, przecież obiektem, którego mają dotknąć jej dłonie, jest jego (!) ciało. Szukała chwilę po omacku. Czuła, że On się przesuwa, ale jest blisko. Wreszcie musnęła go delikatnie. Co to było? Jego ręka? Udo? Czuła owłosienie. Szukała dalej. W ciszy. Kiedy była mała, zawsze ktoś chichotał, naprowadzał ją.

Szukała jeszcze chwilę. Bez skutku.

– Mam dość! Muszę wyglądać śmiesznie. Przestań!

Gwałtownie zrzuciła opaskę. Poraziło ją światło, choć pomieszczenie, w którym się znajdowała, było w półmroku. Była sama. Poczuła złość.

– Wiedziałam, że sobie zakpisz! Dość! Mam tego dość!

Elizabeth rozglądała się nerwowo.

– Oddaj mi moje ubranie! Wychodzę!

Wreszcie oparła się o kolumnę, widząc, że nie ma tu nikogo i nie ma szansy na ubranie się. Zacisnęła mocno szlafrok. Miała ochotę kopnąć co sił w kolumnę, ale przecież jest boso. Zagryzła nerwowo paznokieć. I spostrzegła, że On stoi w rogu pokoju. Pewnie cały czas tam był. Zawstydzila się. On, milcząc, zbliżył się do niej. Stał naprzeciw. Wziął ją delikatnie za rękę.

Westchnął.

– Wstyd jest czymś normalnym – powiedział łagodnie.

– Nie jest! Nie jest! – krzyczała. – Jest trudny, boli, dusi, przeszkadza – cedziła jednym tchem.

– Wiem. Nie tylko tobie.

– Nie wiesz! Skąd możesz wiedzieć?! Skąd ty to wszystko wiesz?! Niby jak?! Kim jesteś, żeby... To ja jestem...

– To ty jesteś mądrą pisarką, która wszystko wie! To chcesz powiedzieć? Och, wy, pisarze. Często nie wiecie. Dlatego potrzebujecie tylu słów, żeby przykryć to, czego nie wiecie. Albo przeczuwacie, że nie wiecie. A już o seksie i miłości... Ech, te wasze słowa... – Nie dokończył.

Zapadła cisza. Costello powoli uspokajała się. On objął ją ramieniem i weszli do salonu, w którym Costello już była. Usiedli. Dotknął jakiegoś przycisku, bo za chwilę pojawił się „cherubinek” ze swoim wózkiem pełnym butelek.

– Czego tym razem, Elizabeth?

– Nie wiem... Kawy.

„Cherubinek” wrócił po chwili z filiżanką kawy.

– No! To jesteś w sytuacji bezpiecznej. Siedzisz, założyłaś nogę na nogę. Pijesz kawę i możesz mówić. Więc możesz używać narzędzia, którym potrafisz posługiwać się najlepiej. Cóż więc powiesz?

– Proszę bardzo. Właśnie wpadłam na to, że wstyd jest czymś, co mamy od zawsze, z czym przychodzimy na świat. To wcale nie poczucie winy.

– Och, może jedno nie jest tak dalekie od drugiego.

– Ale dlaczego tak jest?

– No wiesz, prarodzice, nagość, wstyd, wygnanie z raju...

– Nie kpij.

– No to nie wiem – powiedział tonem małej dziewczynki.

– Skąd to się w nas bierze?

– No, powiedzmy, w jednych bardziej niż w innych.

– Nie, wszyscy to mają. Tylko nie zawsze chodzi wprost o sprawy erotyczne. Ale jakby się zastanowić, wszyscy ciągle musimy pokonywać jakieś bariery wstydu.

– Nie wszyscy. Ty nie pokonujesz. Tylko gadasz.

– Przestań.

– Kiedy to prawda. Ty ciągle zagadujesz. Może całe to twoje pisanie...

– To może w ogóle sztuka?! Cała!

– Może tak być – ironizował.

– Czego ty właściwie chcesz dowiedzieć? Co chcesz zanegować?

– Może chcę tego samego co ty? Ale naprawdę nie jesteś tu po to, żeby wdawać się w dysputy.

– Co mam więc robić?

– Nic. Zostaw to mnie. Przynajmniej na razie. Czy możesz usiąść o tu, naprzeciwko? Siedzisz obok mnie, nie patrzysz na mnie. Ja nie mogę spojrzeć ci w oczy, Eliiizabeth. – Parsknął łagodnym śmiechem. – Siedzieliśmy tak, kiedy byliśmy dziećmi.

– Wspominasz to źle? – zachnęła się.

– Nie-e. Przeciwnie. Ale nie jesteśmy już tamtymi dziećmi. To znaczy ty pewnie jesteś... Może nawet nigdy nie przestałaś być. Zresztą nieważne. Usiądź tu. I popatrz na

mnie. Nie złość się. No widzisz? Siedzisz. I nic się nie stało. Teraz spróbuj na mnie spojrzeć. No, odwagi. Zamknę oczy, a ty spróbuj. Powiedz mi, kiedy będziesz patrzyła, ale nie otworzę oczu. Nie będę cię peszył. No? Patrzysz?

- Nie mogę.
- Poczekam, spróbuj.
- ...patrzę.
- I co?
- Nic. Co ma być?
- Co widzisz?
- Ciebie.
- Czy już mogę otworzyć oczy?
- Nie!
- Zbliź się do mnie. Spróbuj mnie dotknąć.

Elizabeth niepewnie dotknęła jego uda. Ale szybko cofnęła dłoń.

- Jeszcze raz. Śmiało. Spróbuj przytrzymać swoją rękę przez kilka sekund.
- Gdzie?
- Gdzie chcesz.

Położyła całą dłoń na jego udzie i chwilę tak trwała. Poczwała, jak coś pulsuje pod jej dłonią.

- Dotykam czegoś, co jest żywe. To pewne – powiedziała.
- Tak?
- Nie śmieję się ze mnie – zgromiła go.
- Teraz dotknij mojej dłoni.

Musnęła lekko jego palce.

- Nie tak. Dotknij jej wewnętrznej części. Połóż swoją dłoń.

Costello zrobiła to. I poczuła ciepło. Pulsowanie i ciepło coraz mocniejsze.

- To tylko fizyka. Wytwarza się energia. Nic specjalnego.
- Masz rację, Elizabeth. To tylko fizyka. Jesteśmy absolutnie fizyczni. No, w takim sensie, jak mówisz. I uprzedzę twoją następną myśl. Jesteśmy chemią. W naszym mózgu nieustannie odbywają się procesy chemiczne. I seks jest chemią jak najbardziej. Nie zabieraj swojej ręki, proszę.

Wziął jej dłoń i wplótł swoje palce pomiędzy jej.

- Czy mogę już otworzyć oczy?

Zawahał się, ale potwierdził. Kiedy jednak zrobił to, natychmiast zacisnęła mocno powieki.

- Nie! Nie chcę!
- Poczekam jeszcze, Elizabeth. Już tak długo czekałem...
- Po co?! – burknęła.

Próbowała uwolnić swoją dłoń, ale on trzymał ją zdecydowanie.

- Nie miałem wyboru.
- Przestań! I puść mnie!
- Nie trzymam cię. Mam tylko twoje palce. To niewiele, sama przyznasz. Jeśli naprawdę chcesz, uwolnij je.
- „Nie miałem wyboru”. Doskonale sobie radzisz!

– Wcale nie, Elizabeth.

– A to wszystko?! Z tego żyjesz, prawda?

– Nie! Ależ nie! Eliiizabeth! – Parsknął śmiechem.

– Jak to?!

– To rodzaj misji.

– To dorabianie ideologii!

– Bzdura, Elizabeth. O, patrzysz na mnie. Dobrze. Przecież teraz rozmawiamy. Jesteś bezpieczna.

– Po co to robisz?

– Elizabeth, chodź do mnie – powiedział poważnie. – Usiądź na moich kolanach...
Usiadła. Ale natychmiast zerwała się i uciekła.

– Elizabeth. Mam dwie propozycje. Ty wybierasz. Albo założę ci znów przepaskę i pozwolisz mi, żebym cię dotykał i zajmował się tobą. Albo ty założysz ją mnie i inicjatywa jest twoich rękach.

Costello spuściła oczy i milczała. Minęło kilka długich sekund.

– Ty.

– Ja też tak myślę. Poczekaj – powiedział łagodnie. Zawiązał jej przepaskę. Podał rękę Costello, potem objął ramieniem i poprowadził.

Poprowadził ją przez łączki i połamał białe rączki, przypomniała się Elizabeth smutna piosenka o dziewczynie, którą wspomina brat, wydawszy ją za mąż za Henryka, wielkiego rozbójnika. Jeden z pracowników farmy śpiewał to małej Costello.

– Elizabeth, nie denerwuj się. Zaufaj mi. Miewałem przypadki trudniejsze niż twój.

– To obrzydliwe.

– Wcale nie. Przecież wiedziałaś. Przecież nie dałaś mi wyboru.

– Nie mogłam... – powiedziała cicho.

– Wiem, Elizabeth. Zrozumiałem to, choć nie od razu. Gdybym wtedy nie zrozumiał, nie byłoby dla mnie racji bytu.

– Jak sobie...

– Ciiicho, Elizabeth. Nie teraz. Chodź, kochana...

– To wszystko jest jakieś kiczowate – powiedziała Elizabeth.
Poprowadził ją wolno, usłyszała dźwięk przesuwanych drzwi.

– Usiądź, proszę. Nie bój się.
Usiedli. Próbował ją położyć.

– Nie. Wolę... wolę na podłodze. Muszę czuć grunt pod...

– Poczekaj.

Zostawił ją na chwilę. Słyszała jakieś kroki, pewnie cherubinek, słyszała, że coś kładzie i wygładza.

– Gotowe.

Pomógł jej wstać. I położyć się.

Leżała na czymś, co było miękkie i przyjemne w dotyku.

– Staraj się o niczym nie myśleć. Nie stawiać oporu. Jesteś bezpieczna. Chcę twojego dobra. Uwierz w to.

– Muszę wyglądać żałośnie.

– Nie, Elizabeth. Nie. Czy możesz przez chwilę nie myśleć o sobie? Pomyśl o szumie

fal nad morzem na przykład. Ale najlepiej o niczym.

– „Szum fal”! Nie, proszę cię, przestań.

– To myśl o Schubercie, albo nie wiem, o transhumanizmie.

Przeciągnął dłonią po jej stopach. Masował je pieszczotliwie. Gładził i całował jej łydki, zgięcia pod kolanami. Potem całował przeguby, wewnętrzną stronę jej zgięć w łokciach. Zbliżał się do ramion, szyi, lizał jej uszy.

Nie, tylko nie lizanie, pomyślało się Costello, ale czuła, jak robi się to przyjemne, i myśl utknęła gdzieś, i nie chciała dać się kontynuować. Elizabeth odczuła przyjemne dreszcze. Chciała to zatrzymać. Wiedziała, że jeszcze może to skontrolować, jeszcze nie jest za późno. Zaraz wstanie. Zaraz zdejmie opaskę. Zaraz to wszystko przerwie. Nie jest za późno... To, co czuła, było bardzo przyjemne, choć też dziwnie bolało. Bolało gdzieś w głowie. Ale ciało było dobrze.

– Niczego od ciebie nie chcę. Niczego nie chcę od siebie. Myślę tylko o tym, żeby twoje ciało czuło się dobrze.

Skinęła nieznacznie głową.

A potem jej myśli się zatrzymały. Pod zamkniętymi powiekami widziała dziwne kolory, jakieś wizyjne obrazy. Nie zatrzymał się świat, tylko płynął lekko, a ona w nim, jakby była jednocześnie ciepłym powietrzem, wszystkimi kolorami, słońcem, rzeką. Kochała się z tym wszystkim. To wszystko kochało się z nią.

Milczysz, Elizabeth. Zjedz coś przynajmniej. – Siedzieli przy owalnym stole, przykrytym białym obrusem z obszyciami z brabanckich koronek. W jasnym saloniku. Niewiele było w nim mebli. Stało stare pianino. Dwa duże okna. Trochę książek na półkach. Stary parkiet mozaika, z ciemnych i jasnych klepek. Na stole świeże kwiaty. Talerze z miśnieńskiej porcelany. W wazie parowało coś ciepłego. – Nałożę ci – powiedział.

Costello milczała.

Nałożył i podał.

Oddychała lekko. Była lekka i swobodna.

Spojrzała na niego. Wytrzymała jego spojrzenie. Patrzyła długo i intensywnie w jego niebieskie oczy. Zaczęły mienić się błękitem, perłą, szarością, nawet fioletem. Kolory stały się nieodróżnialne, zajęły całe pole widzenia, porażały intensywnością, były nie do wytrzymania, ale trwała jak przykuta i wiedziała, że nie chce zdezerterować. I zobaczyła. Tak. Przerazona zeszywniała.

Zamknęła oczy. Wzięła kilka głębokich oddechów. Położyła dłoń na jego dłoni. Chciała się uspokoić, ale przychodziło jej to z trudem. Łzy napłynęły jej do oczu i nie starała się ich opanować. Łkała długo, a on głąskał ją po twarzy.

– Ciii. Ciiiicho, Elizabeth. Uspokój się. Ciiii.

Szukał jej obok siebie, kiedy się obudził w wielkim łóżu, ale miejsce było puste. Usiadł, oparł się o zagłówek i pomyślał, że właściwie mógłby teraz umrzeć. To byłby nie najgorszy koniec.

Nie zostawiła nawet listu. Przecież powinien był się tego spodziewać. Wszak przeżył bez niej większość życia. Spotkali się w końcu. Na to przecież czekał. Jest spełniony.

Czyż naprawdę wierzył, że zostanie z nim? Że spędzi z nim resztę życia? Zostanie

opiekunką na najsmutniejsze lata? Przecież w pewnym sensie był z nią przez całe życie. Odkąd stała się sławna, mógł śledzić jej ruchy, pisarskie poczynania, tak zwaną karierę. Stworzył okazałe archiwum z materiałów, które dotyczą jej jako pisarki. Wiedział, że istnieje Lucy. Że Elizabeth była krótko mężatką i się rozwiodła. Bez trudu mógł się udać w jakikolwiek zakątek świata, gdzie bywała jako pisarka, i zobaczyć ją. Jednakże nigdy tego nie zrobił. Ale wierzył, że kiedyś do niego przyjdzie.

To była jego misja. Pomagał takim kobietom jak Elizabeth. Dawał im rozkosz, bo jej nie mógł dać. Ileż tak zwanych oziębłych kobiet przewinęło się przez to miejsce. Pełen wachlarz profesji i osobowości. Tutaj mogły poczuć, odkryć lub odnaleźć swoje ciało. Nikt ich o nic nie pytał, niczego od nich nie wymagał. Mogły zostawić przed bramą wszystkie odgrywane role. Przez chwilę były w raju i piekle. Mogły spełniać swoje najskrytsze fantazje. Zaspokoić swoje żądze. Tu nikt o nic nie pytał.

Elizabeth trochę myślała o Chrisie. Uśmiechnęła się, bo przypomniała sobie, jak jej tłumaczył, śmiejąc się, że jego misja pod względem ideologicznym ma związek z kapitalizmem kognitywnym. Ale myślała przede wszystkim o tym, kim ona sama teraz jest. Jak będzie wyglądało jej życie. Co ma jeszcze do zrobienia.

Potem spała przez większą część lotu. Nie był to mocny sen, raczej zapadanie w krótkotrwałe drzemki. I wtedy śniła scenki z pogranicza jawy i snu, czasem bardzo realistyczne. Były w nich przetworzone fragmenty tego, co Costello zdarzyło się w ostatnich kilku dniach. W jednej z nich pojawił się na przykład ktoś do złudzenia podobny do tego, kto uważał się za jej kreatora, uprawiający seks z czarno-białą krową holenderką. Ale był młodszy, przystojniejszy. Miał falujące włosy, z mniejszą siwizną. Okalały jego lekko uśmiechniętą twarz. Twarz prawie rozluźnioną, na której malowały się ból i rozkosz jednocześnie. Jego spełnienie jakoś udzielało się Costello we śnie. Może nawet chwilami sama była tym szczupłym mężczyzną w białej koszuli w prążki i niebieskich dżinsach.

W innej scenie była jej babka Mathilda, która wynurzała się zza kopki siana, rozglądała, czy nie ma nikogo, i znów się chowała za kopką, niczym za kurtyną, i coś tam robiła. Nie wiadomo, czy sama, czy z kimś. Był z nią chyba pies. Ale Costello nie jest tego pewna. Jak niczego właściwie, co działo się w tym śnieniu. Bo jednocześnie wcale nie śniła, nawet nie spała, skoro słyszała komunikaty pilota o turbulencjach, zapięciu pasów, wysokości lotu i temperaturze na zewnątrz.

Obudziła się zmęczona. Nie tyle lotem i niewyspaniem, co natłokiem i przymusem oglądania scen i obrazów, które produkował jej własny mózg, a od których nie mogła uciec. Gdyby często miała trwać w takim letargu, w takim byciu na granicy, oszalałaby. Pomyślała ze współczuciem o Kreatorze, o jego bezsenności. Pewnie jest do tego przyzwyczajony po tylu latach.

Ale ja nie. Dziękuję, pomyślała. Gdyby miała jakikolwiek wpływ na jego życie, przekonałaby go do tabletek nasennych. Wręcz zmusiłaby go do tego. Bo o terapii nie ma już nawet co wspominać. Neurotyk w kostiumie dżentelmena, pomyślała, ha! Co zrobiłby beze mnie? W czyje usta włożyłby te swoje ekscentryczne poglądy? Kogo delegowałby do prezentowania różnych racji, kiedy sam chciał ukryć się za szczelnym parawanem?

Ale ja nie jestem figurą. O nie! Ja, Kreatorze, chcę być kobietą z krwi i kości. Chcę, by moja zwierzęca natura wzięła górę. Chcę wyłączyć swój mózg, mistrzu, niech mi pan w tym pomoże, proszę!

Nie, moja droga. Zrobić tego nie mogę. Ty jesteś potrzebna. Jesteś potrzebna mnie, a ja tobie. Musisz dźwigać wraz ze mną brzemień. Sam nie dałbym rady. Twoja egzystencja i tak jest łatwiejsza od mojej. Jesteśmy na siebie skazani.

Ale ja nie chciałam. Ty mnie na to skazałeś.

Mnie także skazano – urodziłem się. Nie było w tym mojej woli. Mówi się, że urodziłem się tego i tego dnia. A przecież powinno być: urodzono mnie dziewiątego lutego. Kłamstwo od początku. I gwałt. Ten gwałt dokonywany jest na wszystkich. Pomyśl, w tej chwili na całym globie rodzą się miliony istnień. Dzieją się miliony gwałtów. Ciągle i wszędzie. Wystarczy sprawdzić statystyki.

To nieprawda, że to gwałt!

Elizabeth, nie bądź naiwna.

Przezań! Twoje słynne: „To nie jest właściwe pytanie. Właściwe pytanie brzmi”. Kto dał ci prawo, by mówić, co jest właściwe i jak należy stawiać pytania?

Nie ma żadnego prawa. Dano mi tylko obowiązki. Przymus pisania. Brzemie. Wieczne jarzmo.

Nie rób tego!

Gdybym tego nie robił, musiałbym brutalnie rozprawić się ze sobą.

Myślałam, że... że ty kochasz człowieka. Że rozumiesz jego godność w cierpieniu.

Nie mylisz się, Elizabeth. Jakże często nie mamy wyboru!

Ale ja ci się nie poddam! O nie!

Tak myślisz, Elizabeth? Twoja naiwność cię zgubi.

To się jeszcze okaże. Jestem wolna! Wolna!

Elizabeth, przepraszam cię. Ale posuwasz się za daleko. Jesteś żałosna.

Więc czego ty chcesz, stary intelektualny draniu! Mam leżeć i kwiczeć jak zarzynana świnia?! Albo położyć się do łóżka i czekać? A ty sprawdzisz, ile wytrzymam bez jedzenia i wody? Albo będziesz mi zawieszał banany coraz wyżej? Nie znasz mnie, mój drogi. To nie ja! Nie jestem małą z eksperymentu! Ja nie jestem już twoja! Podgryzasz mnie jak królik marchewkę na grządce mojej babki. Ale ja nie jestem marchewką. Ja nie jestem marchewką! Przeżyję cię. Jaka szkoda, że nie będziesz mógł widzieć, jak cieszę się życiem do końca.

Elizabeth, przykro mi bardzo. Ale tak nie będzie. Nie wiesz przecież, co zgotował ci los.

Los, czyli ty?!

Na lotnisku w Melbourne nikt na nią nie czekał. Nie zawiadomiła Lucy, o której przyleci. Lotnisko o piątej nad ranem wydało jej się jeszcze bardziej smutne niż zwykle. Nigdy nie rozumiała, co pociąga niektórych filozofów w anonimowości takich miejsc, a ich rozważania o wiecznych podróżach wydawały jej się mocno naciągane.

Swoją drogą, dlaczego niektórzy nie mogą przyjąć do wiadomości, że niektóre miejsca, niektóre zdarzenia nie znaczą więcej, niż znaczą. To zwykły hangar, zaprojektowany i wybudowany, żeby ludzie czekali pod dachem na swój środek lokomocji. Nic więcej. Czekaając, muszą zrobić siku, napić się kawy, zjeść hamburgera i wydać trochę pieniędzy. Ot i wszystko. I jeszcze wsiąść do taksówki, żeby dojechać do domu. To właśnie uczyniła Costello. Była zmęczona. Nogi miała spuchnięte. Marzyła o kąpieli w wannie. Lecz czuła, jak z minuty na minutę rośnie w niej wola życia. Chęć walki. Jak całe istnienie staje się najważniejsze. Jak znikają dylematy, a miliony cierpiących, głodujących i umierających w szpitalach i na polach walki całego świata nie są wyrzutem jej sumienia, przenika ją bowiem wszechogarniająca miłość większa niż współczucie. Uczucie to rosło i było bliskie ekstazy. I wtedy poczuła wielkie bum, krach, splatch, flash. I pisk. Zdażyła zauważyć, że byli w tunelu. Brzdęk tłuczonego szkła. I ciemność. W ustach poczuła ciepły smak krwi.

Lucy siedziała na korytarzu nieruchomo. Była jak statua. Tylko oczy miała otwarte i patrzyła w jeden punkt. Bała się, że przegapi moment, kiedy drzwi się otworzą. Jej

ciało całe było w gotowości, żeby natychmiast wstać.

O niczym nie myślała. Cała jej uwaga koncentrowała się na tych drzwiach. Trudno powiedzieć, ile to trwało. Nie pamięta, jak się tu znalazła, czy przyjechała sama i kiedy to było. Jedno, co wie, to to, że profesor Riding powiedział: „Żyje, ale... Natychmiast operujemy”.

Lucy nie wie, która jest godzina, niczego nie czuje, ani pragnienia, ani głodu, ani żadnych potrzeb fizjologicznych. Nie wie, czy jest zimno, czy ciepło. Gdyby zajrzeć do jej myśli, byłoby pusto. Ciekawy przypadek dla badaczy mózgu. Jak wtedy pracuje umysł? W jaki sposób mózg odbiera bodźce otoczenia innego niż jeden określony punkt?

Lucy nie ma. Jest tylko jej powłoka, miarowy, krótki oddech i ta koncentracja. Nie widzi seledynowych kafelków na ścianie, beżowej drewnopodobnej boazerii, zimnego neonowego światła. Nie wiadomo, czy przechodzą tędy jacyś ludzie. Jest cicho. Nie słyszy bicia swojego serca. Ani ukształtowanego już serca małej istoty, która jest w niej od jakiegoś czasu. Miała powiedzieć o tym matce, kiedy ta wróci z Europy.

Tak skończyłaby się pewnie ta opowieść, gdyby pisał ją Kreator. Ale tu na szczęście jego władza nie sięga.

Więc tak naprawdę było całkiem inaczej. Elizabeth Costello po męczącym, lecz krótkim locie wylądowała na Charles de Gaulle. W lotniskowej toalecie poprawiła trochę makijaż, spojrzała na siebie z zadowoleniem i czułością. Czuła się wolna. Paryż czekał na nią z otwartymi ramionami. A w każdym razie czekał na nią Michel H. Tak się przecież umawiali. Tak, to prawda, nie zawsze dotrzymuje obietnic. Ale czyż można się oprzeć Elizabeth Costello?!

Epilog

Maria Schneider bezowocnie zastanawia się nad zażegnaniem skandalu pod tytułem „Elizabeth Costello”.

Robert Marini uważnie przygląda się sobie i nie dochodzi do żadnych wniosków. A własna żona wydaje mu się istotą całkowicie obcą i niedostępną.

Elwira jedzie swoim zielonym samochodzikiem w sobie tylko znanym kierunku. Jej bujne rude włosy pachną szałwią. Obraz z kobietą w koralach na tle jesiennej scenerii i z rozchylonymi ustami wisi na ścianie jej garsoniery.

Rektor rutynowo gra swoją rolę. Właśnie wchodzi do brązowo-beżowego gabinetu z masywnym biurkiem.

Kramer nie jest już redaktorem w telewizji. Wybiera się chyba w podróż. Czyżby do Indii?

Stary Szlomo wciąż czeka.

Inne postaci Narrator zwolnił i wysłał precz. I wiodą swoje życie, chwilowo niedostępne żadnym innym narratorom.

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Korekta: Karolina Wąsowska, Zuzanna Żółtowska
Adiustacja: Zuzanna Zaczek, Ewelina Pawlak

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4469-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo